

# Tadeusz Jaroszyński

## *DLA NICH*

### Powieść

#### I

Do wagonu wtlacza się niezwykle korpulentna dama. Powiadam niezwykle, gdyż drzwi przedziału, obliczone przy konstrukcji na osoby tuszy przeciętnej, tu okazały się stanowczo za wąskie, przeciskała się przez nie bowiem z najwyższym trudem. Z po za pleców grubej pani przez srebrzysty, pełen swobody, i wesołości śmiech niewieści wołano:  
— Prędej mateczko, prędej, bo mnie tu jeszcze zostawisz. Dźwięk głosu tego obudził Zbigniewa z dumań. Począwszy od Terespoła w ekstatycznym uniesieniu wpatrywał się przez okno wagonu w krajobraz kiedyś tak

znajomy, taki swój, którego od dziesięciu lat niewidział.  
Nowoprzeprowadzona  
kolej zmieniała wprawdzie znacznie oblicze kraju,

jednakże poznawał od czasu do czasu jakąś bielejącą się w  
oddali wioskę, w lesie  
grupę starodrzewiu, kępę olch na moczarach, i chciało mu się  
wtedy wyskoczyć z  
wagonu, biedz po tej ziemi grzązkiej, zielonej, obejmować  
rękoma stare pnie  
omszałe, całować ich korę szorstką, spękaną, i tarzać się w  
miękich mchach  
podścieliska, rwać pełnemi garściami trawę, zieleń, wciągać w  
nozdrza tę woń  
wilgotną błot podlaskich. Przejeżdżał przez strony rodzinne.  
Wspomnienia czasów  
dzieciństwa zalewały serce marzeniami; odurzały go do utraty  
pamięci... Wracał z  
daleka, hen, aż z za gór Bajkalskich, z dzikich, pustynnych  
stepów. Po  
dziesięciu latach dotarł do miejsc tych kochanych. Zda się, że  
mu radość piersi  
rozsadzi, że głowa pęknie od wirów myśli, które jak wichry  
zrywają się w duszy i  
prą straszliwie na sklepienie czaszki.  
O szczęście!  
Czuje potrzebę ruchu, strasznego jakiegoś krzyku, siedzi  
jednak, jak  
zahypnotyzowany, wpatrzony w krajobraz, który ucieka przed  
nim, ucieka dziwnie

szybko, bezlitośnie, niby widzenie senne nieuchwytne. I nie można go zatrzymać, nasycić się nim, nacieszyć.

W miarę zwalniania ruchu pociągu osłabia się i rytm gorączkowy biegu wrażeń. Na stacyach z ustaniem stuku kół kolejowych urywa się chwilowo zupełnie — nastaje moment jakiejś agonii, niby krótkiego spoczynku, po wściekłym galopie rozigranej wyobraźni.

Zbudzony dźwiękiem głosu oderwał wzrok od szyby: Tłusta pani sadowiła się na ławce naprzeciwko, a za nią wskoczyła lekko do przedziału dziewczyna, ubrana bardzo modnie i bardzo wytwornie. Zalewając się jak skowronek szczerym, swobodnym, dźwięcznym śmiechem, wołała:

— Będzie mateczka musiała obstalować sobie specjalny wagon — bo już niedługo do zwykłych się nie zmieści żadną miarą.

Tłusta pani, okropnie sapiąca jeszcze i zalterowana wysiłkiem, nie gniewała się na te żartobliwe uwagi, trzpiocącej się córki, ale owszem z całą pogodą i słodyczą rozkochanej matki tłumaczyła się żałośnie.

— Ha — moje dziecko — starość nie radość: w twoim wieku i ja byłam, jak trzcina wiotka i wysmukła... Ale, mój Boże, piąty krzyżyk — nie żarty.

Właśnie wjechała do przedziału nieprzeliczona mnogość pak, paczek i paczątek.

Panie zajęły się umieszczaniem ich na półkach, pod siedzeniami, koło siebie.

Potem trzaśnięto drzwiami i pociąg ruszył. Panie stały jeszcze czas jakiś w

otwartem oknie, kłaniając się i machając chustkami komuś, zostającemu na peronie.

W przedziale siedział dotąd, prócz Zbigniewa, jeden tylko podróżny, o minie

handlarza wołów, lub co najwyżej fabrykanta świec łożowych, zresztą ustawicznie

drzemiący. Wtargnięcie pań, a zwłaszcza wesołe i dość głośne zachowanie się

młodszej, wybiło jednego z drzemki, drugiego z dotychczasowej zadumy i zmusiło

do zwrócenia uwagi na siebie. Jakoż i panie zajęły się przeglądem swych

współtowarzyszy podróży. Przedewszystkiem

powierzchowność mniemanego handlarza

wołów, który po chwilowej przerwie, wywołanej wejściem nowych pasażerów, układał

się do snu w rogu przedziału, wywołało u młodej panny lekkie, niemniej przeto,

pełne pogardy wyducie usteczek. Poczem wzrok jej przeniósł się na Zbigniewa,

który, zwrócony do niej w trzech czwartych, oświetlony po Rembrantowsku ostrą

smugą światła, wpadają-

cego przez okno, przedstawiał się naprawdę interesująco.  
Nie był on może piękny, tą egzotyczną urodą romantycznych  
kochanków o  
pociągająco-bladej cerze, o długich, kruczych, wijących się  
fantastycznie  
kędziorach, o nieskalanej czystości rysów, o wielkich  
marzących oczach; ale  
wprost przeciwnie, przedstawiał doskonały typ zdrowego,  
urodziwego szlachcica-  
hreczkosieja: Ogorzały, z jasnym, białym czołem, o jasnych  
blond włosach, krótko  
na jeża przystrzyżonych i tęgich sumiastych wąsach, które się  
jaśniejszą plamą  
odcinały na ciemnym tle opalonych policzków .— Nie  
wyglądał nawet na lat  
trzydzieści, choć miał już podobno trzydzieści pięć. Zresztą  
rysy regularne i  
tęga prawie atletyczna budowa przy wytworności kształtów  
składały się na całość  
pociągającą serca niewieście. To też panna badała go  
wzrokiem z widocznym  
zajęciem, jakoby z odcieniem już rodzącej się sympatii.  
Zbigniew odczuł prawie  
fizycznie wzrok ten oparty o siebie, odczuł sympatyczny w  
nim promień i zrobiło  
mu się dziwnie przyjemnie, starał się promień ten uchwycić i  
zatrzymać go w  
sobie. Ze swej strony przyglądał się dziewczynie zarazem z  
ciekawością i  
wdzięczno-

ścią. Przyglądał się jej oczom czarnym, żywym, ciskającym  
ku niemu jakby snopy  
blasków.

Przyglądał się jej ciemnym włosom, uczesany w ogromny  
kok pod małym  
kapelusikiem i małym różowym, jakby umyślnie do  
pocałunków, wyciętym usteczkom,  
zajął go w najwyższym stopniu jej kostjum, obciskający  
wysmukłe ale pełne  
kształty. Miała na sobie jasną suknię ubraną mnóstwem falban  
i falbanek,  
strzępiących się z tyłu w wysoką tiurniurę. Suknia ta, wążka  
niezmiernie w  
kolanach, jak gdyby pętała swobodniejsze ruchy, ale o ileż  
wdzięczniej rysowały  
się naturalne kształty ciała, niż pod ową wstrętną krynoliną,  
którą, wyjeżdżając  
z kraju, zostawił jako wszechwładną panią mody.  
— Po chwilowem, obopólnem badaniu się, panienka dzieliła  
się szeptem z matką  
swemi spostrzeżeniami...  
Tłusta pani przyjmowała je z pobłażliwym uśmiechem i  
wzruszaniem ramion, nie bez  
pewnych, zdaje się, łagodnych napomnień. Mężczyzna  
tymczasem oddał się  
rozkosznej igraszce zmysłowych omamień. Zdawało mu się,  
że wchodzi z tą piękną  
dziewczyną w jakiś mistyczny związek uczuciowy. Marzył, że  
choć siedzą zdała od  
siebie,

łączą jednak dłonie swe w uścisku, że czuje ciepło tych  
alabastrowych dłoni,  
miękość ich i atlasowość i ciśnię, cisnie je coraz mocniej,  
coraz gwałtowniej,  
coraz namiętniej. Ona mu się nie broni, owszem nachyla swą  
młodą, świeżą,  
pachnącą główkę, on dotyka ustami swej duszy jej ust  
wilgotnych, karminowych,  
jak dwie dojrzałe wiśnie. Drgnął z rozkoszy .— I zjawia się  
nieprzeparte  
pragnienie zbliżenia się do niej istotnie, wszczęcia rozmowy,  
zamienienia stów  
kilku, ale czuje jednocześnie, że gdyby chciał coś powiedzieć,  
głos odmówi mu  
posłuszeństwa, będzie drżał i łamał się. Krew uderzyła do  
głowy, więc zakrył  
twarz rękami, zasłonił oczy i dobrze mu było i błogo, że  
trwał tak chwil kilka.  
Panna obserwowała stale młodego, przystojnego towarzysza  
podróży. Teraz miała  
sposobność widzieć jego ręce. Były opalone i, zda się,  
utrzymywane bez zbytich  
starań i dbałości, ale małe, kształtne, zdradzające rasowość  
pochodzenia.  
Nadto... Nachyliła się do ucha matki i z oznakami żywej, źle  
hamowanej radości,  
rzekła szeptem, tak jednak głośno, że Zbigniew  
jakkajdokładniej dosłyszał:  
— Mateczko, niema obrączki na palcu!

— Mama już naprawdę niezadowolona ze zbyt szczerzej, a  
mogącej uchodzić za  
interesowną, uwagi, a zwłaszcza ze zbyt wyraźnego akcentu  
radości, który  
stanowczo nie licował z konwenancjonalnymi wymaganiami  
światowej przyzwoitości,  
zaczęła półgłosem strofować lekkomyślną dziewczynę. Panna  
ze swej strony, czując  
również, iż rzeczywiście za głośno obwieściła swoje  
spostrzeżenie, spiekła  
potężnego raka i zasunęła się w kąt wagonu zadąsana.  
Najniespodziewaniej jednak uwaga roztrzepanej panny  
podziałała na Zbigniewa.  
Zbladł, ciemna, ciężka chmura osiadła mu na czole, usta  
skurczyły się bolesnym  
skrzywieniem. Cały różowy, rozkoszny nastrój, w jakim  
pozostawał do tej chwili,  
rozwiął się nagle bez śladu i duszę poczęły owijać jakieś  
mroczne mgły  
nieznanych przewidyń.  
Odwrócił się do okna. Tor kolejowy biegł przez płaską,  
monotonną równinę, wzdłuż  
żółtych, świeżo rozkopanych piasków. Pejzaż nie mógł go  
zająć, nie mogłyby go  
zresztą zająć najpiękniejsze widoki natury, bo w duszy zaległo  
się wstrętne  
robactwo zgryzot, żalu do siebie, do losu, do świata, przykre  
poczucie strasznej  
niemocy wobec faktów już spełnionych. Przez dziesięć lat po  
gwałtów-



nych wstrząśnieniach, wśród niebezpieczeństw, dalekich podróży, twardego bytu na dzikich, odległych stepach nie zastanawiał się prawie zupełnie nad swoim położeniem i przyszłością, tak był oderwany od zwykłych warunków życia.

Powrót do kraju wypełniał całą jego istotę radością niewypowiedzianej siły i napięcia. Byłby płakał, śmiał się, krzyczał, brał w objęcia każdego spotkanego.

Byłby szalał.

Teraz na wstępie samym staje na drodze postać niewieścia... cudna... młoda...

świeża, jak tchnienie wiosny. I trysnął nowy źródł innych, odmiennych rozkoszy, jakieś inne nowe struny zadrgały w nabrzmiałej radością piersi i nagle, jakby

nieunikniona reakcja z nadmiaru szczęśliwych wrażeń, zjawia się przykre widmo

bezwzględnej konieczności. Dziesięć lat, przeżytych hen daleko wśród warunków

twardych, niezwykłych, były jakby przebyte w ciężkim, męczącym śnie, w czasie

parnej, burzliwej nocy, jakby wyrzucone za nawias z budżetu jego życia.

Przeszło. Teraz wraca, pełen sił, pragnień, rojeń, młody jeszcze...

Ba, w każdym razie starszy jest o całe lat dziesięć. Wszyscy, których znał, starsi są o lat dziesięć! I ona...

Wzdrygnął się całem jestestwem swoim. Przytulił twarz do  
szyby. Drzewa, słupy  
telegraficzne, domy, wsie uciekały z przed oczu. Krajobraz  
rwał jak szalony w  
stronę przeciwną tej, w którą on jechał. Ani go cofnąć ani  
zatrzymać. Tak myśl  
jego przebiegała dzieje życia, mijając zdarzenia, które  
uciekały wtył gwałtownie  
z przerażającą szybkością, pozostawiając po sobie w sercu żal  
jakiś i ból i  
niechęć. Ogarnęła go obawa przed przyszłością. Załamał rękę.

## II

Zbigniew popełnił kiedyś czyn nierozważny. Syn zamożnego  
ongi obywatela  
ziemskiego z Podlasia, pułkownika b. wojsk polskich,  
kształcił się po pańsku w  
domu, przy pomocy licznych guwernerów i guwernantek. Po  
za tem strzelał kaczki  
na błotach, gonił z chartami po ugorach zające. Jednem  
słowem rozwijał się  
zdrowo i normalnie wśród ruchu na świeżem powietrzu, nie  
obciążając zbytnio  
umysłu ślęczeniem nad książkami. Dla uzupełnienia jednak  
edukacyi wstąpił panicz  
do szkoły leśnictwa i gospodarstwa rolnego w Marymoncie; i  
nie dla tego tylko,

iż była to naówczas jedyna wyższa uczelnia w kraju, ale że rzeczywiście rodzice od dziecka przeznaczyli go do zawodu rolniczego. Zaraz też po skończeniu szkoły miał wziąć zarząd całej ojcowizny z rąk starzeją-

cego się już bardzo pana pułkownika. Zanim jednak uporał się z egzaminami stała się rzecz niespodziewana. Okazało się, że w Michałowicach, dziedzicznym jego majątku, oddawna zapomniano bilansowania rachunków rocznych, że żyło się tak jakoś pięknie, po pańsku, z fantazją z dnia na dzień, a żyło się nad stan, zgoła tego nie podejrzewając. Przyszła chwila krytyczna, wybuchła katastrofa, i kiedy Zbigniew wrócił z patentami, ażeby ująć ster gospodarstwa — nie było na czym gospodarować. Pułkownik, uniósłszy się kiedyś na jakiegoś żyda — natręta; upominającego się o dług nieznaczny, przyplącił to atakiem apoplektycznym, a wkrótce potem śmiercią. Niewielki fundusik, jaki się dało ocalić z pogromu, zaledwie wystar czał matce i starszej siostrze na zapewnienie jakich takich wygod i kupienie małego domku w Warszawie, dokąd się po katastrofie przeniosły, a młody, wykwalifikowany rolnik musiał chleba szukać u obcych. Jakoż

rzeczywiście przyjął miejsce u słynnego na owe czasy w całej Polsce gospodarza,  
pana szambelanica Nikockiego, który, długie lata spędziwszy za granicami kraju,  
wśród Niemców i Francuzów, nauczył się wielu mądrych, u nas zgoła nie znanych rzeczy. To też olbrzymi jego

klucz Nieborowice, składający się z pięciu doskonałych folwarków, prowadzony był pod każdym względem wzorowo. Szambelanica, starzec blisko siedemdziesięcioletni, wyniosłej, wielkopańskiej postawy, o twarzy surowej, starannie wygolonej, o długich zupełnie już białych włosach, wprowadził sam po gumnach z harapem nie chodził, nie obijał parobkom pleców własnoręcznie, ale krótko i energicznie trzymał w ręku cały sztab rządców, ekonomów, karbowych i prowentowych, tak że snopek jeden nie wywędrował z majątku bez jego wiedzy. Jak generał, który z kwatery swojej na zasadzie planów i raportów, kieruje ruchami całej armii, tak pan Nikocki z kancelarii swojej, ustanowiwszy bardzo złożony i dowcipny system wzajemnej kontroli między oficjalistami, rządził dokładnie rozległymi majątkami. Prawą ręką, głównym sekretarzem i plenipotentem starzejącego się coraz bardziej

szambelanica, była od jakiegoś czasu córka jego jedynaczka,  
która zjechała z  
zagranicy na wieś i rzuciła się do gospodarstwa z jakąś  
rozpaczliwą energią. Od  
wczesnego ranka siadała na koń, pędziła od folwarku do  
folwarku i wracała nieraz  
wieczorem zmęczona i wyczerpana do ostateczności.  
Oddawała spienionego ko-

nia forysiowi i zamykała się w swoim pokoju smutna, prawie  
ponura.

Szczególniejszy ten zapal do pracy i trudów komentowano  
sobie w okolicy

rozmaicie, zwłaszcza kiedy foryś wygadał się, że jaśnie  
panienka nieraz, jakby

ją złe opętało, zacinała konia i wiała na podobieństwo  
wichrom przez pola i

wertepy, że on na swej kobyłce nie mógł i nadażyć.

— Bywało — mówił — pojedzie na przełaj przez pola, to ino  
śmiga — wiadomo taki

koń! a ja ostanę kiej głupi i niewiada kaj szukać i jak?...

— Oczywiście, tłumaczyły sobie panie oficjaliściny w  
Nieborowie jako też i

panie dziedziczki z sąsiedztwa, że musiała panna mieć jakiś  
srogi zawód sercowy

i teraz na stare lata chciałyby się tą jazdą piekielną otumanić.

Ha, krew nie

woda, a tu przyszło rutkę siać, to i szaleje.

— Mój Boże, dodawały inne, za dawnych czasów toby taka  
do klasztoru wstąpiła, w

modlitwie, postach i utrapieniu pędzejby znalazła ukojenie.  
Ale tak niewieście  
konie zajeżdzać — poprostu obraza boska i nic więcej!  
— Ha inne czasy inne obyczaje, ale wiadomo, objaśniały  
najdoświadczeńsze, ze  
staropanieństwem to tak, jeżeli która w swoim czasie zamąż  
nie

wyjdzie, żeby tam nie wiem jaka była, to jej się ta jakieś  
dziwactwo uchwyci...  
Panna Ewa Nikocka była istotnie w wieku, który najsluszniej  
epoką  
staropanieństwa musiał być nazwany. Zbliżała się już  
potrochu do czterdziestki,  
choć wspaniała postawa, staranność stroju, elastyczność i  
wdzięk ruchów  
bynajmniej tego domyślać się nie pozwalały. Przytem  
pozostały zawsze piękne,  
regularne rysy i szczęśliwa matowa ciemna cera, która dłużej  
znacznie opiera się  
wrogim zamachom czasu, niż owe przejryste, białoróżowe  
buzie jasnych  
blondynek, więdnących nagle przy pierwszych podmuchach  
wczesnej jesieni,  
sprawiały to, że bogata dziedziczka na Nieborowicach  
wyglądała jeszcze ponętnie  
i mogłaby śmiało wśród okolicznych szlachciców znaleźć  
dozgonnego towarzysza.  
Panna Ewa była jednak bardzo dumną i nieprzystępną i to  
podobno stało się

przyczyną, iż dotąd za mąż nie wyszła. Osierocona przez matkę w dzieciństwie, wychowywała się u krewnych, którzy większość roku spędzali za granicą: w Paryżu, Wiedniu, Ostendzie lub Nicei. Otaczana zawsze wytwornością, przepychem, bywając w najpiękniejszych salonach Europy, ba, nawet podobno

w Tuilerjach na słynnych balach cesarskich, świetna panna miała wielu starających się. Mówiono w Paryżu o jakimś młodym kapitanie kirasjerów, ze starej znakomitej rodziny francuskiej, w Wiedniu wcale niedwuznacznie wynurzali się z uczuciami dwaj młodzi arystokaci polscy, z Ostendy przychodziły wieści o konkurach niemłodego, lecz bardzo bogatego i wielce oryginalnego lorda angielskiego, nieustraszonego podróżnika i poszukiwacza mocnych wrażeń. Z lordem sprawy zaszły już podobno tak daleko, że szambelanic wybierał się zagranicę na gody weselne kiedy ni ztąd ni zowąd zjechała sama panna Ewa i oświadczyła, że zamaż nie ma wcale zamiaru wychodzić, gdyż czuje powołanie do gospodarstwa i chce staremu ojcu w trudach pomagać. Był tam jeszcze, w nawiasie, kiedyś, kiedyś bardzo dawno, o czym się wszakże nie mówiło głośno, jakiś malarz, który spotkał pannę w Paryżu, włóczył się za nią po

świecie, zawędrował nawet, w czasie chwilowego jej pobytu  
w domu rodzicielskim,  
do Nieborowic, ale tu wielce niegościnnie przyjęty przez  
szambelanica, ulotnił  
się gdzieś bez wieści. Między papą i córką od tego czasu  
stało coś, jakby  
ukryta niechęć i żal we-

wnętrzy. Długo bardzo panna nie zaglądała do stron swych  
rodziny; teraz,  
kiedy przybyła na stałe i oznajmiła gotowość pomocy w  
pracy, ojciec w starczym  
egoizmie, w obawie samotności i braku troskliwszej opieki na  
schyłku dni  
ostatnich, przyjął ją z otwartymi rękami, nie pytając  
bynajmniej o jej zamiary  
na przyszłość.

Panna wybrała sobie w stajni karego, ognistego rumaka i zaraz  
w dniu następnym  
rozpoczęła harce po folwarkach. W krótkim czasie obeznała  
się najdokładniej z  
interesami, a przy swej wrodzonej energii i uporze stała się  
rzeczywiście figurą  
w gospodarstwie starego szambelanica nieodzowną.  
Tak stały rzeczy w Nieborowicach, kiedy młody agronom  
wstąpił tu, z początku  
jako praktykant gospodarski, wkrótce jednak zajmujący w  
administracji jedno z  
wybitniejszych stanowisk. Wpłynęła na szybki awans ta  
głównie okoliczność, że



szambelanic, posuwając się w lata, tracił sprężystość umysłu,  
pamięć, łatwość  
orientowania się, wogóle niedołązniął coraz bardziej,  
Zbigniew jako człowiek z  
wyższem wykształceniem zawodowem najbardziej nadawał  
się do podjęcia trudnej  
roli kierownika.

Stosunki młodego człowieka z jaśnie paniemka na razie były  
nadmwyczaj sztywne i  
konwencjonalne. Panna Ewa traktowała praktykanta nieco z  
góry, w tonie zresztą  
najwłaściwszym dla dziedziczki względem oficjalisty. Że  
jednak Zbigniew dla  
swych kwalifikacji naukowych i obywatelskiego pochodzenia,  
dopuszczony był do  
stołu pańskiego, z czasem zachowanie się ich wzajemne  
zaczęło przybierać  
cieplejszy nieco charakter towarzyski, zwłaszcza kiedy nastaly  
długie,  
niewypowiedziane nudne, jesienne wieczory i, kiedy  
agronom przyznał się do  
pewnych skłonności muzycznych.  
Istotnie grał on wcale nieźle, choć nie zbyt uczenie, na  
skrzypcach, panna Ewa  
była wyborna fortepianistką, urządzano więc wieczorami ku  
zabiciu jesiennej  
nudy, mile, pełne poetycznego nastroju koncerty, wytwarzała  
się atmosfera  
rozkoszna, swobodna, artystyczna.

Węzeł sympatji zacisnął się jeszcze bardziej w zimie.  
Szambelanic, upadając z  
dnem każdym na siłach, drzemał ustawicznie. W czasie  
najbardziej ożywionej  
rozmowy po obiedzie, po kolacji, ogarniała go  
nieprzewyciężona senność,  
pochylał głowę i zasypiał w najlepsze w fotelu na kilka  
godzin.

Panna czuła się wtedy dziwnie samotna, ogarniała ją jakby  
jakaś obawa, jakby  
przecucie nieszczęść, czychających gdzieś po kątach,  
zatrzymywała wtedy  
Zbigniewa przy sobie ile możności jak najdłużej. Rozmawiali  
szeptem, a szept ten  
przyjmował jakieś ciepłe, pełne wzajemnej ufności i przyjaźni  
akcenty i nie  
pozostawało w nim już ani śladu z tej dawnej, urzędowej  
oschłości. Biegły dni  
za dniami jednakie, monotennie, bez wstrząśnień i wzruszeń.  
Z sąsiedztwa rzadko  
kto zaglądał i nietylko ze względu na nadwątlone zdrowie  
szambelanica, ale że  
wogóle stosunki pałacu z okolicznymi dworami były zawsze  
trochę naciągnięte i  
lodowato konwenancjonalne, więc też gość na progach  
nieborowickich komnat do  
zbyt pospolitych zjawisk nie należał. W lecie tylko zjeżdżało  
się trochę rodziny  
z dalszych stron kraju i wtedy odbywały się zabawy, majówki,  
bale. Zapanowywał

chwilowo gwar, ruch, wesołość, a potem na resztę roku pałac  
zapadał w ponurą,  
klasztorną ciszę.  
Pewnego dnia po Wielkiejnocy szambelanic przeziębivszy się  
trochę, czul się  
znacznie gorzej. Kazał się jednak przyprowadzić do jadalni i  
choć nie jadł  
siedział, a raczej drzemał w fotelu w cza-

sie całej kolacji. Chrapał mocno, w piersiach mu rzeżało,  
świstało, dmuchało  
bardzo głośno, co było nie zbyt przyjemnym  
akompanjamentem przy jedzeniu, to też  
zaraz po ostatniem daniu współbiesiadnicy w osobach starej  
rezydentki, jakiejś  
dalekiej cioci i opiekunki panny Ewy, rządcy ex-obywatela,  
starego kawalera,  
kuzyna szambelanica. któremu był powierzony główny zarząd  
lasów i młodego  
wesołego, świeżo przyjętego praktykanta wynieśli się  
pośpiesznie. Została tylko  
przy ojcu córka i Zbigniew, rozmawiający po cichu trochę o  
gospodarstwie, trochę  
o muzyce, a trochę także o niegodziwości języków ludzkich.  
Wtem szambelanic  
obudził się, powiódł leniwie, jakby nieprzytomnie oczami po  
pokoju i zatrzymał  
je na Zbigniewie.  
— Kto tu? — zapytał.  
— My — odpowiedziała panna Ewa. Starzec zaczął ziewać  
nieznośnie, szybko raz

za razem, wreszcie opuścił głowę i usnął. Ale już nie dochodziły rżenia i świstania w piersiach. Panna Ewa zaniepokojona nie mogła zdobyć się na słowo, wyciągnęła kurczowo rękę w kierunku ojca. Zbigniew wstał i zbliżył się do fotelu. Szambelanic nie żył.

### III

Oprócz drobnych legatów na rzecz rezydentki, służby i kilku starszych oficjalistów, cały majątek, przechodził w ręce panny Ewy. — Jestem zdaje się już w tym wieku, że sama mogę objąć rządy swego majątku — zdecydowała nowa dziedziczka. Sądzę, że pan nie odmówi mi nadal swej fachowej pomocy — rzekła, zwracając się do Zbigniewa. Niespodzianie zagadnięty w ten sposób zawahał się z odpowiedzią. — To znaczy że mi pani powierza? — Jeneralną plenipotencję w administracyi dominium, ja zachowuję dla siebie, jak dotąd nadzór ogólny nad praktycznym wykonaniem planów. Pan jest już dostatecznie obeznany ze stanem, naturą naszej ziemi i systemem gospodarstwa.

Zbigniew skłonił się tylko, nie widząc zresztą słusznych racji, dla których propozycji tych nie miałby przyjąć. Dziedziczka w dalszym ciągu głosem stanowczym osoby nawykłej do rozkazywania i rządzenia mówiła:

— Przedstawi mi pan swoje warunki na jakich mógłby dla mnie pracować.

Oczywiście wynagradzanie pańskie w stosunku do odpowiedzialności, jaką pan na siebie bierze, musi być znacznie wyższe niż to jakie od ojca mego pobierał. Jako honorarjum zaproponowałabym sumę jaką ojciec mój sobie za prowadzenie administracji wypłacał. Suma ta była stosunkowo wysoka: pięćset rubli, które szambelanic wpisywał regularnie do rachunków i najskrupulatniej dwa razy rocznie z kasy dóbr podnosił.

Zbigniew skłonił się znowu.

— Kancelarję z pałacu — ciągnęła dalej — przeniesie pan do Żwirówki i sam pan w tamtejszym dworze zamieszka. Jest ztąd niedaleko będzie pan miał czucie z dominium.

— Najzupełniej słusznie, przerwał pan plenipotent, ucieszony z tej kombinacji, nie uświadomiwszy sobie narazie dlaczego.

— Dostanie pan parę koni do wyjazdu, dwa wierzchowce. I wyliczała dalej

dobrodziejstwa, jakimi ma obsypać przyszłego plenipotentą,  
ciągle w tonie  
możnej władczyni, rozdającej godności i urzędy.

\* \* \*

Wśród oficjalistów nie podobało się to bardzo. Było w  
administracji kilku ludzi  
rzeczywiście godnych i zasłużonych, którzy po połowie życia  
sterali w usługach  
panów Nieborowickich; byli i tacy, którzy z dziada pradiada  
siadywali tu na  
urzędach i mieli dziedziczne pierwszeństwo przed innymi. Był  
nadto stary pan  
Brzeski, kuzyn nieboszczyka szambelanica, człowiek niegdyś  
bardzo zamożny i  
szanowany, który jakkolwiek już nieco niedołężny z powodu  
podeszłego wieku, dla  
decorum, dla prostej przyzwoitości przynajmniej, powinien  
był ująć  
zwierzchnictwo nad majątkiem samotnej panny.  
— Nie, oddano rządy młodzikowi bez doświadczenia.  
— Ba, nauka — skończył Marymont!  
Co tam nauka, szczęście, los, ot co!

— Ale waszmość takiego losu nie wygrasz, ze swoją  
czterdziestką, łysiną i  
czerwonym nosem — zauważył ktoś złośliwie.  
— Pss!

W sąsiedztwie również podejrzliwie przyjęto wiadomość o  
nominacji młodego

agronoma na stanowisko tak odpowiedzialne.

— Niewypada, niewypada — powtarzano z oburzeniem, ale wielcy państwo nie liczą się z opinią: panu i kpu i t. d. — Niechby tak obywatelska córka zrobiła. Nie nam ich sądzić — magnaci!

Zbigniew odczuł na sobie to usposobienie otoczenia w sposób bardzo bezpośredni.

Przeniósłszy się do Żwirówki musiał prowadzić dom, miał na stole praktykanta i

kilku innych oficjalistów kawalerów, którzy za kancelarją wynieśli się z

Nieborowic.

Żwirówka była to dawna siedziba szambelana, dziada pani

Ewy, który tu siadywał w

wolnych od dworskich zajęć chwilach i bawił się literaturą i sztukami.

Szambelanic dopiero wybudował pałac w Nieborowicach w stylu cesarstwa, murowany,

trochę sztywny i zimny, ale pod każdym względem wspaniały i nowożytny. Stary,

dotąd opustoszały dwór w Żwirowce, o oknach, pozabijanych

deskami, wystroił się, odmlodniał, ożywił, stał się jakby drugą rezydencją

pańską. Było to domisko obszerne, omszałe już trochę, w ziemię ze starości

zapadłe, ale ze śladami dawnej świetności. Z pod pokładów kurzu i pajęczyn

wyłoniły się bogato zdobione odrzwia, rzeźbione kominki, wytwornemi

sztukaterjami i złoconiami przybrane ściany i sufity. W starym lamusie odnaleziono nawet trochę mebli, przykrytych spłowiałymi materjami ale o kształtach wytwornych, właściwych dawnej epoce zbytku i kokieterii. Były tam wszystkie sprzęty w stylu Ludwika XV, odpowiednie do całej, wewnętrznej ornamentacji domu. Dom sam, jak większość naszych dworów wiejskich, na zewnątrz przedstawiał się bardzo pospolicie. Długi, parterowy budynek drewniany z wysokim złożonym dachem, gankiem na czterech murowanych słupach z dwoma facjatkami, nie miał zgoła jakichkolwiek pretensji do stylowości, za to za domem, park strasznie opuszczony i zarosły, przechował wśród zwałów przegniłych pni i splątanych gałęzi wiązowych, pozostałości upodobań estetycznych dawnych swych mieszkańców. Stały tam posążki z piaskowca, amorki, pasterki i boginki z pootrażaniami członkami, całe zielone od mchów

i pleśni, były tam nad strumykami groty i altany, zabezpieczające miły chłód w najznojniesze dni upalnego lata. Zbigniew po prostu ukochał swą nową siedzibę. Z nadzwyczajną energią zabrał się do uporządkowania domu i parku i w krótkim bardzo czasie urządził się po



kawalersku wprowadzie, ale nad miarę może wykwintnie, nad miarę jak na  
oficjalistę, wysługującego się na cudzej ziemi.  
W czterech obszernych, wywoskowanych pokojach stały  
wielkie szafy gdańskie,  
małe rokokowe, białe ze złoceniami mebelki, znalezione w  
lamusie, a pokryte  
świeżą materią, to znowu nowe całkiem sprzęty zamówione w  
Warszawie. Lubił  
komfort i cieszył się tym jak dziecko, oglądał, przestawiał,  
dodawał coraz to  
nowe ozdoby i upiększenia, aż wreszcie uczul się, wśród tych  
wspaniałości  
dziwnie samotny i opuszczony. Chodził po pustych salonach i  
wzdychał niepokojony  
jakaś mocną, nieokreśloną tęsknotą. Wkrótce jednak zaczął  
zdawać sobie sprawę ze  
stanu swego ducha. Urządził sobie gniazdo już nietylko  
wygodne ale poprostu  
rozkoszne, nie każdy właściciel większego nawet folwarku  
mógł sobie na takie  
zbytki pozwolić. Jakżeby rad wprowadzić tu

młodą, piękną, kochającą kobietę. Zbigniew, otwarcie  
mówiąc, tęsknił do ożenku.  
Skończył właśnie rok dwudziesty trzeci i mógł śmiało używać  
jeszcze swobody  
kawalerskiej lat kilka, ale, ściśle biorąc, na wsi ze swobody tej  
korzystać  
znacznie trudniej, a ztąd zamiary matrymonialne wcześniej  
ogarniają imaginację.

Zresztą był on w dzisiejszym rozumieniu słowa  
zdecydowanym filistrem. Szalał i  
on kiedyś za czasów marymonckich, kiedy wieczorami,  
wykradając się z pod  
troskliwej opieki pedlów, biegli do Warszawy, do kawiarenki  
słynnej Józi,  
zamieniali mundury na najdziwaczniejsze okrywki, rajtroki i  
płaszczki, które  
usłużna Żydóweczka przechowywała do dyspozycji panów  
studentów. Szumieli po  
mieście z furją, fantazją i rozmachem lat dwudziestu. Buchało  
wtedy życie jak z  
otwartych kraterów z hukiem, trzaskiem, z bezwzględnością  
siły żywiołowej.  
Wyładowywano nadmiar energii na tysiące szaleństw, figlów,  
na najdziwaczniejsze  
pomysły, rozigranych podnieconych zmysłów i gorejącego  
mózgu. Ale teraz kiedy  
zajął stanowisko poważne, czując zwrócone na swoją osobę  
oczy tylu ludzi  
statecznych, pracujących pod jego przewodem ciężko dla  
kawałka chleba, na  
utrzymanie licznych rodzin, obudziła się

w nim potrzeba wyrobienia w sobie tego tonu ciężkiej powagi  
i obawa przed każdym  
bardziej płochym krokiem, któryby mógł powagę tę wobec  
podwładnych  
skompromitować. Wtedy myśl rozpalenia ogniska domowego,  
założenia mocnych,

pewnych podwalin egzystencji, stawała się coraz bardziej natrętną i przedstawiała się jako wygodna ostoja na burzliwym oceanie pokus i namiętności. To też załatwiwszy się z urządzeniem domu . wsiadł pan Zbigniew do koczobryka bardzo ele ganckiego z fordeklem, z bronzami i machnął się z wizytami do sąsiednich dworów, ale przyjęto go chłodno i podejrzliwie; Zrażony tem młody człowiek zwrócił się w inną stronę. Było w majątku dwóch ekonomów, lepszej — jak mówiono — kondycji. Ex-obywatele podobno dawniej, obecnie już tylko posiadacze licznych rodzin wszelkiej płci i wieku. Pewnej niedzieli, a zatem nie z interesem, zajechał na żółtym, węgierskim wózku do jednego z nich i tu znów nie mile dotknięty został przyjęciem nieufnem, a pełnem jakiejś wstrętnej unizoności. Panny własnymi spódnicami wycierały stołki, na których miał usiąść, a potem się pochowały do alkierza. Pan ojciec wpół się łamał, zapraszając do „niskich progów swej ubożuchnej

chałupy," a bawił gościa z taką wyszukaną grzecznością, tak sztucznie wybierał przedmioty do rozmowy, tak bojaźliwie patrzył mu w oczy, że miody człowiek

wyjechał ztąd z zamiarem nie wracania więcej. Innym znowu  
razem przyjął łaskawie  
zaproszenie drugiego ex-dziedzica — ekonoma na jakąś  
uroczystość rodzinną, a  
przyjęciem tym miał jakoby wyświadczyć najwyższą łaskę i  
honor największy  
proszącemu. Przyjechał wieczorem, kiedy się już zabawa  
rozpoczęła. Zdaleka  
huczała nieco dychawiczna harmonia, dolatywały ogniste  
takty obertasa i  
dziarskie pohukiwanie tancerzy. Skoro Zbigniew ukazał się na  
progu, towarzystwo  
jakby onieśmiałe przybyciem pana administratora,  
zawiesiło nagle tańce, a  
gospodarz w najśłodszych słowach tłumaczył się, jak ze  
śmiertelnego grzechu.  
— Ot młodzież zdobyła harmonję i skacze. Cóż niestać nas  
na klawicymbały.  
Zresztą — co ekonomskim córkom po klawicymbałach.  
Na usilne prośby Zbigniewa rozpoczęto na nowo zabawę, ale  
już bez poprzedniego  
animuszu i ożywienia, mniej było hukania i ognistych  
hołubców, tańczono jakoś  
sztywnie i wymuszenie. On sam byłby z duszy zawrócił od  
komina, z rozmachem,

jak to ongi za czasów studenckich w marymonckiej karczmie,  
ale mu ten nastrój  
oficjalny odebrał wszelką do tańców ochotę. Siedział zimny,  
sztywny jak magog

indyjski, kurtyzowany ustawicznie przez oboje gospodarstwa i całą ich liczną progeniturę. Kolacya była skromniutka, jakby z obawy, ażeby obecny zwierzchnik nie posądził oficjalistów o zbytki, lub co za tem zresztą idzie, o nadużycia służbowe. Podano schab z kapustą i kielbasę na szaro, z wieprza specjalnie w ten dzień zabitego. Pozatem były jakieś ciasteczka domowego wypieku, tudzież domowe nalewki i konfitury, jako dowód skrzętności gospodarskiej pani domu. Za napój służyło zwykle piwo owsiane z Nieborowieckiego browaru. Zbigniew odjeżdżał wcześniej, żegnany niezmiernie grzecznie i solennie przez całe towarzystwo. Nie wydostał się jeszcze za opłotki obejścia, a już dosłyszał, jak djapazon wesołości w domu pana ekonoma podniósł się znakomicie. Zagrzmiało siarczyste dziś, dziś, dziś... hopsasa! Tęgi bas komenderował: a dać tu nam do mazura butelczynę wina jedną i drugą! Wesoło panowie, a z życiem! Tym ludziskom przez głowę nie przeszło, że młody pan administrator mógł przybyć do nich w zamiarach sentymentalnych.

Zbigniew wracał z balu w humorze jaknajgorszym. Gniewało go to stanowisko wyjątkowe. Traktowany z akcentem pewnej wyższości i lekceważenia przez jednych,

z przesadną czcią i nieufnością przez innych, uważał się za strasznie osamotnionego, za okropnie pokrzywdzonego i nieszczęśliwego. W domu przy stole po ciężkiej pracy i licznych kłopotach gospodarskich czekało go znowu towarzystwo nudnych, zaśniedziałych na wsi ludzi, zniżających głos w rozmowach ze sobą w chwili, kiedy on zwrócił na nich swoje spojrzenie i, choć młoda, krewka jego organizacja domagała się wielkim głosem życia pełnią sił, rozmarzała mu głowę holucynacjami rozkosznych widziadeł, zastawiał się w poczuciu obowiązku odpowiedzialnością swego stanowiska. Bywało młody praktykant gagatek bardzo przez matkę rozpieszczony i zepsuty, przyszły dziedzic znacznych włości przychodził do niego z żalami na nudy i namawiał na jakąś eskapadę, wtedy Zbigniew występował z ostrym kazaniem na temat pracy, obowiązku i dobrego przykładu dla ludu.  
— Panie! ten lud taki tu w tych stronach brzydki — wołał tamten cynicznie — że poprostu trudno

jest dawać złe przykłady. W całej okolicy jednej ludzkiej twarzy nie spotkałem.

Jak Boga kocham! Wie pan pojedziemy sobie na jarmarczek do Podgórze, można się będzie nieco rozerwać.

Zbigniew choć czuł w sobie nieprzepartą potrzebę zabawy,  
wesołości, swobody, bał  
się jakichkolwiek ekstrawagancji tak blisko, gdzie mógłby  
spotkać którego z  
oficjalistów, lub dziedzica z najbliższego sąsiedztwa.  
— Ba, żeby to do Warszawy!... I wybierał się do Warszawy,  
gdzie postanawiał  
bawić się, jak Sardanapal. Ale to dopiero mogłoby nastąpić na  
późnej jesieni po  
sprzętach, po załatwieniu najpilniejszych spraw  
gospodarskich.

#### IV

Tymczasem oficjalne narady z dziedziczką o sprawach  
gospodarskich, o  
melioracjach rolnych, o zatargach z włościanami, o porębach,  
o opasach, o  
browarze i gorzelni przechodziły po trochu na  
bezprzedmiotowe zgoła dyskusje:  
literaturę, sztukę, a także na zwierzenia osobiste, coby dziś  
nazwać można było  
niewinnym flirtem. Węzeł sympatji, chwilowo rozluźniony  
przykremleni  
wstrząśnieniami, zacieśniał się silniej i miody człowiek  
zdawał już sobie sprawę  
z tego, że istotnie poszukuje towarzystwa panny Ewy, że się  
wobec niej czuje

mniej samotnym i mniej nieszczęśliwym. Zaczęły się też na nowo wspólne koncerty, przerwane na dłużej przez śmierć ojca, na których drzemała teraz ciotka Figarska, jak ongi szambelanic.

I zdarzyło się pewnego wieczora, że ogarnęło ich niespodzianie atmosfera nadzwyczajnej rzewności, mówili o swych losach, życiu, nadziejach, a raczej beznadziejności. Zwłaszcza panna Ewa, dziwnie rozdrażniona dnia tego, biadała na swą gwiazdę, mimo pozornej świetności, tak przecież ciemną i ponurą. Skarżyła się, że fatum jakieś okrutne i bezlitosne, które mściło się na niej i niepozwoiliło zaznać jedyne, prawdziwego szczęścia, którem cieszy się najnędniesz z jej poddaneek.  
— Nie — przecież to jest nadzwyczajne, mówiła z nerwową egzaltacją — przejść przez życie wśród takiej bezdennej pustki i chłodu. Kiedy spojrzę za siebie i widzę tę długą drogę, jakby śniegiem usypaną, taką białą, taką niemiłosiernie białą, zimną, pustą, połyskującą niby przepychem gwiazd brylantowych, kryształowymi igiełkami lodu, to tak bym się chciała porwać za włosy, zawlec z powrotem hen, aż do początku i potem biedz przez zielone murawy, w inną,



zupełnie inną stronę, przez czarną ziemię, przez żółte spiekle  
piaski, przez  
kałuże krwi czerwonej, przez płomienie... Ale się to nie wróci  
choćbym głowę o  
mur rozbiła, to się nie wróci, jak nic się nie wróci, nic co już

było... A ta świadomość jest męczarnią... Oh! przedemną już  
tylko grób.

Zbigniewowi, który miał serce miękkie, od tych żalów zebrało  
się na litość

bardzo szczerą. Współczucie dla nieszczęśliwej, a przecież  
godnej ze wszech miar

najwyższego szczęścia kobiety, wywołało w duszy pragnienie  
ukojenia jej i

pocieszenia.

— Och, gdybym umiał, gdybym mógł nagrodzić jej utracone  
raje, miłością swoją

opłacić z lichwą lata tęsknoty, z jakąż radością oddałbym  
życie swoje całe

niepodzielnie jej, jej tylko jednej. I grała mu tak w tej chwili w  
piersiach

żwawa pobudka do poświęceń, że byłby upadł na kolana i  
wołał...

— Kochaj mnie; ja cię swoją wielką, bezgraniczną miłością  
wykupię od piekłą

zwątpień i rozczarowań. Nie wołał jednak, lecz dość  
niezręcznie bąkał.

— Co też pani mówi... jak można... coś podobnego... i brał jej  
ręce i bardzo

gorąco wyczałował. Ona mu rąk nie cofnęła, więc zatrzymał je  
dłużej w dłoniach

swoich. Czuł ich ciepło, atlasową delikatność skóry, i już bez  
słów całował  
dalej cienkie, wykwintne palce i miękie dłonie różowe

i pieścił się niemi jak miłą zabawką. A kiedy głowy ich  
nachyliły się ku sobie i  
poczuł na skroni lekkie, jedwabiste dotknięcie włosów i woń  
ich przenikającą,  
doznał jakby zawrotu głowy.  
Stan ten zaniepokoił go trochę. Wstał poważnie z najgłębszym  
szacunkiem  
pocałował na pożegnanie podaną rękę panny Ewy i wyszedł.  
— Kiedy się znalazł sam na koniu wśród ciemnej nocy,  
cwałował z początku w  
potrzebie gwałtownego ruchu, uciekając jak najdalej od tych  
miejsz, gdzie się z  
nim stało coś, czego ani nazwać ani określić nie potrafi.  
Następnie jednak  
zwalniał po trochu bieg wierzchowca, jakby chciał w spokoju  
uważniej wsłuchać  
się w drżenie serca i poznać istotę jego niepokojów. Wreszcie  
stanął w  
strzemionach, opuścił cugle na szyję końską i wznosząc ręce  
ku niebu rzucił  
gwiazdom wyznanie szerokie, głośnie z pełnej piersi.  
— Kocham, kocham! Tak, nie mogę się dłużej okłamywać. I  
włókł się dalej noga za  
nogą rozmarzony, pełen dziwnych szamotań wewnętrznych a  
zarazem rzewnej  
błogości.

I zaczęła się dla dwudziestokilkoletniego młodzieńca epoka  
słodkiej, bezmiernej  
tęsknoty, rozkosznych mak i bolesnych ekstaz.

Torturował się przewidywaniami najokropniejszych zawodów,  
rozpaczał, cierpiał i  
w cierpieniach tych odnajdywał źródło przedziwnych  
zachwyków. Do pałacu nie  
pojechał dnia następnego, choć go tam straszliwie ciągnęło —  
heroicznie walczył  
ze sobą, a potem tryumfował w uniesieniu z odniesionego  
zwycięstwa, choć walka  
zmoła go do wyczerpania. Wyobraźnia rozfantazjowała się  
na dobre i ubrała Ewę w  
zaziemskie najcudniejsze kształty i barwy. Widział ją przed  
sobą, czuł w ujęciu,  
słyszał głos dźwięczny, miękki, miłosny głos kochanki — to  
znów surowy,  
odpychający dziedziczki.  
— Na trzeci dzień dopiero spotkał ją niespodziewanie na  
skraju lasu  
nieborowickiego. Przejeżdżał właśnie konno, kiedy usłyszał  
za sobą tentent  
gwałtownego galopa. Obejrzał się.  
Panna Ewa pędziła na spienionym ogierze, sama szybko  
dyszając ze zmęczenia.  
— Pani sama?  
— Zgubiłam gdzieś niedołęgę forysia. Zachciało mi się jazdy  
forsownej —  
poczekam tu na niego. Pomóż mi pan zsiąść!

Zbigniew zeskoczył z konia i podał jej rękę. Osunęła się ciężko, jakby nad miarę wyczerpana, opierając się o niego całym swoim ciężarem.

— Ach, taka jazda piekielna! Wiatr świszczę, chłoszczę po twarzy, orzeźwia; koń unosi jak na skrzydłach, gdzieś jakby w inne światy, lepsze, weselsze... I

dobrze, dobrze mi tak, choć tchu złapać nie mogę. Szpicrutą ścinała kapryśnie i nerwowo trawy i zioła przed sobą.

— Ach, traci się poczucie rzeczywistości. Z górki na której stali dostrzegli w dali na grobli między młynami forysia, pędzącego w stronę pałacu. Zbigniew huknął na niego, ale chłopak nie słyszał, nacisnął czapkę na głowę, skurczył się na siodle we czworo i cwałował dalej w tym samym kierunku.

— Niedołęga — syknęła panna Ewa.

— Ja panią odwiozę.

— Odpocznę tutaj — zdecydowała panna i rzuciła się jak długa na murawę.

Zbigniew przywiązał konie do pnia wyniosłej sosny, przysiadł w pewnej odległości i wpatrywał się w nią okiem łakomem, z nieznaną u siebie dotąd pożądlivością.

Ona bez krynoliny w czarnej amazonce, obciskającej dokładnie jej wykwinte kształty leżała na trawie długa, wysmukła. Zarzuciła ręce pod głowę, przez co

uwydlatniały się

mocno jej piersi pełne i okrągłe, wznoszące się szybko przy oddychaniu.

W Zbigniewie zrodziły się instynkta drapieżne, brutalne, dzikie, wpatrywał się w nią wzrokiem węża hypnotyzującego swoją ofiarę przed pożarciem, porwał się ku niej gwałtownie, przypadł do rąk i okrył je ognistymi pocałunkami, potem uniósł całą przycisnął z całych sił do piersi i wpił się ustami w jej usta. Panna Ewa zrazu jakby nieprzytomna poddała się tej rozkosznej pieśczoście, przymknęła zamglone oczy i trwała tak sama w upojeniu miłosnem, nagle mocnym mchem odepchnęła mężczyznę, zakryła twarz rękami i jęknęła boleśnie.

— Coś pan zrobił?!

A potem zaraz zerwała się na równe nogi i głosem surowym, ostrym jak stal pytała.

— Jak pan śmiałeś?

Ale Zbigniew już klęczał przed nią i przepraszał:

— Wybacz, wybacz pani, kocham cię nad życie...

Wtedy nachyliła się nad nim i szepnęła mu cicho, silnie: —

Kocham — kocham cię

Zbigniewie do śmierci i jednocześnie spieszenie i trwożliwie

siadała na koń, a kiedy Zbigniew błagał ażeby nie odjeżdżała, ażeby przedłużyła chwilę rozkoszy, ona odrzekła z nadzwyczajną stanowczością...

— Nie, nie, najdroższy — teraz nie możemy się widywać bez świadków.

We dwa miesiące potem odbył się ślub panny Ewy Nikockiej z administratorem.

## V

Wiadomość o małżeństwie nie sprawiła wprawdzie w okolicy wrażenia piorunu z jasnego nieba — oczekiwano trochę tego z dnia na dzień, nie mniej przecież gorszono się nie na żarty.

— Ha, młody człowiek sprzedał się najwyraźniej .

— Takiej pani wychodzić za oficjalistę dla tego, że młody i ma ładny wąsik!

— Puści majątek i będzie romansował z pokojówkami.

— Żeby tylko z pokojówkami!... Nie utrzyma stara jejmość młodzika, pobawi się za jej wiano, pobawi.

— Dobrze jej tak.

— Da ona i jemu octu i żółci wyrobionych na staropanieńskich narowach — nie bójcie się państwo.

— Dobrze mu tak.

Nic jednak z tego w rzeczywistości nie było. Małżeństwo żyło ze sobą w najprzykładniejszej zgodzie i miłości. Niczem niezakłócona harmonja panowała w tem stadle. Zapewne w Zbigniewie mogły nieco ochłonać pierwsze porywy namiętnych uniesień, mógł utracić także różowe okulary zmysłowych omamień, ale pozostało przywiązanie i wdzięczność. Zresztą był on jak już mówiliśmy w dzisiejszem znaczeniu filistrem, to jest, jak się dawniej nazywało, człowiekiem obowiązku. Ożenił się, przysiągł miłość, wierność, opiekę. Ha, trudno, klamka zapadła. Ma tę żonę, a nie inną i już trzeba pilnować domowego ogniska... Starał się więc przedewszystkiem o to, ażeby utrzymać się na wysokości stanowiska głównego administratora tak teraz wszystkie myśli jego zwrócone były w kierunku sumiennego wypełniania obowiązków męża i dziedzica. Dbał też niezmiernie o utrzymanie w należytych splendorach swego jaśnie państwa, czem go teraz mimo utajonych niechęci szczodrnie naokół raczono. Wprawdzie jaśnie panom wolno a raczej wprost wskazane, choćby dla zadość uczynienia tradycjom miejscowym, opromienienie rzeczowe losów jakiejś

gwiazdy baletowej w stolicy, pan Zbigniew jednakże zanadto  
wiele miał do  
zawdzięczenia swej żonie i zanadto szczerze to w sobie  
odczuwał, ażeby miał  
czemś podobnym zapłacić za tyle miłości i przywiązania. Nie  
zrobił by tego nawet  
w przeświadczeniu że, czego oczy nie widzą to sercu nie żal.  
Nie zrobiłby tego  
przez poczucie niestosowności... chyba kiedyś w przyszłości.  
Tymczasem w Nieborowicach otworzono na ścieżaj bramy dla  
gości. Zapanował tu  
duch bardziej demokratyczny niż za czasów szambelanica,  
bywali ci i owi — a  
przyjmowano hucznie, serdecznie, szeroko i nowy dziedzic  
zaskarbiał sobie laski  
i zaufanie sąsiadów.  
Stał się też wkrótce powszechnie lubianym i szanowanym  
obywatelem. I płynęło tak  
życie równo, szczęśliwie, aż Zbigniew znalazł się w  
konieczności zrobienia  
podróży w odległe kraje. Żona chciała towarzyszyć mężowi,  
ale on ją uprosił, aby  
się została i zajęła się majątkiem, który miał przejść teraz  
ciężkie paroksyzmy.  
Pojechał więc sam i oto teraz po dziesięciu latach wraca  
przepojony  
niewypowiedzianą radością i zachwycony tem, co widzi  
dokoła siebie.



Wraca do majątku swojej żony... do żony.  
Spotkanie w wagonie narzuca mu dziwny łańcuch  
wątpliwości, zestawień. Niby zmora  
męcząca siadła mu na mózgu myśl jedna, uparta, uprzykrzona,  
okrutna i szarpie  
niemiłosiernie cale jestestwo duchowe, wstrząsa, niepokoi.  
Nasuwa mu się  
gwałtownie porównanie obecnych w wagonie kobiet i  
wyobraża sobie, że żona jego  
do której obecnie śpieszy musi właśnie tak wyglądać jak owa  
matka niedołączna,  
karykaturalnie otyła, o kształtach rozlanych, staruszka. Robi w  
myśli rachunek:  
dziesięć lat rozłąki — dziesięć lat! Jakież nadzwyczajne  
zmiany i spustoszenie  
robi tak długi okres czasu. I pejzaż przecież zmienił się do  
niepoznania.  
Stuletnie drzewa, które znał kiedyś jako starych przyjaciół,  
poszły na podkłady  
kolejowe, poznikały

z powierzchni kraju, na ich miejscu zielenieją młode  
zagajniki, lub ścielą się  
bujne lawy zbóż po karczowiskach. To znowu zbocza  
zarosłych gąszczami jarów i  
uroczysk świecą jasnym zlotem, świeżo rozkopanych  
piasków. Czyż oszczędzić mógł  
czas cokolwiek z egzystencji ludzkiej, tak zresztą wątłej i  
przelotnej. Dziesięć  
lat!

A jednak on sam czuje się przecież młodym, silnym,  
energicznym, czuje chęć do  
życia, zda mu się, że przespał jak suseł w śnie jakimś, niby  
zaczarowany, długie  
lata, że wśród zimnych borealnych tchnień, wśród śniegów i  
lodów północy,  
powstrzymały się konieczne procesy biologiczne, że nie żył  
całe lat dziesięć i  
teraz rwie się do światła z wznowioną energią, nie marzył, nie  
myślał... A  
przecież ciężkie to były chwile, straszne, okrutne. Gdyby je  
miał jeszcze  
przeżywać po raz drugi, zabrakło by mu odwagi. Tyle  
cierpień, walk...  
I znowu natrętne cyfry lat żony i jego skaczą w mózgu jak  
pajace cyrkowi w  
jaskrawych, pstrokatych łachmanach, dzwoniąc hałaśliwie  
brząkadłami...  
Niepodobna wyprzeć ich stamtąd, zagłuszyć nieznośnego  
brzęczenia.  
— Czterdzieści dziewięć — dzwoni w uszach nieustannie i  
przygląda się z  
wzrastającym niesma-

kiem bezkształtnej figurze, siedzącej naprzeciwko damy.  
— Pani ta nie ma więcej nad pięćdziesiątkę. Tak wyglądać  
może i moja żona. I  
znowu starał się zmienić kierunek myśli, wdał się z sobą  
samym w zawziętą  
djalektykę.

— Ewa nie może tak wyglądać. Była zawsze szczupła i nigdy nie zdradzała skłonności do tuszy. Niepodobna! Więc zjawilo się przed oczami wyobraźni widmo innej — starej, suchej kobiety, o zżółkłej pomiętej cerze, o policzkach zapadłych, podartych głębokimi bruzdami, zmarszczkami, o ostrym, spiczastym profilu i szczyrzyło do niego czarne, spróchniałe zęby z pod wązkich warg, suchych i bezbarwnych. Zrzuca przed nim bezwstydnie szaty, drze je w kawały i staje zupełnie naga o biednych, wyschniętych piersiach, o plecach wygiętych, pokrytych zwiędłą skórą, z pod której sterczą ostre kości.

— Pan do Warszawy — ośmieliła się wreszcie zacząć rozmowę tłusta pani.

— Tak — właściwie dalej — odparł z roztargnieniem Zbigniew, bo właśnie chłonał wzrokiem postać pięknej panny, siedzącej naprzeciwko. Wzrokiem dotykał prawie ust czerwonych soczystych,

jej piersi pełnych, przeciągał wzrok w zmysłowem zachwyceniu wzdłuż bioder okrągłych... A, a, a, a! Widmo chudej, starej kobiety stanęło obok i tryumfująco woła doń: Mój!

Zapytanie to przerwało marzenie, zdało mu się, iż jest schwytyany na gorącym

uczynku najwyższej rozpusty. Krew uderzyła do głowy i żywy  
pons oblał jego  
opalone policzki i szedł w górę ku oczom, aż wykwitnął na  
białym, jasnym czole.

— My do Warszawy! — ciągnęła dalej. — Ach Boże, tak się  
boję tej Warszawy.

Takie wielkie miasto... Nie byłam tam jak dzieckiem jeszcze...

Cóż my

parafianki. Ewelinka była tam na pensji, ale miasta nie zna.

— I mówiła tak

długo tłusta pani o swoich obawach, emocjach w podróży, jak  
to zwykle w wagonie

z ludźmi nieznanymi mówi się dla zabicia czasu i dla tego, że  
się poprostu nie

umie milczeć. Zbigniew odpowiadał monosylabami, w  
miejscach najkonieczniejszych,

cały wpatrzony w dziewczynę świeżą, hożą, młodą.

Czuł, że wdziera mu się ona do duszy, że wypiera z niej  
wszystko inne, że

ogarnia sobą całe jej przestworza wyłącznie i niepodzielnie.

Zrazu,

oświadczywszy sobie zjawisko, przejął się niepokojem

człowieka, który już dźwiga

kajdany obo-

wiązku, lecz wytłomaczył sobie, że przecież podróż się  
skończy i rozejdą się w

różne krańce świata, dla czegoż więc ma żałować oczom  
niewinnej rozkoszy.

I skończyła się podróż. Pociąg stanął na dworcu. Zgiełk, ruch,  
zamieszanie

wielkowiejskie porwały ich i rozdzieliły.

## VII

Zbigniew przenocowawszy w hotelu, wybrał się od rana na miasto w celu załatwienia kilku formalności urzędowych. Nad wieczorem miał wyruszyć w dalszą drogę koleją wiedeńską. Około południa, przechodząc ulicą Senatorską spostrzegł wczorajsze towarzyszki podróży. Stały na rogu Miodowej, próbując przejść na drugą stronę ulicy... Starsza w najwyższej niezaradności wypuszczała się naprzód kilka kroków i natychmiast, wobec przejeżdżających dorożek, cofała się na trotuar. Młodsza dzwoniła srebrnym, nieco pustaczym śmiechem i starała się przekonać matkę o zupełnym bezpieczeństwie przejścia.  
— Niechże mi mama poda rękę — przejdziemy najswobodniej.

— Przejadą! przejadą! biadała rozpaczliwie — cóż to za ruch piekielny. Istny tartak — W głowie huczy jak w młynie.  
— Ha, ha, ha, — śmiała się panna, tylu ludzi przechodzi i nic się nikomu nie

stało. Wysuwała to jedną to drugą nogę naprzód, próbując przejść.

Daremnie, nieprzewyciężony strach trzymał ją na miejscu. Zbigniew skłonił się paniom kapeluszem. Poznały go odrazu, a młodsza, z wyrazem najwyższej radości w oczach, zwróciła się doń z prośbą. — Ach jakże to szczęśliwie, że pana spotykamy. Mama się boi ruchu — niech pan poda mamie ramię i pomoże przejść przez ulicę. Będzie to dobry uczynek wobec bliźniego.

A starsza żaliła się.

— Widzi pan stara, niedołączna prowincjonalistka, nie umie chodzić po tej pięknej Warszawie.

Zbigniew zbliżył się, podając ramię...

Tłusta pani zaprotestowała.

— Ach, ale przecież muszę sama — dziękuję — niemożna zawsze... i mówiąc to, jakby wreszcie uwierzyła we własne siły, wytoczyła się jak kula z impetem na środek ulicy, ale nadjeżdżająca z Miodowej dorożka, nastraszyła ją znowu więc z równym

impetem rzuciła się w tył. W tej chwili nadbiegła inna dorożka parokonna, skracająca z ulicy Senatorskiej. Woźnica zauważył wprawdzie niespodziewany, nagły ruch kobiety, ściągnął konie z całej siły, chcąc osadzić je na miejscu,

ale było już zapóźno, bo właśnie dyszel, podniesiony przez to  
nagle szarpnięcie  
uprząży, w samą skroń uderzył przechodzącą.  
Runęła na wznak jak piorunem rażona.  
Córka wydała straszny, nieludzki okrzyk. Zbigniew poskoczył  
i chciał podnieść  
obaloną, lecz była to już bezwładna masa ciała ciepła jeszcze i  
wolna, ale życie  
najwidoczniej uleciało. Mała krwawa plama znaczyła się na  
skroni. Dokoła  
tworzyło się wielkie zbiegowisko; jakiś jegomość, z miną  
człowieka pewnego  
siebie, przytrzymał dorożkarza, sprawcę wypadku, inny  
nachyliwszy się nad  
podnoszoną przez Zbigniewa panią zawyrokował  
kategorycznie:  
— Nie żyje!  
Na słowa te nowy okrzyk, jeszcze bardziej okropny, bardziej  
rozpaczny i  
rozdzierający przeszył powietrze i górował chwilę nad  
gwarem, jaki czyniło  
zbiegowisko.

— Nie żyje — wołała córka? — To nieprawda! To  
niepodobna!

Zbigniew nie mogąc sam unieść ciała, które mu się przelewało  
w rękach, złożył je  
z powrotem na bruku.

— Ratuście — wołała dziewczyna zrozpaczona, — ona nie  
żyje.

— Nie żyje — powtórzył jegomość o minie człowieka pewnego siebie.

— Uderzenie w skroń, kaput!

Znalazł się policjant i dwóch stróżów; wzięli ciało na ręce i zanieśli do sieni

sąsiedniego domu, zamykając za sobą bramę.

Córka wzrokiem przerażonym, obłąkanym toczyła po zebranych. Nieznane, obce

twarze! Dostrzegła Zbigniewa. Przypadła mu do ręki, jakby go chciała pocałować.

— Zabrali ją, zabrali — wołała — Gdzie? Panie ratuj. Ja sama, ja niewiem... ja

oszaleję... Panie na rany Chrystusa, zaprowadź mnie do niej...

Ona żyje.

Zbigniew wziął ją pod rękę; poszedł do bramy i zastukał silnie laską.

— Czego? — Niemożna!

— Córka zabitej — odpowiedział.

Wpuścili ich do sieni. Była już tam spora garstka ciekawych.

Jegomość o pewnej

minie klęczał nad trupem i badał go starannie.

— Posiać po nosze.

— Już posłane — odparł policjant.

Córka ze spazmatycznym płaczem i łkaniem rzuciła się na ciało matki i przywarła

ustami do jej stygnących policzków. Dwaj stróże starali się ją podnieść, oderwać

od trupa — zaczęła się więc dziwna walka... szamotanie.

— Puśćcie mnie do niej — wołała — puśćcie!... Zbigniew stał bezradny, nie



wiedząc co ma  
z sobą począć...

— Jak się ta pani nazywa? — pytał go policjant, podchodząc doń z notesem w ręku.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ta młoda panna jest córką zabitej — zapytajcie jej.

Ona blada, wyczerpana szamotaniem się ze stróżami, nieprzytomna, stała teraz oparta o ścianę, zanosząc się cichym łkaniem.

— Jak nazwisko pani? — pytał policjant.

— Wpatrzyła się weń, nie pojmując. Zbigniew zbliżył się i powtórzył pytanie.

— Ewa Nikocka.

Z kolei Zbigniew otworzył oczy półprzytomnie. Myślał że się przesłyszał. Takie imię i nazwisko nosiła jego żona.

— Zabita jest matką pani?

— Matka, matka! i nowy wybuch przerwał na chwilę indagację. Później powoli dobadano się, że panie te stanęły w hotelu Saskim, że pochodzą z pod Brześcia, że przez Warszawę przejeżdżają tylko, udając się dalej na wieś do krewnych.

Kiedy sprowadzono nosze, zrodziło się pytanie dokąd należy zanieść trupa i z tem zwrócono się do Zbigniewa. Widocznie uważano go tu za członka rodziny poszkodowanej. On wzruszył tylko ramionami.

— Do trupiarni, do trupiarni, zakomenderował jegomość o  
minie człowieka pewnego  
siebie: Po co robić dziewczynie jeszcze kłopoty.  
Posługacze złożyli ciało na nosze, przykryte szarem, brudnym  
płótnem i ruszyli  
śpiesznie naprzód.  
Jak lunatyczka szła za nimi panna Ewa, ciągnąc za sobą  
Zbigniewa, który biernie  
poddawał się okolicznościom.  
Kiedy załatwiono się z formalnościami w trupiarni, panna  
załamała ręce nad głową  
w bezdennej rozpacz i wołała z przestraczem:

— Sama! sama!  
— Nie ma pani krewnych w Warszawie?  
— Mieszkają tu dwie ciotki, czy dalekie krewne — niewiem  
— Odprowadzę panią tam — niech się tymczasem zaopiekują  
— Zna pani adres?  
— Mieszkają na Krochmalnej. Dziś rano byliśmy już tam z  
matką  
Zbigniew skinął na dorożkę  
— Pan ze mną pojedzie? zapytała z obawą.  
Kiedy wsiedli do powozu panna, jak małe dziecko przytuliła  
mu się do ramienia i  
szlochając zaczęła:  
Mój Boże, jaki pan dobry, a my się przecież prawie nie  
znamy, nie znam pańskiego  
nazwiska, ani pan nie wie kto ja jestem. — Może to nie  
wypada, może  
nieprzyzwoicie, ale w nieszczęściu takim, w takim  
opuszczeniu...

Tu Zbigniew wymienił po prostu swe imię i nazwisko, ale za to panna zaczęła spowiadać się długo z dziejów swego życia, co robiła dotąd i jakie ma plany na przyszłość.

Z opowieści tych Zbigniew dowiedział się, że państwo Nikoccy posiadali ongi na Litwie spory majątek ziemski, który jednak potrochu przecho-

dził w ręce wierzycieli, że upadali coraz bardziej, aż wreszcie po śmierci męża,

wdowa sprzedała resztę, zapewniając sobie tylko nieznaczne dożywocie i

używalność do śmierci dworu w rodzinnej wiosce. Że ona, córka ich, ma złożonych

w banku wileńskim kilka tysięcy rubli, które będzie mogła odebrać po dojściu do

pełnoletności, co właśnie teraz ma nastąpić. Przyjechały do Warszawy z matką,

gdyż życie na wsi bez gospodarstwa było czcze i bezcelowe, dla niej zwłaszcza,

która czuła potrzebę pracy na szerszeni polu. Zdarzyło się przy tem, że obecny

właściciel majątku, wydając córkę za mąż potrzebował dla siebie dworu w

Koryczkach, zaproponował więc ustąpienie go za wysokie stosunkowo wynagrodzenie.

Postanowiły więc panie te skorzystać z okoliczności, wziąć pieniądze i za nie

zainstalować się w Warszawie, gdzie by młoda i energiczna dziewczyna mogła coś

przedsięwziąć i własną pracą powiększyć skromne dotąd dochody.

— Miałyśmy przedtem jednak — kończyła — pojechać na kilka tygodni do Nieborowic do siostry stryjecznej mego ojca, której wcale nie znamy. Jest ona z domu Nikocka.

Ewa Nikocka tak jak ja i... doprawdy dziwne zdarzenie.

Kiedym usłyszała nazwisko pańskie, choć to w takiej chwili...

— Ja jestem jej mężem — przerwał Zbigniew głucho...

— Panna popatrzyła nań wielkimi oczami!

— Pan żonaty? a potem — to dobrze! mówiła, lecz bez istotnej radości — to dobrze. Tośmy już nie zupełnie obcy sobie.

Jakie to dziwne jednak — to spotkanie. — I Zbigniew myślał już o tem... i prawie

nie wierzył... i zdało mu się to snem, czy przywidzeniem.

— Stanęli przed starym, odrapanym domem na Krochmalnej.

Tu mieszkały kuzynki

Ewy, dwie stare panny Pońkowskie, córki eks-obywateli ziemskich, jak wielu

innych w tych czasach z rokosznych wiosek rodzinnych, dziedzicznych na twardy

bruk miejski przeniesionych. Odmienne warunki

gospodarstwa miejskiego stały się

dla licznych mniej odpornych, mniej opatrznych dziedziców hasłem ruiny

majątkowej. Pozostawiali ojcowizny od wieków w jednej rodzinie z ojca na syna

dziedziczone, wzbogaconym ni ztąd ni zowąd ekonomom,  
młynarzom, szynkarzom i  
innym dorobkiewiczom najciemniejszego pochodzenia, a sami  
przenosili się

do miasta, szukając tam karyery. Nie wszyscy ją jednak  
znaleźć potrafili.  
Brak wszelkiego przygotowania do pracy, bez specjalnych  
umiejętności, po  
niefortunnych spekulacjach ostatnim groszem, rzucali się  
wreszcie do  
pośredniczenia w nabywaniu majątków ziemskich, kupnie  
koni, maszyn, inwentarza,  
wrzeszcie nie gardzono najordynarniejszem faktorstwem i  
pieczeniarnstwem, do  
czego pomagały dawny splendor ziemiański i liczne  
koligacje. I buńczuczni, pełni  
fantazyi jarmarkowicze, dzielna szlachta z dziada pradziada,  
której nie dano z  
chwałą, mimo przepowiedni Krasieńskiego "rozpłynąć się w  
polu", zapijając się z  
rozpaczy w najciemniejszych norach, marniała obrzydliwie  
pośród mieszczaństwa,  
zdobywającego świat swym przemysłem.  
Była to epoka wielkiej wędrówki rodów.  
Rodzic panien Pońkowskich należał również do tych  
wysadzonych z siodła.  
Przyjechał ze wsi z resztą kapitału, z projektami wielkich  
przedsiębiorstw  
przemysłowych. Otworzył dom szeroko, gdyż potrzebne to  
było dla utrzymania

kredytu wśród interesantów i, nawiasem mówiąc, dla pozbycia  
w korzystnym  
małżeństwie panien dobrze już zaawansowanych w lata.  
Przedsiębiorstwa za-

wiodły w sposób najfatalniejszy i niespodziewanie prędko a  
szlachcic został  
literalnie na bruku z córkami, które już konkurentów złapać  
nie zdążyły. Stary  
rozpił się z rozpacz i umarł w ostatniej nędzy, panny jednak,  
którym po dawnej  
światłości pozostały już tylko żal i rozgoryczenie, złość i  
rezygnacja, wzięły  
się do pracy z jakimś uporem i zaparciem się siebie. —  
Zebrały kilka szwaczek i  
otworzyły pracownię sukien. Stały się one wyrachowane, a  
raczej poprostu skąpe  
do obrzydliwości, wyzyskiwały swoje współpracownice w  
sposób oburzający,  
niemożliwy: interes szedł nieźle, a bliżej wtajemniczeni  
utrzymywali, że stare  
panny potrafiły nawet coś na czarną godzinę odłożyć do  
pończoszki, co, już w  
pojęciu ówczesnym, znaczyło nabycie kilku listów  
zastawnych.  
Panna Ewa z płaczem rzuciła się w objęcia ciotkom, które  
wiadomość o tragicznej  
katastrofie przyjęły wybuchem gwałtownych krzyków i  
spazmów.  
Zbigniew stał przy drzwiach bezradny, niepewny co ma  
począć z sobą. Nikt nań

teraz uwagi nie zwracał, nikt się nim nie zajmował. W  
szczupłym i niskim  
mieszkanku, gdzie pracowało kilka

kobiet, panował zaduch i gorąco było niewypowiedziane.  
Najemne pracownice, nie należące do rodziny, nie mogły  
przyjąć dość żywego  
udziału w żalach kuzynek, nie mniej przecież wzruszone,  
opowieścią wypadku,  
oderwały się od roboty, przypatrywały się z współczuciem  
osieroconej pannie, z  
ciekawością, stojącemu przy drzwiach, mężczyźnie.  
Zbigniewa zaczęła już drażnić ta sytuacja, zbliżył się więc do  
panny Ewy i,  
przerywając tok jej żalów, zapytał:  
— Obecnie już nie będę pani potrzebny? Panna Ewa zerwała  
się z siedzenia  
— Ach mój Boże nie przedstawiłam pana ciotkom w tej  
strasznej chwili — pan  
Piątnicki.  
— Czy Zbigniew? — zawołały jednocześnie obie ciotki.  
Skłonił się.  
— Wracasz pan tam, zdaleka?  
— Tak.  
— Co za radość, co za gość miły, a niespodziewany — wołały  
nagle uradowane stare  
panny. A cóż to za radość dla Ewusi, tyle lat, tyle lat  
oczekiwania! I całowały  
go po kolei w czoło.

Zbigniew znalazł się odrazu w rodzinie. Kuzynki żony jego nie znały go wprawdzie osobiście, ale tylko z opowiadań pani Ewy, przyjęły go przecież, jak obowiązki kuzynostwa między szlachtą nakazywały — bardzo serdecznie.

Co prawda węzeł ściślejszej konfidencji nie nawiązał się od razu, ale to już najzupełniej z winy Zbigniewa, który wyjmował co chwilę zegarek, pomny, że ma wyruszyć o czwartej w dalszą drogę, gdyż konie czekać go mają na stacji, i żona prawdopodobnie wyjedzie sama na spotkanie.

Kuzynki też nie zatrzymywały go dłużej, bo spóźnienie się na pociąg, sprawiłoby zbyt wielką przykrość Ewusi. Stało na tem, że przygotowaniami do pogrzebu zajmą się panny Pońkowskie z bratem, że jednakże Zbigniew przyjedzie z żoną na wyprowadzenie zwłok i potem wspólnie radzić będą nad losami osieroconej Ewuni.

Zbigniewowi pozostało już tylko tyle czasu, ażeby wpaść do hotelu po rzeczy, załatwić rachunki i jechać na dworzec kolejowy. Pożegnano się serdecznie: Do rychłego zobaczenia się.



Jeden dzień! Tyle zdarzeń! tyle wzruszeń sprzecznych.  
Dawno, bardzo dawno temu  
przechodził on burze gwałtowne, groźne kataklizmy, zaznał  
okropności z dna  
piekielnego nędzy ludzkiej, zacierało się to po trochu w  
pamięci... a potem w  
pustkowiu stepowem wlokły się dni długie, monotonne tak  
straszliwie jednakowe,  
tak przerażająco podobne do siebie, wypełnione jedynie  
tęsknotą i troską o  
wyżywienie się. Umysł przystosowany do tej długiej  
jednostajności, smutnego  
spokoju, przerywanego jedynie drobnymi epizodami przygód  
myśliwskich, zachwiał  
się teraz w równowadze wobec nawału wrażeń różnorodnych.  
Powrót do kraju,  
powitanie, spotkanie dziewczyny, która rzuca nań jakiś czar  
tajemny,  
przepotężny, z którego się otrząsnąć nie może, tragiczny  
wypadek na

ulicy — poznanie. Obecnie już rozumie z całą pewnością, że  
czar ten nie pryśnie  
tak łatwo, że z chwilą rozłączenia się po przypadkowym  
spotkaniu nie rozejdą się  
na zawsze w dwie przeciwne strony i zapomną o sobie, że siła  
jakaś złośliwa  
zbliżyła ich, że spotykać będzie tę dziewczynę wszędzie gdzie  
się ruszy i stanie  
mu ona wpoprzek dróg jego i będzie burzącym rozczynem  
jego spokoju.

Nie to przecież nadzwyczajne. Więc będzie ją widywał, więc  
zająć się ma jej  
losem, myśleć o jej przyszłości. Szukać może dla niej męża  
ha, ha, ha! odda ją  
jakiemuś innemu mężczyźnie — człowiekowi obcemu, ażeby  
pił rozkosz z jej ust, bo  
on jej wziąć nie może, bo między nimi stanie żona jego i  
zawoła: tyś mój. I  
zdaje mu się, że zaczyna nienawidzić tej żony, którą przecież  
kiedyś kochał,  
która ze swej strony złożyła mu dowody bezgranicznego  
przywiązania i zaparcia  
się siebie. Roi się ujrzenia żony, boi się zastać ją brzydką,  
starą, zwiędłą.  
Zwykły pociąg osobowy, którym jechał, wlecze się jak żółw,  
zatrzymuje na  
wszystkich najmniejszych przystankach, a on chciałby jeszcze  
zwolnić bieg jego,  
chciałby odsunąć jak najdalej chwilę

spotkania, przywitani, pocałunków, chciałby przedłużyć  
męczarnie jakie  
przechodzi w wyobraźni, męczarnie, które jednak mają urok  
dziwny i  
niewytłomaczony. Wśród chaosu najsprzecznieszych uczuć,  
na tle rytmicznego huk  
kół wagonowych, w półprzytomnym mózgu jawi się śliczna  
główka dziewczyny i wabi  
go uśmiechem czerwonych, namiętych warg, uśmiechem  
czarnych, gorejących oczu,

uśmiechem młodości, życia i rozkoszy, ale staje nagle widmo  
kobiety starej,  
chudej i obnaża bezwstydnie zwiędłe łono i wyciąga doń  
kościste, żółtą skórą  
pokryte ramiona. I znowu słyszy owo straszne: on mój! Mój  
wobec praw boskich i  
ludzkich.

Stara się pozbyć przykrej wizyi, przywołuje się do  
opamiętania, szuka w  
otoczeniu wrażeń rzeczywistych. Przygląda się bacznie  
wszystkim spotkanym w  
wagonie i na stacjach starszym kobietom, chcąc odnaleźć typ,  
któryby

przypuszczalnie odpowiadał żonie jego i dał w przybliżeniu  
obraz tego, co się  
spodziewa zastać u swojej żony.

Ale żadna z tych kobiet w niczem nie przypominała jej nawet  
w najmniejszym  
szczególe. U żadnej z nich nie można było podejrzewać w  
najdalszej nawet  
przeszłości, tej wspaniałej,

pańskiej postawy, majestatycznych ruchów i tej trwałej,  
klasycznej poprawności  
rysów, jaką odznaczała się dawniej panna Ewa Nikocka.  
Spotykał panie szumnie  
postrojone, w świetne pióra, koronki i drogie materje, ale  
twarze ich były  
pomięte, kształty zgniecione jakieś i niepewne, ruchy  
śmieszne, ociężałe i

płaskie i wszystko zdradzało pospolitość i trywialność  
rozbojactw mieszczyk,  
wszystko to raziło jeszcze silniej, kontrastowało się  
niesmacznie wobec  
przepychu i pretensjonalności stroju.  
Spotykał kobiety skromniej ubrane, które były kiedyś piękne i  
powabne, ale  
troski, praca, macierzyństwo, miłość, radości i zawody  
odcisnęły na nich ślady  
niezatarłe. Czas barbarzyńca bezwzględny porwał w głębokie  
bruzdy ich płeć  
gładką, atlasową, delikatną, zdmuchnął z ich twarzy, niby z  
rumianej brzoskwini,  
światny puszek młodości i zasłonił je ciężką, matową  
szarością, i zgasił jasny  
ogień oczu, a z ust żywe barwy karminu pościerał. Przygiął,  
ramiona do ziemi  
pochylił, zabrał lekkość, elastyczność ruchów, popaczył cudne  
linje kształtów i  
zmiął bezlitośnie, zwarzył niewypowiedzianą jędrność  
przepyszne go ciała. I były  
kobiety te, jak one liście jesienne

szare, zwiędłe i bezkształtnie pokurczone, które choć  
postrzępione burzami  
trzymają się jeszcze wśród wichrów rodzinnej gałęzi, ale jakże  
różne są od tych  
wiośnianych nieskalanych kurzem i spiekotą lata, co to są  
świeżą, gwałtownie  
jaskrawą zielonością, rozgrzane promieniami majowego  
słońca, zdają się krzyczeć

w błękity. O radości życia!

Spotykał kobiety przez ciężką pracę, nędzę, walkę i mozół  
przedwcześnie  
zgrzybiałe, niedołążne, chromające, zgrzybiałe, straszliwie  
brzydkie w tej  
ostatniej dekadencji człowieczeństwa, choć przecież kiedyś  
hoży rumieniec krasił  
ich lica, choć oczy ich świeciły się ogniem miłości, to znowu  
zachodziły mgłą  
namiętnych uniesień.

Do wagonu wsiadła dama ubrana przesadnie — jasno i  
jaskrawo. Ogromny pęk  
strusich piór strzepił się nad białym słomkowym kapeluszem.  
Ogromne brylanty  
błyskały w uszach, rozbijając w przepyszne ognie promienie  
światła, ogromny  
brylant oprawny był w broszę, rześista agrafa spinająca włosy  
również gorzała  
cała od mieniących się mniejszych brylantów. Ręce  
upięścienione mnóstwem  
przeróżnych kamieni, złoty łańcuch zwieszał się na staniku,  
ale twarz była  
stara, zmięta, sfałdowana i pokryta grubą warstwą bie-

lidła. Ciasny gorset, w którym zaledwie oddychać mogła,  
obejmował jej zbyt  
rozwinęte kształty, jakoby przelewające się za brzegi. Było w  
tem wszystkim  
coś odrażającego, coś ohydneho. — Oczami zgasłemi, lecz  
pełnemi jeszcze wiary w

siebie, jakby w przeświadczeniu, że wykrzesać z nich potrafi  
choć jedną iskrę  
żywego ognia, rzuciła na Zbigniewa wyzywające spojrzenie,  
on jednak, nie mogąc  
znieść tej spóźnionej zalotności, odwrócił się z obrzydzeniem.  
Po chwili wszakże  
ciekawość przemogła i zaczął się uważnie przyglądać nowej  
towarzyszce podróży.  
Była to widocznie jedna z piękności dawnych czasów, może  
kobieta wielkoświatowa,  
królowa balów, bożyszczce salonów, może bohaterka  
półświatka, wielbiona,  
adorowana, obsypywana złotem przez rozkochanych  
paniczów, a teraz już tylko  
stara kobieta, za wszelką cenę, kosztem najwyższych  
wysiłków i poświęceń,  
opierająca się niszczycielskim postępom wieku. Kobieta, która  
za nic w świecie  
zgodzić się niechce na to, że czas jej przeszedł, że pożegnać  
należy świetną  
przeszłość, lecz wszelkimi środkami pragnie zachować bodaj  
pozory wdzięku i  
urody.

Niestety! Cóż za okropne nieporozumienie, co za ohyda. Oczy  
nadmiernie otwarte,  
z powodu sztucznego wyciągania skóry dla wygładzenia  
zmarszczek na czole,  
przytem podkrażone od dołu obrzękłościami w formie  
torebek, przybrały dziwnie

nieprzyjemny, jakiś ropuszy wyraz. Podbródek pomięty w  
fałdy bezkształtne, dwie  
fałdy długie, obrzękłe zwisają u policzków. Usta, fałszywie  
zakreślane czerwoną  
farbą, przypominają maski jarmarczne o głupim i złym  
grymasie. I ten tynk biały  
na twarzy, z pod którego przebija sino-fioletowa cera,  
zmacerowana, zmurszała,  
wstrętna...

— Brrr...

Otrząsnął się. Cera ta z tynkiem na wierzchu przypomina mu  
coś, coś bardzo  
brzydkiego... coś, co widział. Ach tak, przecież oni tam na  
północy sami robili  
kuchnię. Przypomina sobie: tak zraz wątroby utarzany w  
mące, przed położeniem go  
na patelnię. Tak wątroba umączona... Obrzydliwość, jeżeli  
jego żona odmładza się  
w ten sposób... Czy przewycięży wstręt?... O ileż wolałby  
zastać ją jako  
matronę poważną, z siwym gładko uczesany włos, z  
małymi niobkami na  
skroniach, w czepeczku, o cerze matowej, czystej, ot, jak  
pamięta matkę swoją.

Ale pani Ewa wyglądała zgola inaczej niż te wszystkie  
kobiety.

Właśnie pociąg docierał do małej, stojącej w czystym polu  
stacyjki i zgrzytał  
hamulcami. Zbigniew wychylił się z okna wagonu i na peronie  
ujrzał smukłą,

wytworną sylwetkę kobiety. Odrzynała się wyraźnie i  
jaskrawo, na tle nieba  
zarumienionego teraz promieniami zachodzącego słońca.  
Peron był pusty, jakby  
świeżo zamieciony. Dalej dopiero widniała postać urzędnika  
w czerwonej czapce, a  
przy ścianie budynku, pod dzwonkiem stał po żołniersku,  
wyprostowany jak struna,  
człowiek gotów na skinienie uderzyć znak sygnałowy... i  
więcej nikogo.  
Zbigniew poznał, a raczej domyślił się, że jest to jego żona,  
która wyjechała na  
jego spotkanie.  
Piękna, elastyczna, smukła jej figura, wytworna  
powierzchność niewiele  
utraciły ze swego wdzięku. Czas dziwnym kaprysem  
oszczędza nieraz bardzo długo  
niektóre osobniki wielkiej rasy. Pani Ewa w modnej, obcisłej  
sukni z daleka  
przedstawiała się jeszcze bardzo efektownie.  
Kiedy wreszcie pociąg sapiąc i stękając wtoczył się na stację,  
uradowany  
naprawdę Zbig-

niew wyskoczył z wagonu i gorąco porwał żonę w objęcia.  
Po pakunki przybyć miał specjalnie człowiek z wozem,  
państwo tymczasem wsiedli  
od razu do karety, zaprzężonej w cztery dzielne gniadosze i  
ruszyli śpiesznie do  
Nieborowic. Z początku kareta na kawałku, wybrukowanej  
przed stacją kamieniem



polnym drogi, huczała tak gwałtownie, że poprostu nie  
podobna było rozmawiać,  
ale kiedy zeskokczyła wszystkimi czterema kołami z bruku na  
miękki piasek  
bocznej, polskiej drogi, zrobiło się nagle cicho i spokojnie i  
pani Ewa  
zarzucając mężowi na szyję ręce wołała:  
— Mów, mów mi o sobie. Cierpiałeś? Nie zapomniałeś o  
mnie?  
Zbigniew uczył pewne zaambarasowanie, nie wiedział od  
czego zacząć. Objął żonę  
ramieniem, ucałował w usta i jął opowiadać o tragicznym  
wypadku pani Nikockiej w  
Warszawie, o tem jak niespodziewanie stał się świadkiem tego  
wypadku, jak musiał  
się zająć osieroconą nagle córką, że wreszcie przypuszcza iż  
ona, żona jego,  
jako najbliższa kuzynka będzie musiała zająć się w pewnej  
mierze losem  
dziewczyny, a przynajmniej, że przyje-

dzie na pogrzeb, co zresztą przyrzekł kuzynkom w jej imieniu.  
Pani Ewa słuchała tych opowieści względnie dość spokojnie, i  
bez głośnych  
wybuchów, ale zgodziła się na to, że przyszłość Ewuni, musi  
wziąć na siebie, a  
na pogrzeb oczywiście pojechać wypada koniecznie, to też  
jutro zaraz wieczornym  
pociągami wyjadą do Warszawy.  
Mrok zapadał coraz głębszy, pojazd toczył się miękko i cicho  
po równym piasku,

który osypywał się z kół z ledwo uchwytnym szelestem. Od czasu do czasu tylko zgrzytnęła żelazna obręcz o jakiś kamień większy na drodze, to wystający korzeń sosniny wstrząsnął całą kareta. Pani Ewa przytuliła się silniej do męża i prosiła:

— Mów o sobie... tęskniłeś? kochasz mnie jeszcze choć trochę.

Zbigniew ujął jej kibić, uczuł pod ręką twardy pancerz ze stalek i fiszbinów.

— Kocham!

## IX

Pogrzeb pani Nikockiej, nieszczęsnej ofiary przejechania, był bardzo przyzwoity, prawie wystawny. — Zajął się tem Pońkowski — brat panien Pońkowskich, człowiek z dobrem i tradycjami pańskimi, znający świat i ludzi. Oczywiście panna Ewa, zapytana o fundusze, gotowa była oddać wszystko, co miała przy sobie i w banku, to też szlachcic z tradycjami obstalował karawan czterokonny i wszystko inne w tym stosunku. W orszaku znalazła się także większa garstka osób, niżby się tego spodziewać można, ze względu, że nieboszczka w Warszawie nie bywała, nie miała tu prawie wcale znajomych. A było też i kilka karet.

Pan Pońkowski, brat panien Pońkowskich, który niedawno  
wrócił z zagranicy,  
mężczyzna jesz-

cze nie stary, z wąsem uczernionym i ustawionym na ostro,  
jak szydła za pomocą  
pomady węgierskiej, sprawował obowiązki mistrza ceremonii,  
a zarazem objaśniał  
Zbigniewa o stosunkach miejscowych ogólniejszej natury, a  
także wtajemniczył go  
w sprawy bardziej osobiste, familijne. Mówił mu ty, ze  
względów na powinowactwo,  
przytem pan Pońkowski zazwyczaj per „ty” wszystkich  
młodszych traktował.  
Podejmował się chętnie urządzania wszelkich uroczystości  
zarówno smutnych, jak  
wesołych, gdyż jak utrzymywał ma smak, ton i wiele savoir  
vivre'u, co mu pozwala  
wystąpićzawsze tak, jak kodeks towarzyski nakazuje; miał  
przy tem czasu wiele,  
gdyż z zasady nic nie robił. Świadczył więc bliźnim drobne  
usługi i filozofował.  
— Szlachcic — mawiał o ile na ziemi nie siedzi lub w wojska  
nie służy, nie ma tu  
co robić na tym padole łez i płaczu. Albo nie? Handlem się  
będę parał, albo  
proceder jaki łykoski wynajdę? Wolę zjeść pieczenie z łaski u  
brata szlachcica,  
niż dobre stare nazwisko miarką i łokciem pohańbić.  
I dowodził bardzo szeroko, że handel istotnie hańbi  
szlachcica.

— Bo proszę: kupiec taki, żeby zarobić musi łągać, że sam drogo zapłacił — nie może być inaczej. Jeżeli mi żyd wpiera: auf maine munes, „na sumienie” ja sam drożej zapłaciłem, to mu powiadam: łzesz kochanku, ale ja ci się nie dziwię, boś niechrzczony. Jeżeli mi łyczek kanalja na honor się zaklina, to mu odpowiem: Waści honor tani jest — po trzy grosze albo i para pięć, a tu zarobisz więcej. Ale jeżeli mi szlachcic słowa honoru dla marnego zysku nadużyje — to już bym tylko w pysk trzasnął i strzelał się pod Marymontem lub w Jabłonnie. Na proch by mi niestarczyło jak Boga Kocham, w tych ciężkich czasach. Nie uznaję takich kupców! Handel, przemysł, trza się otrząsnąć ze starych przesądów — wielcy panowie, rodowi stawiają dziś fabryki. Wielkie hasła! Podnośmy, dobrobyt ekonomiczny kraju przez osobiste wzbogacenie się. Ha, ha ha. Handełsom pomniki chcą dziś stawiać, szklarzom, garncarzom, kopyciarzom i wszelkiej hołocie jubileusze naród wyprawia. A niech to wszyscy dyabli porwą. Znałem i takich: ostatni grosz z ziemi wydarty w to wsadzili, ale niechcieli łągać „słowo honoru mnie samego drożej kosztuje”, to zeszeli na psy, że gorzej i nie można.

Stary unosił się i dalej rozwijał swoje światopoglądy na szlachtę i jej zadania społeczne.

Trza nam się było w polu rozplynać z honorem, zginać zaszczytnie z bronią w ręku od kuli lub miecza, bo teraz zmarniejemy bez honoru, jak Bóg na niebie. Aco?

Tyle wieków przywileju — trudno na raz bez tego. Przywykło się. Dobry był

szlachcic na wsi póki na chłopach jechał. Bez chłopca nie wytrzyma, na fantazję nie starczy, lezie tłumnie do miasta i tu zginie wśród mieszczuchów, jak ruda mysz pod miotłą.

Powiódł ręką po zebranych na pogrzebie.

Widzisz skąd tu się wzięło tyle narodu na pogrzebie wieśniaczki — wielki exodus

ze wsi — familja, krewni dalsi lub bliżsi, a wszystko szlachta.

Dałbym sobie rękę uciąć, że w tem całym zbiegowisku jednego łyka, kołtuna niema.

My szlachta polska to jak jedna wielka familja. Ten temu w takiej koligacji, ów

innemu w innej, a powinowactwa, gdzieś się doszukać doszukasz. Ot ogłosili w

gazetach i zbiegli się. Ja sam i połowy nie znam, a są tu i krewni Nikockich z

męskiej linii i Jastrzębskich po żonie ś. p. szambelanica i Zboińskich ze strony

pani Tekli Nikockiej, ciotecznych, Duninów i Stępczyńskich i Turłów,

o jest i major Bogorya, stryjeczny brat zmarłej, ciekawa figura. No ten jeszcze na wsi siedzi. Ale inni to wygnańcy na bruku warszawskim, przybłądy... Niektórzy jeszcze w karetach własnych jeżdżą, inni czasem wynajętą dorożką, a inni zgoła per pedes apostolorum drepczą i to nie zawsze w całych butach. A była to wszystko szlachta zamożna i osiadła, którym się nie wolno było parać łokciem i miarką. Kola i palestra! A no czasy się zmieniły. Wyciskają nas z ziemi ludzie nowi — przybywa też takich coraz więcej do miasta. Zginiemy marnie... Ha cóż do pracy nie zdatni, niech że więc tacy, którzy mają, dadzą tym, którzy nie mają i czekają razem końca. Ja, kiedy jeszcze miałem, dawałem szeroko na prawo i na lewo, teraz jem bez skrupułu cudzy obiad, i ani mi w głowie, żebym to miał poczytać sobie za ubliżenie, a gdyby mi który szelma chciał minę zrobić, to, choć stary jestem, wyzwę i zastrzelę—tak mi Panie Boże dopomóż. Tu się niema czego wstydzić — ten goły a tamten jeszcze złotem brzeczy wszyscyśmy szlachta zrujnowana i wszyscyśmy zarówno skazani na zagładę — czy wcześniej czy

później... że się tam który dla utrzymania majątkości z bogatą żydówką ożeni,

albo łyków do rodziny napuści, już ród taki dla nas przepadł na zawsze. Zepsuje rasę — ich krew mocniejsza bo młoda. Myśmy od wieków żenili się ze sobą — można powiedzieć żeśmy żyli niemal w kaziroduzie. A no, mamy swoje wady i przywary dziedziczne, ale mamy też swoje dziedziczne cnoty, okropnie mocno i głęboko siedzące w naszych duszach. Wykorzenie się tego nieda, nagiąć do nowych form życia niepodobna, wciągnąć w system kupieckiego oszustwa. Nie. Musimy albo wyrzucić albo się wyrodzić. Rasa zginie.  
— Pan dobrodziej, jak uważam — wtrącił Zbigniew z uśmiechem — uznaje po trosze teorię ewolucji. Ja wszystkie teorie uznaję. Jeździło się po Europie, podróżowało, widziało świat i ludzi; bił się człowiek na wszystkich punktach, za najrozmaitsze sprawy... Zrozumieć wszystko można i należy. Ale co innego pojąć i zrozumieć nowe teorie i ideje, a co innego wcielić je do sfery własnych uczuć, zapanować nad kierunkiem własnych sympatyj, dążeń i odruchów. To też choć stary już jestem, choć jestem człowiekiem innej daty, nie kładę się w poprzek na drodze tego wszystkiego, co

pędzi naprzód, ale stanąłem sobie na

uboczu i mówię: mnie już to nie porwie, jestem inny całem mem jestestwem — a wy lećcie sobie na złamanie karku. Owszem, staram się być zawsze na poziomie o ile mogę — noszę modne suknie, wyrzekłem się fatermorderów, ale moich szlacheckich narowów i nawyknień, wreszcie, jak chcecie, przesądów, pozbyć się nie mogę i nie chcę.

Trzaśniesz łyeczka w pysk, to się obetrze i powie ci żeś brutal, albo cię do sądu zaskarzy, albo cię wreszcie wyzwie dla konwenasu, jeżeli mu chodzi o względy towarzyskie. Dla mnie rozprawa zbrojna, w takich razach jest potrzebą krwi, potrzebą żywiołową, jak powietrze do życia. Co tu teorje i rozumowania dzisiejszych pozytywistów pomogą. Słucham patrzę i podziwiam, ale nie myślę łbem tłuc o ścianę — jak inni starzy moi rówieśnicy. Wybrałem drogę najmniejszego oporu, ażeby utrzymać się w prądzie wartkim. Usunąłem się jako nieużytek, sprzęt niepotrzebny, niemodny, przestarzały. Ot major Bogorya ten jest inny. Ożenił się bardzo późno z młodą i piękną kobietą, która torturowana formalnie przez lat trzy, umarła, zostawiając mężowi dwóch chłopców. Dzieciaki przeszły



pod batem straszną szkołę szacunku i bojaźni w domu rodzicielskim, wreszcie

wstąpili obydwaj do uniwersytetu. Na wakacje wrócili do domu ojcowskiego na odpoczynek. Był jakiś wielki obiad — mnóstwo, gości. Ha, byłem i ja na tym obiedzie. Starszy przy stole z sąsiadką swoją zawiązał rozmowę, bo ja wiem, może o modnym obecnie Darwinie może jakiej teorii innej. Nagle stary, który widocznie usłyszał rozmowę, krzyknął na głos:

— Błędnie, durniu, przeciw wierze ojców twoich.

— Proszę ojca — zaczął syn — jest teoria naukowa...

— Milcz błędnie!

— Wobec której, ciągnął młodzieniec, pewne przesady...

Nie dokończył, bo rozległ się głośny pociłek. Stary wymierzył mu go wobec

wszystkich zebranych przy stole osób.

Chłopiec wyszedł natychmiast z jadalni, udał się do kancelarii, gdzie była

zbrojownia ojca, zdjął ze ściany jakiś stary pistolet, nabił go i strzelił sobie

w łeb — kula uwięzła w skroni. Śmierć była natychmiastowa.

— Okropne, zawołał Zbigniew.

— Nie nauczyło go to jednak. W parę tygodni potem, drugiemu za jakieś

przewinienie zagroził batami. Chłopczysko, że to już przecież student

uniwersytetu, niemógł się zgodzić na takie karesy, wyskoczył oknem i tyle go i

widziano. Co się z nim dzieje, najmniejszej dotąd niema wiadomości.

— Jakże stary przyjął te straty, spytał Zbigniew.

— Twarda bestja jest. Prawie obojętnie, przynajmniej udawał obojętność. Synów

uznał za wyrodných — że nie umieli znieść gniewu rodzicielskiego i wyłamywali z

pod dyscypliny ojcowskiej, co pociąga za sobą słuszny gniew Boga. Inna natomiast

okoliczność wstrząsnęła nim silniej i przyprawiła o chorobę.

Przyjechał kiedyś z

Trzepnicy, swej wioski w Piotrkowskim, na parę dni do

Warszawy za interesami. A

no wstąpiliśmy raz do cukierni na gazetę, ale wchodzi dwóch młodzieniaszków i

każą sobie podać dwie szklanki ponczu. Major kiedy to usłyszał, wola do

cukiernika:

— Hej ty, (a wszystkim ty mówił). Dajno tym smarkaczom dwie szklanki bawarki.

Jeden z młodzieńców, że to już szacunek dla siwych włosów ustaje w dzisiejszych

czasach, zrywa się i krzyczy:

— A ty stary durniu! a co tobie do tego co ja piję.

Major wstał, wyprostował się, sponsowiał cały, podniósł laskę do góry, jakby chciał uderzyć, ale w tej chwili powalił się, jak kłoda na podłogę. Dostał ataku apoplektycznego. Został mu po tem paraliż prawej strony, dla tego to tak teraz pociąga nogą. Od tej chwili zmienił się w postępowaniu z ludźmi, przeklął epokę, w której nie szanują siwych włosów, nazwał ją epoką szatana. Zaparł się w milczeniu, unika wszelkich dyskusji i wogóle towarzystw, a przyparty do muru w ważnej sprawie odpowiada monosylabami. Dożywa dni swoich jakoby w zaświatach.

— Co prawda trudno jest dziś zgodzić się na podobne traktowanie nawet przez najstarszych i najbardziej szanowanych ludzi, zauważył Zbigniew, z drugiej strony znów młodzieniec ów był źle wychowany.

— A myśmy znosili — ciągnął pan Pońkowski, tego wymagały tradycje. I nie będę dowodził że

lepiej było, ani przeczył że dziś jest gorzej. Ale mi żal tego świata, który ginie, może poprostu dla jego stron charakterystyczno-dekoracyjnych. Żal mi tej polskiej wioski, na której siedział szlachcic z dziada pradziada i podejmował

gości szeroko, kordjalnie, że można było przejechać kraj  
rzemieniennym dyszlem  
wzdłuż i wszerz, od komina do komina, znajdując wszędzie  
powinowatych i butelkę  
dobrego wina. Lubiłem tę ich fantazję buńczuczną, te gości  
szerokie i  
rycerskie, to kawalerskie trzaskanie po lewej pole surduta,  
jakby tam jeszcze  
wisiała karabela, to rozmiłowanie w koniach, te myśliwskie  
anegdoty... Po wsiach  
siedzi coraz więcej dorobkiewiczów: dawni ekonomowie,  
szynkarze, ludzie którzy  
doprawdy sroce z pod ogona wypadli. Sieją, orzą po staremu,  
ale ducha dawnego  
niema... inna krew. Nie lubię; nie lubię! Nie lubię chamstwa,  
kupiectwa,  
szelmstwa. Wściekam się kiedy słyszę jak dziś do zasługi  
obywatelskiej podnoszą  
osobiste wzbogacenie się jakiegoś drapichrusta,  
wydrwigrosza. Podnosi dobrobyt  
kraju, napychając sobie kieszenie. — W górę go! A niech was  
jasne pioruny! A ja  
bym takiego kanalję do kryminału wsadził za lichwę,  
zdzierstwo i podstępne  
oszustwo.

— No a zkadże się wzięły majątki szlacheckie,  
zagadnął trochę ironicznie Zbigniew.

— Daj, pokój, daj pokój, dawno to było — przerwał porywczo  
stary — Dawno było,

zresztą to już uszlachetnione przez morze krwi wylanej, przez  
bohaterstwo,  
poświęcenie bez granic, czyny rycerskie. Daj pokój, ja na to  
patrzę. Mój drogi,  
siostrzyce moje robią przemysł, ha, ha, ha, doprawdy zrywać  
boki! I wiesz,  
interes idzie ha, ha, ha! Szlacheckie córki interes krawiecki  
prowadzą — i  
idzie... Ale ja ci to wytłomaczę historycznie i socjologicznie.  
Uważasz, kobiety  
u nas dotąd interesami się nie zajmowały; w domu —  
szpizarnia, apteczka, trochę  
kurnik i już... Na tem wszystkim oszczędzały — rozumiesz:  
oszczędzały. Cała ich  
mądrość życiowa — oszczędność. Moje siostry też  
oszczędzają na wszystkim, na  
jedzeniu tych dziewcząt, które zajmują, na ich wynagrodzeniu,  
na kawałku  
aksamitu, który się zesztukuje. No, to dawne rodzinne  
stosunki. Małe, drobne,  
nikczemne oszczędności — mężczyzna by tego nie potrafił,  
one się nawet nie  
wyrodziły, nie gwałcą swej natury. Ale to nie jest jeszcze  
przemysł. Swoją  
drogą, kiedy na to patrzę, bebechy mi się ze złości  
przewracają i mówcie mi co  
chcecie — sto razy

wolałbym je widzieć na respekcie u bogatych krewnych, jak  
bywało za dobrych

szlacheckich czasów, niż szachrujące czasem biednych  
szwaczek, lub urywające im  
po kawałku cukru od herbaty.

— Hej, hej, — westchnął stary — tempora mutantur. Moja  
epoka się kończy — do  
nowej mam wstręt organiczny. Trzeba się śpiesznie wynosić.  
To bieda tylko że  
sobie w łeb strzelić, ani wanny rzymskiej urządzić nie mogę,  
bom katolik i muszę  
dalej pieczeniarszować po ludziach, a również i to staje się  
coraz mniej wygodne.

Powiedziałem siostram: nie chcę ja wam przeszkadzać w  
robotcie, ale sam do roboty  
takiej nie stanę. Niech sobie tryumfuje praca organiczna, praca  
u podstaw, ze  
złodziejstwem, szachrajstwem, skąpstwem, wyzyskiem i  
wyrzeczeniem się wszelkiej  
fantazji, poezji i godności szlacheckiej.

— Co masz zamiar ze sobą robić? — spytał nagle Zbigniewa.  
Zaskoczony nagle pytaniem zastanowił się chwilę, ale wydało  
mu się to tak  
naturalnem że wróci na wieś i będzie dalej gospodarował, że z  
całą prostotą  
odpowiedział:

— Cóż, będę gospodarował na Nieborowicach.

— U żony?... — ciągnął Pońkowski — Cóż? oczywiście! Nie  
bardzo ona tam teraz  
potrzebuje twojej pomocy, baba ma łeb za sześciu chłopów.  
Tu spostrzegł się, że użył nie zbyt wykwintnego wyrażenia  
chwycił więc z

wytworną elegancją rękę Zbigniewa.

— Przepraszam, przepraszam façon de parter. Rubaszny jestem, mam różne szlagońskie i żołnierskie nawyki. — A potem ciągnął — Ewa ma głowę otwartą i ogromne doświadczenie. Przeszła czasy fatalne, ciężkie i jeżeli utrzymała się dotąd przy ziemi, to świadczy o jej niepospolitej energii i istotnych zdolnościach administracyjnych. Już dziś tylko kobiety nasze tak potrafią. A no, zapewne i męska ręka się przyda... Pewno, pewno, a zawsze będziesz siedział na wsi.

Słowa te rzuciły w duszę Zbigniewa pewne wątpliwości i niepokój. Czy rzeczywiście nie znajdzie się tam u żony, w gospodarstwie, jak piąte koło u wozu, jako człowiek zbyteczny, rezydent, utrzymywany z laski. Duma jego męska cierpiałyby nad tem niezmiernie. Nie znalazł dotąd tych spraw majątkowych. W listach żony, prócz rzewnych tęsknot, czułości i zaklęć nie znajdował prawie wcale szczegółowo o stanie gospodarstwa,

słowa jednego o kłopotach i ciężkich czasach o których mówi teraz stary szlachcic, z ukrytą więc ciekawością, chcąc poznać istotny stan rzeczy, zapytał niby od niechcenia.

— Pan jak widzę zna dobrze Nieborowice i gospodarkę mojej żony.

— Rezydowało się czas jakiś — rezydowało, jak wszędzie po trochu u bogatszych krewnych, zresztą pomogłem nie w jednym, bo to była chwila przełomowa.

— No?

— A no — skurczyło się trochę. — Trzasnęło się sporo lasu, Kuźnice i Barki trzeba było sprzedać. Ten cały pas między Barkami, a Żwirówką rozkupili Niemcy koloniści i jakoś się resztę uratowało. Ale się dominium djabło zwężyło.

— Nic mi żona nie powiedziała, właściwie nie mieliśmy czasu obszerniej się rozmówić. Powitania, goście, ten pogrzeb... Zbigniewowi przykro było, że dowiaduje się dopiero od obcych ludzi, o czym był powinien sam najpierw wiedzieć. Zapadł więc w głęboką zadumę i prawie nie słyszał opowiadań Pońkowskiego o tem jak się pani Ewa dzielnie broniła przeciwko nawale kłopotów,

jak energicznie pokierowała interesami, że teraz choć na małym kawałku ziemi, trzyma się jednak rękami i nogami. Kondukt zbliżał się do Powązek. Pani Ewa, która, nie mogąc znieść pod nogami bruku warszawskiego, jechała w karecie, wysiadła teraz i wzięła męża pod rękę.



On pod wrażeniem przerwanej rozmowy zaczął wahając się.

— Nie mówiłeś mi nic jeszcze o stanie naszego... o stanie gospodarstwa w

Nieborowicach... Jakże wygląda obecnie majątek.

— Pani uśmiechnęła się smutno i odrzekła jednak z wielkim spokojem i równowagą.

— Ha inaczej, inaczej niż przed dziesięciu laty. Ale teraz ani czas ani miejsce

do tego rodzaju rozmów.

Karawan właśnie zatrzymał się przed bramą cmentarną.

## X

Po pogrzebie, w hotelu, w numerze zajmowanym przez państwo Zdzisławostwo zebrało się liczne grono krewnych osieroconej panny Ewy na naradę familijną.

Prócz gospodarzy i panny Ewy były obydwie panny

Pońkowskie z bratem, jakaś ich

stara, zupełnie już niedołączna ciotka. Brat męża zmarłej, pan Bonifacy Nikocki,

zamożny podobno bardzo obywatel z pod samej Warszawy, kilka jeszcze osób,

dalszych krewnych i wreszcie major Bogorya, który poniekąd miał przewodniczyć

zebraniu. Wszedł ostatni, stukając głośno laską, bez której ruszyć się nie mógł

z powodu sparaliżowanej nogi. Wszedł ponury, nachmurzony, zaledwie kiwnął głową

zebranych, usiadł na fotelu przed stołem i odrazu zaczął twardo mówić.

— Wezwaliście mię tu na radę — Rada jest jedna. Została dziewczyna sama, bez ojca i matki. Zostawić jej tak nie podobna —  
nasza krew. Któż dziś w czasach szatana i ostatecznego upadku moralnego,  
przyjmie na siebie odpowiedzialność za jej... za jej... jakby tu powiedzieć —  
przyszłość? Niech wstąpi do klasztoru. Ma mały fundusz, niech jedzie do Galicji  
i wstąpi do klasztoru — skończyłem.

W zgromadzeniu powstał rozgwar. Słysząc nawet było dość głośne okrzyki protestu.

Zwłaszcza panny Pońkowskie niezmiernie energicznie wystąpiły przeciw temu projektowi.

— Cóż to, czy już kobieta nie może pożytecznie pracować na świecie, nie może  
zostać uczciwą, jeżeli się jej nie zamknie w murach klasztornych.

— Nie może — przerwał major — nie może w dzisiejszych czasach, kiedy przestano  
szanować starość, władzę rodzicielską, kiedy znikła wiara.

— Wstał pan Bonifacy Nikocki i zaproponował umieszczenie Ewy u panien  
kanoniczek.

— Nie zamknie się — mówił — dziewczynie losu. Może mosterdzieju wyjść za męża,  
jeżeli by się mosterdzieju jaka godna partja nawinęła, a opie-

kę będzie miała świętobliwą. Ja sam już drugą żonę od panien kanoniczek mam i wiem co o tem trzymać. Sierotki były dwie, jak te dwa palce, na świecie, bez ojca, bez matki, siostrę po siostrze brałem, mosterdzieju, i jak by mi jeszcze czego Panie Boże niedopusć... tam bym pojechał znowu szukać żony.

Projekt ten poddano szerszej dyskusji. Zastanawiano się nad jej kwalifikacjami jako szlachcianki i nad posagiem, który by mogła wnieść do zgromadzenia.

Panna Ewa podczas tego siedziała w kątku koło pieca nieruchomo, obojętna na wszystko co się dookoła działo. Zgięta, przybita, zaszlochana, chlipała po cichu od czasu do czasu; zbrzydła trochę od silnego płaczu, nasek jej się zaczerwienił, oczy utraciły blask, twarz pokryła się plamami. Zbigniew, który do narady właściwie nie należał, usunął się również w głąb i znalazł się bliżej panny. Patrzył na nią chwilę i spostrzegł nagle, że patrzy z nieposkromionem pożądanem. Zawstydził się samego siebie, wstydził się tego uczucia, które zjawilo się w chwili tak nie odpowiedniej, tak niewłaściwej. Patrzy na tę dziewczynę, wstrząsaną spazmem okrutnego żalu po-

stracie matki, łkającą, zrozpaczoną, jakby uświęconą, jakby  
wyniesioną wysoko po  
nad wszelką ziemskość tym bólem i nieszczęściem, a w jego  
krwi rodzą się  
straszne brutalne pragnienia zmysłowych z nią uciech.

Ohyda!

Wmawia w siebie to słowo ohyda; radby okrwawić się,  
pokaleczyć, poddać  
najcięższym męczarniom, byle wyrzucić z siebie moc tych  
niskich chęci, które  
krew rozplamieniają, które go ciągną ku niej tak potężnie, tak  
bezwzględnie, że  
nie bacząc na nie chwycił by ją w swe objęcia, zcałował  
wielkie płynące po  
policzkach łzy. I radował by się ich goryczą i czuł by na  
swych piersiach ten  
dreszcz bolesny, który wstrząsa ciałem dziewczyny  
rozplakanej. Chłonie wzrokiem  
jej postać zgiętą, niby zwiędłą, jak kwiat w czasie spieki  
południa, chłonie  
kształty jej, pełne, młode, rysujące się nieśmiało pod fałdami  
czarnej sukni  
żałobnej.

Ohyda, ohyda! Zakrywa rękami oczy i widzi ją jeszcze. Widzi  
ją piękniejszą.

Wyciąga do niego ramiona — ramiona obnażone, białe,  
śliczne okrągłe... Przecudne  
ramiona młodej dziewczyny...

— Ja myślę że ty nic nie będziesz miał przeciw temu? pyta nagle pan Pońkowski kładąc mu rękę na ramieniu. Zbigniew jakby ze snu zbudzony, nie wiedział o co chodzi, popatrzył na mówiącego szeroko otwartymi oczami. Dyskusja nad losami panny Ewy przeszła na inne tory. Umieszczenie jej u panien kanoniczek wymagałoby ogromnych zachodów i trudności z wylegitymowaniem się ze szlachectwa przynajmniej z pięciu pokoleń po mieczu i kądzieli. Ostatecznie jest to rzecz do załatwienia kiedyś, w przyszłości, tymczasem pan Pońkowski po dłuższej przemowie na temat, że szlachta powinna się wzajemnie popierać jako rasa odrębna, jako rasa, której dni są policzone, zaproponował poprostu, ażeby ktoś z bogatszych krewnych wziął panienkę do siebie — a potem jakoś to będzie... Stryj Bonifacy wymówił się odrazu tem, że prawdopodobnie od wakacji będzie musiał przysłać żonę do Warszawy, bo łatwiej mu będzie tu kształcić dzieci, niż na wsi, gdzie guwernerowie za drogo kosztują.

— W mieście znów jedna osoba więcej — kończył — przyznacie — mosterdzieju...

Major jeszcze raz wtrącił swoje.

— Do klasztoru!

Na to pani Ewa, nieodzywająca się dotąd prawie wcale, przemówiła chłodno:

— Jeżeli by mąż mój nic nie miał przeciw temu, wzięłabym chętnie Ewusię do

Nieborowic i przypuszczam, że dobrze by nam razem było. Z tem właśnie zwrócił się Pońkowski do Zbigniewa:

— Nie miałbyś nic przeciw temu, żeby Ewusia pobyła u was jakiś czas w

Nieborowicach?

Kiedy zrozumiał o co chodzi, musiał użyć całego wysiłku woli, aby nie krzyknąć

okropnie z całej piersi: Chcę, chcę! Tak, musi być tam w Nieborowicach ze mną,

żebym ją miał przy sobie, bym mógł na nią patrzeć, bez niej już bym żyć dzisiaj

nie potrafił! Ale wyksztusił tylko nieśmiało:

— Cóż ja mogę... jeżeli żona chce tego — ja owszem, z całego serca... proszę,

bardzo proszę.

Nazajutrz ten sam pociąg osobowy, zatrzymujący się na wszystkich przystankach,

którym jechał Zbigniew do żony, wiózł ich we troje, ale jakoś smutnych dziwnie,

milczących i zadumanych.

Podróż nudziła się im niewypowiedzianie, i narzekali na zółwie posuwanie się

pociągu. Ta sama

kareta czekała na stacji. A kiedy zeskokczyła z trzęsącego, hałaśliwego bruku na

mięki piasek bocznej drogi i zaczęła się po nim cicho,  
spokojnie toczyć, wszyscy  
poczułi, że im tak razem we troje, w jednej ciasnej karecie jest  
nie dobrze.

## XI

Pani Ewa zbyt była przenikliwa i trzeźwo patrząca na rzeczy,  
ażeby nie  
spozrzecz, że między tym dwojgiem ludzi, między mężem jej,  
a młodą dziewczyną  
zasnuły się nici jakiegoś serdeczniejszego stosunku. Owszem  
domyślała się tego  
oddawna i oddawna cierpiała nad tem niemiłosiernie; tamci  
jednak nie zdradzali  
się niczem dotąd; nie uchwyciła jednego słowa, jednego  
spojrzenia, jednego  
gestu, któryby mógł stanowić bardziej wyraźny dowód tego,  
co jak podejrzewała, w  
duszach ich dziać się musi. Zbigniew uszczęśliwiony, że ją, tą  
ukochaną  
dziewczynę swoją, będzie miał tak blisko, że będzie mógł ją  
widywać, że będzie  
mógł sycić oczy jej urodą, zdrowiem i młodością, w obawie,  
ażeby nie utracić jej  
nazawsze, unikał wszystkiego, coby żonę mogło zaniepokoić,  
obudzić jej

czujność i, co za tem idzie, wzniecić zazdrość gwałtowną. Jak żak krył się ze wzrokiem swoim, jak żak ukradkiem wysyłał do tej drogiej, jedynej kochanki krótkie, przelotne, ale pełne bezkresnej, niewysłowionej miłości spojrzenia.

Panna Ewa otrząsnąwszy się trochę po okropnych przejściach, przebolawszy śmierć matki, zaczęła szukać tych spojrzeń z krwi i ognia, tak dziwnie magnetycznych i wabiących i płaciła za nie spojrzeniami przepelnionymi wdzięcznością, ufnością bezgraniczną i oddaniem się. A z czasem, później, i w jej oczach, na krótko, na jedno mgnienie, zjawił się błysk namiętny i palący, niby krzyk ostry rozdierającego się serca, niby nagły wybuch tłumionych głęboko pragnień.

Zbigniew, jakby umyślnie dla odwrócenia wszelkich podejrzeń, otaczał żonę nadzwyczajną czułością i troskliwością, zasypywał ją tysiącami pieśczoł, grał miłość namiętą z jakąś szaloną furją i zapamiętaniem się, udawał zakochanego, przysięgał, zaklinał się i... kłamał. A grał ciężką tę rolę z jakąś przedziwną swobodą i zapalem, bo w nagrodę czekała go ciepła, rozkoszna rozmowa, z kochaną dziewczyną.

I nie sam na sam, ale wśród ludzi, przy świadkach, rozmowa zwykła, zwykle przerwane pu-



stych, banalnych słów, ale jakże dla nich bogate w treść  
wewnętrzną, jak pełne  
tajemniczego uroku i znaczenia. Jak oni się doskonale  
rozumieli, nie  
powiedziawszy sobie dotąd jednego konkretnego słowa. Nic,  
prócz spojrzeń i  
jakieś mistycznej emanacji dusz, jakiegoś języka z  
zaświatów, języka bez  
dźwięków, znaków bez widomej formy, słów bez znaczenia. I  
trwał ten romans  
daleki, a tak przecież mocny, spoisty, gorący, tak niewinny, a  
pełen namiętnych  
wybuchów, czysty wśród kłamstwa, udawań i obłudy. Wśród  
ciężkiej komedii życia  
jasno im było i radośnie i przeszło tak znojne lato, i jesień  
słotna, ddżysta  
przeszła. Zrzuciły drzewa zżółkłe liście i biały szron osiadł na  
nagich konarach  
drzew, czepiła się osiedzielina sumiastych kit chojarów, a  
potem spadł na ziemię  
biały całun i długo, długo, trzymał ją w swem puchowem  
spowiciu. Znowu ciepłe  
słońce stopiło śniegową powłokę, prysły grube lody na  
wodach i luta zima odeszła  
za góry i świeże młode pąkowie strzeliło na nowo w błękity.  
A oni tak trwali wśród upojeń miłosnych, rozmów przy  
świadcach, tak banalnych, a  
pełnych wewnętrznej treści; może czasem silniejszy, dłuższy

uścisk ręki, może westchnienie głębsze, może jakie gorętsze słowo...

Aż padł pierwszy pocałunek.

Wiosna była już w pełni. Maj pachniał, bzy kwitły i mąciły swą wonią odurzającą

rozumy. Stara, znana historia...

Pewnego dnia, po obiedzie, kiedy zapracowana zazwyczaj pani Ewa pozwalała sobie

na krótką drzemkę w fotelu, Zbigniew wyszedł bez czapki do ogrodu i przechadzał

się w zadumie ścieżkami, rozkoszując się odżywczo ciepłem wiosny.

Zawędrował tak na koniec parku, gdzie, otoczona gęstwiną grabów, lip, klonów i

leszczyny, błyszczała od stojącego wysoko na niebie słońca, woda niewielkiej

sadzawki. Nad sadzawką urządzony był taras z kamiennymi schodkami zzieleniałymi

od mchów i pleśni, a na tarasie kilka ławek, ustawionych w podkowie, dziś

rozsypywało się w próchno. Było to ustronie przyjemne i zaciszne, lecz z powodu

swego oddalenia od dworu rzadziej odwiedzane, trochę więc opuszczone i

zaniedbane.

Nieobcinane młode pędy drzew, zagroziły przejścia, uliczki pozarastały, trzeba

się było przebijać przez płataninę gałęzi i zielska. Kiedy Zbi-

gniew przedarł się nareszcie przez gęste krzewy, którymi podszyte były wielkie

lipy i graby, ujrzał nad wodą pannę Ewę. Stała cała w słońcu,  
wsparta ramieniem  
o młodą brzoźkę i, jakby szukała czegoś w sadzawce,  
pochyliła się całym ciałem  
naprzód. Dziewczyna rzucała karpiom okruchy chleba i  
bawiła się widokiem  
wielkich, tłustych ryb, które podływały do brzegu i otwierały  
żarłocznie  
okrągłe swe paszcze. Zbigniew szedł nad wodą cicho,  
unikając wszelkiego  
szelestu, chciał bowiem zejść ją znienacka, ale ona ujrzała  
odbicie jego w  
wodzie, odwróciła się więc i ze śmiechem wołała:  
— Aha, chciał mnie pan nastraszyć, ale woda pana zdradziła.  
Widziałam wszystko  
jak w lustrze kiedy się pan tu skradał...  
— Sprawia pani, jak widzę, ucztę karpiom — zapytał.  
— Ach, jakie one żarłoczne — niech pan patrzy. — I rzuciła  
na wodę garstkę  
okruchów. Nachyliła się i bacznie obserwowowała ryby, które  
wypływały na  
powierzchnię i jak złodzieje chwyciły, kawałki chleba, a  
potem uciekały ze  
zdobyczą w głębiny. Zbigniewa jednak nie ryby zajmowały;  
zapatrzył się on na  
szyję dziewczyny, na której

migotały nieuchwytnie plamki cieniów, rzuconych przez  
drobne listki brzeziny.  
Nie miała dziś na sobie swej zwykłej czarnej, żalobnej i  
wysoko zapiętej sukni,

lec lekka, szarą bluzkę bez kołnierzyka, zakończoną u góry  
delikatną kryzką  
gazową. Szyja cała była odsłonięta, biała, okrągła szyja  
młodego dziewczęcia, o  
przecudnych miękkich przejściach, uroczo związana z kształtną  
główką, pokrytą  
bujnym czarnym włosiem.  
Drobne kosmyki wymykały się z pod uczesania i wiewały  
figlarnie, a pyszne,  
jaskrawe słońce majowe wybrało sobie szyję tę za przedziwną  
igraszkę dla  
swawolnych promieni, które tańczyły na niej ruchliwe, jakby  
żywe, przedzierając  
się przez leciutką tkanę listków brzeziny, poruszanych  
zaledwie wyczuwalnym  
wietrzykiem. Nęciła go... hypnotyzowała go ona tą  
migotliwością, ciągnęła  
nieprzewyciężonym swym blaskiem — nachylił się i...  
pocałował zniecka.  
Panna spojrzała na niego wielkimi, szeroko rozwartymi  
oczami, ale nie było w  
nich ani zdziwienia, ani oburzenia, ale jakieś nieuchwytnie  
zawstydzenie.  
Zbigniew uczul się także zawstydzony. Nie mówili więc wcale  
o tem, co zaszło,  
ale

owszem o rzeczach zupełnie obojętnych: o żarłoczności ryb, o  
pięknym dniu,  
przyjemnych podmuchach wiatru. Usiedli oboje na schodkach  
tarasu i wpatrzeni w

wodę gwarzyli, jak małe dzieci, bez cienia jakiegokolwiek interesowności, robiąc najpowierzchniejsze spostrzeżenia nad otaczającą ich naturą.

— Prześliczny liść tego klonu — taki świeży, jasny.

— Jaka wysmukła jest ta brzoźka...

— Liście ma drobne i delikatne, i drży biedactwo bez ustanku.

Idylla musiała się skończyć — wracali ku dworowi razem, nie uważając nawet za

konieczne ukrywać się przed światem z tem spotkaniem.

Nazajutrz, jakkolwiek nie naznaczyli sobie schadzki, znaleźli się nad sadzawką o

tej samej godzinie.

Kiedy Zbigniew przyszedł, zastał już pannę Ewę siedzącą na schodkach tarasu.

Ujrzawszy go wstała i szła ku niemu mówiąc ze śmiechem.

— Wiedziałam, że pan tu przyjdzie.

— Byłem pewny, że cię tu zastanę, zawołał Zbigniew jakimś zmienionym drżącym

głosem. Wiedziałem, kochasz mnie. Przyjść musiałaś. Ja cię wołałem, wzywałem

całą mocą, zaklinałem siłą

swej miłości. Przyszłaś! Moja! moja! — I chwycił ją w

objęcia, przegiął głowę w

tył i całował w usta namiętnie. Wpił się w jej wargi czerwone.

Ona broniła się

lekko, bezsilnie, jakby wbrew woli.

— Panie, żona pańska, pan ma żonę... Pani Ewa!

— Ciebie, ciebie jedną kocham. Słuchaj ucie kniemy na koniec świata, zaraz...

uciekniemy...

Ja niemogę, ja niechcę dłużej znosić tej tyranii, tego udawania, niemogę znieść męczarni...

Posadził ją na ławce, przypadł do nóg i cisnąc obie jej ręce w swoich dłoniach, zaklinał na wszyst kie świętości, ażeby mu uwierzyła, ażeby chciała go kochać, bo on się czuje teraz przez miłość dla niej inny, odrodzony, lepszy. Że pogardza dotychczasową swoją egzystencją, że uczuł w sobie odwagę, hart i siły do walki z wszelkimi przeciwnościami, że ją uczyni szczęśliwą.

Ona załamała ręce. — Co powie, co powie pani Ewa. Ta dobra, zacna pani Ewa?

Zbigniew po pocałunku wczorajszym przebył straszną walkę wewnętrzną, która oddziałała potężnie na jego usposobienie miękkie i nieco bierne. Pierwszy ten pocałunek wyjaśnił mu, że niepodobna dłużej prowadzić tej gry podwójnej, tego ustawicznego okłamywania się, że ten dziwny

nienaturalny stosunek musi przyjąć wreszcie jakieś formy określone, że może nastąpić coś niespodziewanego, okropnego. Czul, że ten pierwszy pocałunek nie

będzie ostatnim, że wyczerpał już panowanie nad sobą... Że uledez musi  
namiętności, która go porwała w swe szpony bezwzględne. Rozumiał, co winien jest  
żonie swojej, nie miał odwagi zapłacić jej za te wszystkie poświęcenia, jakie  
dla niego uczyniła, niewdzięcznością. Opuścić, porzucić ją starą, beznadziejną,  
i iść za tą młodą, piękną dziewczyną. I już nie obawa ubóstwa, nie żal  
dobrobytu, którego by musiał wyrzec się, uciekając od żony, ale te długi  
wdzięczności, zaciągnięte względem niej, paraliżowały odtąd wolę jego.  
Czuł na ustach miękie, atlasowe dotknięcie szyi Ewuni, czuł ją u piersi swojej,  
a widmo żony stawało między nimi. Wśród męczarni takich przeżył pod jednym  
dachem z temi kobietami tyle miesięcy, starał się utrzymać jaknajdłużej w owym  
stanie niezdecydowania, ale dziś musi się odważyć na jakiś krok stanowczy. Bił  
głową o ścianę, włosy wyrywał z rozpacz. Mamże się wyrzec tej mojej dziewczyny kochanej, mam o niej  
zapomnieć nazawsze? I wspomnienie tych spojrzeń uroczych, tych ciepłych uściś-

nień dłoni, tych słów niedopowiedzianych, a tak wymownych, stańło jak srogi  
wyrzut. Wspomnienie pocałunku wstrząsnęło dreszczem rozkoszy. Nie, czyż mi nie

wolno pozwolić sobie na szczęście... Dlaczego? I znowu żona  
poważna, sztywna a  
taka dobra, taka majestatyczna, taka zimna, stara, a taka  
poświęcająca się mówi  
mu: Musisz kochać mnie tylko, mnie tylko, mnie jedną tylko...  
Mamże dalej udawać miłość dla niej, mam dalej ciągnąć  
męczarnie niezaspokojonych  
pragnień.

Ale znowu męczarnie te niosły w sobie pierwiastek  
niewypowiedzianego  
zadowolenia. Kiedy patrzył na czerwone, soczyste, rozchylone  
przedziwnym  
uśmiechem usta dziewczyny wiedział, że może pić z nich  
zawrotny czar miłości, że  
wyssać z nich może słodycz niewysłowioną, nieznaną dotąd  
spragnionym jego  
wargom, że jest jego cała, czekająca nań w wszechpotędze  
swych wdzięków  
dziewiczych, czysta i płomienna, a odsuwał tę chwilę jak  
najdalej. I był jak ten  
epikurejczyk, który pił dosyta, z czary rozkosz}', pił do  
przesytu, więc potem,  
kiedy spragniony, ma przed sobą puhar pełen orzeźwiającego  
napoju nie wychyla go  
odrazu z młodzieńczą lekkomyśl-

nością, lecz czeka, ażeby potężniejące cierpienia pragnień  
spotęgowały do  
nieskończoności rozkosz użycia.

A gdyby mu kto miał usunąć z przed ust ten kielich pożądany,  
gdyby inny



mężczyzna miał dotknąć się ust czerwonych, zabrać mu ją...  
Zadrżał. Myśl ta przejęła go grozą, przegryzała serce, a  
zarazem rozpałała krew  
płomieniem nieugaszonych pożądań. Konieczność posiadania  
ukochanej zapanowała  
nad całym jestestwem, wzniosła się ponad rozum i wszelkie  
inne uczucie, ogarnęła  
wszystkimi władzami duszy i rozigrała wyobraźnię orgią  
szaloną  
najcudowniejszych przeczuć. Rozszalały mu się w mózgu  
wizje nicpoznaczonych uciech,  
nieobjętych zachwytów, nadziemskich niesień. Roztęskniły się  
zmysły do widoku  
jej oczu czarnych i pięknych, czarnych włosów, spływających  
kaskadą po białym  
ramieniu, do zapachu młodości jej dziewiczego ciała, do  
przedziwnej gładkości  
skóry, do dźwięku srebrzystego jej śmiechu. I przeraźliwie  
dłużyły mu się  
godziny bezsennej nocy i wiekiem wydał się piękny poranek  
majowy. Chodził wśród  
ludzi, jak nieprzytomny, przy obiedzie bał się spojrzeć na żonę  
żeby nie odgadła  
w nim tego buntowniczego prze-

budzenia się zmysłów, bał się spojrzeć na Ewę, żeby nie  
zdradzić się gwałtownym  
wybuchem i nie wywołać przedwcześnie katastrofy. Po  
obiedzie pani Ewa  
zatrzymywała go na krótką pogawędkę o sprawach  
gospodarskich, a potem zostawił

ją w fotelu drzemiącą i biegł, biegi do ustronia nad sadzawką,  
gdzie zastanie  
dziewczynę swoją ukochaną. Pewny był, że tam będzie, że  
czeka na niego, że się  
nareszcie złączą uściskiem tak dawno oczekiwany.  
Panna Ewa czekała istotnie. Jakaś niewytłomaczona,  
niepoznawalna siła przywiodła  
ją tu, i szepnęła — czekaj. Czekala więc trwożna jakaś i  
załękniona, jakby lekki  
dreszcz strachu przed czymś nieznanem przebiegał jej  
dziewicze ciało, jakby  
przeczucia jakieś okrutne i ponętne przyśpieszały bicie serca,  
jakby pragnienia  
nieokreślone podniosły pulsowanie krwi, równość oddechu  
mąciły. Czula się, jakby  
osłabioną, bezsilną i bezbroną, to też broniła się słabo, kiedy  
Zbigniew wpił  
się ustami w jej usta, kiedy ją chwycił w pól i cisnął do siebie  
z całej mocy.  
Mówiła z przerażeniem o pani Ewie, której się bała i dla której  
miała względy  
wdzięczności, ale on pocałunkami zamykał jej

usta, więc zmrużyła oczy, opuściła bezwładnie ręce i była, jak  
rzecz bez woli i  
ruchu.

A kiedy on porwał ją na ręce i niósł niby małe dziecko,  
zarzuciła mu ramiona na  
szyję i usta swoje z ustami jego złączyła i w bezwzględny  
oddaniu się tuliła mu

się do piersi, a jeszcze głosem żalonym, cichym, jak  
brzęczenie muchy, jak  
szmer liści, lekkim poruszanych wiatrem, szeptała:  
— Miej litość, miej litość nademną.  
A słońce, świetne majowe słońce, zawieszzone wysoko na  
niebie, przebiło swymi  
strzelistymi promieniami gęste korony grabów i klonów,  
odszukało ich wśród  
gąszczy bzów i leszczyny i zaigrało radośnie na  
rozkochanych, złączonych  
namiętym pocałunkiem głowach.

## XII

Zaciszne ustronie nad sadzawką stało się miejscem schadzek  
dla kochającej się  
pary. Przybiegali tu o umówionych godzinach z dwóch  
różnych stron i rzucali się  
sobie w objęcia, i trwali tak wśród pieścizot i pocałunków  
długie, długie  
godziny. Zbigniew, pomimo najmocniejszego postanowienia  
zerwania ostatecznie z  
żoną i przedsięwzięcia kroków rozwodowych, zwlekał z tem z  
dnia na dzień. Życie  
płynęło im tak słodko, tak dobrze; tajemne schadzki miały tyle  
uroku i powabu,  
dawały tyle bezbrzeżnych zachwyków, uniesień, że obawiali  
się oboje, ażeby  
straszne przejścia, zgrzyty, miotania się tej biednej  
nieszczęśliwej kobiety,

którą dla miłości swej musieli skazać na rozpacz i cierpienia,  
nie psuły im  
chwil tego bezwzględneho zapomnienia się w rozkoszy.

— Możesz mną pogardzać — mówił Zbigniew kołysząc swą  
głowę na kolanach Ewusi —  
pogardzać i ukarać najsurowiej. Nic jeszcze nie mówiłem z  
żoną, nie mam odwagi  
uderzyć w to serce, zakrwawić go, rozedrzeć... nie mam  
odwagi zmącić, przeciąć,  
odmienić, wyrzec się tych naszych kradzionych chwil  
szczęścia. Chciałbym ażeby  
trwały takie ukryte, takie zakazane jak najdłużej —  
wieczność, nazawsze... Ale  
ja wiem, wiem, to skończyć się musi jakoś, to fatalne, to  
nieuniknione. A, a,  
zawiele byłoby szczęścia, zawiele rozkoszy, pierś ludzka  
znieść by tego nie  
mogła. Tak, tak, wisi nad nami konieczność... Dziś, jutro... a  
to okropne! Dziś,  
jutro, skończyć muszę... Skorzystam z pierwszej sposobności.  
Słuchaj ty, ty  
ukochanie moje, ty mnie masz za człowieka małej duszy, za  
nikczemnika  
pozbawionego uczuć ludzkich. Ty czysta, oddałaś mi  
wszystko, wstyd, młodość,  
całą siebie; ja cię biorę samolubnie całą, taką piękną, taką  
dobrą, taką  
poświęconą bez granic i nic dla ciebie zrobić niechcę, na jeden  
wysiłek woli

zdożyć się nie mogę. Wykradam się, jak żak z pod czujności  
tamtej kobiety, ażeby  
się pieścić białością twego ciała, czerwienią warg twoich,  
ażeby zakryć twarz  
przędzą twoich włosów

i czuć ich jedwabistość i chłonać w siebie woń ich  
przedziwną, i pić twój oddech  
słodki... i pić całą rozkosz, całe bezmiary rozkoszy twego  
młodego ciała, pić do  
zapamiętania się, do szalu. Słuchaj ty, ty moje uwielbienie, ty  
moje  
oczarowanie, ty moja duszo, ty musisz mną pogardzać.  
Ale Ewcia brała jego głowę w swe białe delikatne dłonie  
lekko, pieściwie,  
całowała go w usta długo, gorąco i mówiła:  
— Kocham cię, kocham! Co potem będzie niewiem — nie  
chcę myśleć. Może śmierć...  
może... niewiem. Najbardziej bym chciała umrzeć tak przy  
tobie, wśród  
pieszczot... Czy to się musi skończyć? Jak?... Ach! Nie  
myślmy, nie myślmy!...  
I tuląc do jego głowy swoją główkę ciągnęła dalej  
rozmarzona:  
— Tak, głowa przy głowie. Zmruż oczy! Czujesz mnie przy  
sobie? Ja ciebie czuję  
i dobrze mi, i nie chcę o niczem wiedzieć więcej, nie chcę  
myśleć więcej... Dziś  
jest dobrze, jutro jeszcze tak będzie, pojutrze... może jeszcze  
dłużej, a potem

śmierć... Prawda, drogi, potem śmierć. Nic innego pomyśleć  
nie mogę, bo kiedy  
pomyślę... Ach!... to mi straszno, to boję się i drzę, i źle mi  
jest. Nie  
myślmy, nie myślmy!

Obejmowała go wtedy silniej rękami, wtulała się w niego cała,  
jakby w obawie,  
żeby nie zostawił samej, nie opuścił.

— Nie myślmy, nie myślmy.

Ale kiedy myśl natrętna raz zasiędzie na zasmuconej duszy,  
nie łatwo daje się  
odpędzić. Zlatuje do niej na nietoperzowych skrzydłach  
cichym, złodziejskim  
lotem zmora trosk, zwątpień i niepokoju, wżera się w serce i  
ssie, ssie krew,  
wysysa radość, wesele i spokój. Mrok ciężki, ponury padał na  
nich wtedy —  
zbierali się z miejsc, gdzie śnili przed chwilą o wiecznej  
rozkoszy i  
rozchodzili się w dwie różne strony.  
Znikanie ich zwróciło z czasem na siebie uwagę. We dworze,  
między służbą zaczęto  
przebąkiwać o dwuznacznym zachowaniu się panny Ewy, o jej  
zamiłowaniu do  
samotności i o częstych spacerach do sadzawki. Zdaje się  
również, iż nie uszło  
to uwagi pani Ewy.  
Pewnego dnia o południu zbiegli się nad sadzawką prawie  
jednocześnie. Spotkali

się pod cieniem dwóch rozłożystych lip, w pewnym oddaleniu  
od samej sadzawki, a  
kiedy rzucili się sobie w objęcia i rozległ się szmer  
pocałunków, z głębi, od  
strony tarasu nad wodą, doleciał jakby cichy

jęk i wysoka, smukła postać niewieścia wstała z kamiennej  
ławki i zaczęła iść w  
stronę przeciwną. Obeszła sadzawkę dookoła i zniknęła w  
głębokim ciemnym  
spalerze, idącym wzdłuż muru ogrodowego.  
Kochankowie odskoczyli od siebie przerażeni: w postaci  
niewieściej poznali panią  
Ewę. Zrazu ogarnęło ich zmieszanie i trwoga, jak złoczyńców,  
przyłapanych na  
gorącym uczynku. Odruchowo rzucili się do ucieczki w dwie  
przeciwne strony i  
biegli chyłkiem, przedzierając się przez gęstwinę krzaków.  
Zbigniew jednak nagle  
uczul w sobie jakby wstyd z powodu małodusznego  
zachowania się swego. Ambicja  
męska wzięła górę nad poczuciem winy i wywołała pogardę  
dla dziecinnej niemal  
obawy, jaka zrodziła się w nim wobec tej zdradzonej żony.  
Zatrzymał się,  
obejrzał i dostrzegł suknię Ewusi migającą między drzewami  
o kilkanaście kroków.  
Pobiegł więc w tym kierunku, dopędził dziewczynę i schwycił  
ją za rękę.  
Była w najwyższym stopniu przerażona, jakby unicestwiona  
okropnym zdarzeniem.

Mimo szybkiego biegu była trupio blada, z oczami szeroko otwartymi, prawie nieprzytomna i trzęsąca się jak w febrze.

— Chcę z tobą pomówić — rzeki głosem mocnym, stanowczym Zbigniew.

Ewcia załamała ręce i w najwyższej rozpaczycy tkąła.

— Jak ja jej się teraz pokażę na oczy? Jezus Marja! jak ja jej się na oczy

pokażę. Spalę się ze wstydu i okropności. Nie, nie, uciekajmy... Ja ucieknę...

Piechotą pójdę w świat. Nie wiem dokąd, jak, ale się kobiecie tej nie pokażę,

nie pokażę, nie pokażę... Jezus Marya, co to za hańba, co za nikczemność!...

Zbigniew uspokajał kochankę.

— Chcesz wyjedziemy razem dziś jeszcze... zaraz. Każę zaprządz konie,

wyjedziemy do Warszawy, a potem... Ale wiesz, nie chcę tego, nie chcę uciekać

jak złodziej. Kocham cię, złoto moje najdroższe, jak nikogo na świecie nie

kochałem i nie zaprę się tego przed nikim. Uzbrój się w odwagę. Staniemy przed

nią razem i powiemy otwarcie: kochamy się. Ja cię obronić potrafię. Trudno, to

się musiało raz skończyć, nawet lepiej, że wypadek ten przyspieszy rozwiązanie.

Tak powiem jej: wiem co się pani odemnie należy, robiłem co mogłem, walczyłem,

ale trudno, dłużej serca gwałcić nie mogę, nie mogę...



Ewcia rozpaczała ciągle.

— Jak ja jej się pokażę, jak ja jej się pokażę, jak ja jej w oczy spojrzeć będę mogła! Rób co chcesz, mów co chcesz, ale jej widzieć nie będę, umarłabym ze wstydu i hańby. Nie, nie, nie! Nie chcę jej widzieć za nic na świecie.

Pobiegła szybko, wśliznęła się bocznem wejściem od kuchni do dworu i zamknęła się na klucz w swoim pokoju.

Zbigniew uspokojony znacznie mocnem postanowieniem ostatecznego rozmówienia się z żoną z zupełną równowagą umysłu zajął się codziennymi sprawami gospodarskiemu

Kazał osiodłać konia i wybrał się na objazd majątku. Kiedy wrócił przed wieczorem z gotowym, ułożonym dokładnie planem kampani, który obmyślił w czasie długiej konnej przejażdżki, do najdrobniejszych szczegółów, foryś pani Ewy, odbierający konia od niego, mówił.

— Jaśnie pani kazała prosić, żeby jaśnie pan, jak tylko przyjedzie z pola, przyszedł do kancelarji.

— Aha — pomyślał sobie — tegom czekał. I zacierając ręce, prawie wesoło nucił.

— No! bomba pęknie. — Pal sześć — niech się to raz skończy.

W kancelarji zastał panią Ewę przy wielkim stole, pochyloną nad papierami. Kiedy wszedł, podniosła głowę i ze zwykłą sobie, słodką grzecznością przywitała go uśmiechem.

— Jeździłeś do Żwirówki?

— Tak bytem w Żwirowce i w lesie. Wycechowaliśmy nowe poręby od strony Berek —

mówił Zbigniew, a z najwyższą uwagą badał wyraz twarzy żony, lecz nic w niej nie

dostrzegł niezwyčajnego, wydało mu się tylko, że była może bledsza niż zwykle,

oczy miała może bardziej zmęczone, jakby po płaczu, zresztą nie bardzo

gwałtownym, ale była, jak zawsze, spokojna, dystygowana, wspaniała i uprzejma.

— Chciałam cię prosić — mówiła — ażebyś się już zupełnie zajął tą wiekuistą

sprawą serwitutów nieborowickich. Zawsze musiał robić koło tego jakiś mężczyzna,

ja sama nie mogłam przecież chodzić od Ananasa do Kaifasza, chodził więc

Krępacki. Ale jak wiesz, on niezbyt mocny w piśmie — dodała z subtelnym

uśmiechem sarkazmu — gmatwał jeszcze bardziej całą sprawę. Radabym bardzo, żebyś

jaknajprędzej pojechał do miasta i zobaczył się przedewszystkiem z geometrą.

— Ależ owszem, pojedę zaraz jutro — odrzekł Zbigniew, a patrzył i słuchał, zmysłom własnym nie wierząc. Spodziewał się gwałtownego wybuchu zdradzonej żony, a zastaje ją w najzupelniejszym spokoju i równowadze. Nie przypuszczał ażeby można było tak zapanować nad sobą. Spodziewał się jednak, że wielka ta pani, hamując się na razie, zgotuje mu w końcu ciężką przeprawę. Nic jednak z tego nie było. Owszem, rozmowa weszła na ton wyjątkowo serdeczny. Pani Ewa, mówiąc o lesie koło Żwirówki, o który właśnie w sprawie chodziło, zaznaczyła, iż przywiązana jest do niego bardziej niż do innych miejscowości majątku. Było lasek na górcie w którym Zbigniew po raz pierwszy wyznał swej przyszłej żonie, że ją kocha, tam wycisnął na jej ustach pierwszy pocałunek. — Mamy tam oboje wspólne wspomnienia — mówiła pani Ewa — i miejsca te są dla mnie bardzo drogie i kochane. Za nic w świecie nie chciałabym się ich pozbyć, niedałabym ściąć jednego bodaj drzewka. Cóż chcesz — ciągnęła z uśmiechem i odcieniem rzewności w głosie — i ja miewam czasami chwile sentymentalne.

Tu swoją smukłą, zgrabną, białą rękę położyła pięściwie na rękę Zbigniewa.

— Prawda sentymentalna jestem do śmieszności? — spytała.

— Zbigniew, zaprotestował jakoś odruchowo i ucałował białą rękę żony. Całował ją jednak bez zapału, jakby z przymusu, w każdym razie czuł, iż chwila do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich w wojnie, do której się przygotował, jest najmniej odpowiednią. Przytem coraz bardziej przychodził do przekonania, że pani Ewa mogła ich nie zauważyć na schadzce, gdyż poprostu niepodobna, aby tak doskonale mogła pokryć urazę. W tem mniemaniu upewnił go jeszcze ostatecznie ton serdeczny, z jakim mówiła o Ewuni.

— Boję się bardzo, czy biedactwo nie chore, siedzi u siebie w pokoiku i nie chciała zejść na podwieczorek, chociaż dwa razy po nią posyłałam.

— Nie, stanowczo, — wykrzyknął Zbigniew, kiedy się znalazł sam — niepodobna, ażeby ta kobieta udawała. Pobiegł cichaczem podzielić się przeświadczeniem tem z Ewunią.

Drzwi były na klucz zamknięte. Zastukał — żadnej odpowiedzi. Spojrzał przez dziurkę od

klucza i zobaczył dziewczynę siedzącą przy stole, z twarzą ukrytą w dłoniach, zawołał więc zcicha.

— Ewuniu, otwórz muszę z tobą mówić. Poznała głos i otworzyła. Była ubrana, jak

do  
podruży, na krześle leżał niewielki węzełek z  
najpotrzebniejszymi rzeczami.  
— Co znaczy ten kostjum? — zapytał.  
— Uciekam dziś w nocy. Czekam nocy i wyjdę stąd  
niepostrzeżona. Nie mogłabym  
spojrzeć w oczy tej kobiecie.  
Zbigniew uspakajał ją, zapewniając, że pani Ewa nic nie  
widziała, niczego się  
nie domyśla. Powtórzył jej całą rozmowę z żoną, w  
najkorzystniejszym świetle  
przedstawił zaniepokojenie się jej nieobecnością Ewuni na  
podwieczorku. Dała się  
przekonać, zdjęła płaszczyk i obiecała przyjść na kolację.  
Jakoż istotnie zeszła do jadalni o właściwej godzinie, biedna,  
przybita, prawie  
spuchnięta z płaczu; siadła w cieniu zdała od lampy, skarżąc  
się niby na ból  
głowy. Przez całą wieczerzę oczu nie podnosiła z talerza, nie  
jadła nic prawie i  
natychmiast po ukończeniu kolacji, utrzymując, iż musi się  
natychmiast położyć,  
wstała i zaczęła się żegnać.

Pani Ewa, jak zwykle pocałowała ją w czoło na dobranoc.  
— Zbigniew widząc to, uczuł jakby wyrzut sumienia, że  
zdradza tę zacną  
szlachetną kobietę i znowu zachwiał się w postanowieniu  
brutalnego otworzenia  
jej oczu na istotny charakter wzajemnego ich stosunku.  
Ewunia, którą oddawna w

najboleśniejszy sposób raniła owa przyjazna dobrotliwość  
pani Ewy, teraz z  
rozpaczą szepnęła do Zbigniewa.

— Na miłość Boską, muszę ztąd wyjechać jaknajprędzej. Ja  
tego dłużej wytrzymać  
nie będę wstanie. To ohydne!

### XIII

Pani Ewa przecież doskonale widziała co się działo pod lipami  
nad sadzawką.

Spokój jej i całe zachowanie się w tej sprawie było komedią  
ciężką i trudną,

którą grała zresztą oddawna z zaparciem się siebie, przez  
dumę i wielką miłość

dla Zbigniewa. Miała ona najzupełniejszą świadomość tego,  
że wszelka

gwałtowniejsza scena zazdrości, mogłaby dla niej, starzejącej  
się już, zakończyć

się stanowczą porażką, że mogłaby utracić na zawsze tego  
pięknego, młodego męża,

którego pragnęła za wszelką cenę utrzymać przy sobie.

Rozumiała dobrze, że,

gdyby ze swojemi przekwitłemi wdziękami wystąpiła do  
walki otwartej z tą młodą,

świeżą i piękną dziewczyną musiałaby uleść koniecznie.

Rozumiała to i cierpiała

nad tem straszliwie. Liczyła na Zbigniewa, że

poczucie obowiązku, świętość ślubów, wdzięczność, jaką dla  
niej mieć powinien,  
powstrzyma go od kroków, mogących zagrozić spoistości ich  
małżeństwa, że  
uczucie, które się wyrodziło między tym dwojgiem ludzi, nie  
przejdzie po za  
granice idealnej sympatji serc i nie zamieni się na stosunek,  
pociągający za  
sobą poważniejsze następstwa. To też, pomimo iż zauważyła  
od razu owe znaczące  
spojrzenia, szczególniejsze akcenty głosu, znamienne  
uściśnienia rąk, że  
zrozumiała cały ten przedziwny język zakochanych, nie  
zdradzała się z tem  
zupełnie, owszem starała się w najwyższej tajemnicy  
zachować w sobie to  
odkrycie, ażeby nie wzbudzić w zakochanych podejrzeń;  
starała się, przyjaznem,  
ciepłem zachowaniem się, zdobyć ich życzliwość i  
przywiązanie. I istotnie  
Zbigniew, jakby przez wdzięczność otaczał ją nadzwyczajną  
czułością. Cierpiała z  
tego powodu dumna pani, ale z radością przyjmowała  
pieszczoty męża starzejąca  
się kobieta, pragnąca tych pieścizot bodaj za cenę  
najwyższych poświęceń. Kiedy  
wśród służby zaczęły krążyć plotki o ściślejszem stosunku  
dziedzica z kuzynką, i  
panna służąca przy tualecie pani dziedziczki, wrywała się,  
niby niechcący z  
jakiemś dwuznacznem słowem, pani Ewa zanie-

pokoła się poważniej, umiała jednak jeszcze zapanować nad sobą i z całą, właściwą sobie, wspaniałością karciała pokojówkę za niewłaściwe odezwanie się. Po trochu wszakże dowiedziała się najdokładniej o czasie i miejscu schadzek i w najwyższej boleści, wśród strasznych mąk pogwałconej miłości własnej, zazdrosnych miotań się zdradzonej żony postanowiła położyć koniec owym występny schadzkom, ale zabrała się do tego z jakimś rozpaczonym spokojem i nadludzkim niemal wyrachowaniem. Dnia tego, zamiast poobiedniej drzemki, wybrała się wcześniej do ustronia nad sadzawką. Szła ze ściśnionym sercem, szarpana najokropniejszymi bólami, ale przywołała całą moc panowania nad sobą, ażeby nie zdradzić się przed nikim z walką wewnętrzną, jaką przechodziła. Szatańska duma dodawała jej sił do wytrwania. Siadła na ławce, ukryta wśród wybujałej nadmiarę, nie trzebionej nożycami ogrodnika w tym miejscu, roślinności i czekała z zapartym oddechem przybycia kochanków. Odgłos mocnych, namiętych pocałunków wyrwał z jej piersi okrutny jęk boleści, jęk którego mimo nadludzkich wysiłków powstrzymać nie była w stanie. Potem powstała i szła



wolno w przeciwną stronę, cała w słońcu, ażeby mogła być  
dobrze widziana. Szła  
wolno, równo, choć dusza jej się rozdzierała w kawały, choć  
rozszała  
namiętności ciągnęły ją w stronę kochanków, w stronę tej  
nienawistnej  
dziewczyny, na którą pragnęłaby rzucić się z piekielną furją,  
wydrapać jej te  
czarne palące oczy, okrwawić, pokaleczyć, zeszpecić  
straszliwie jej twarz piękną  
o gładkiej, delikatnej, jedwabistej cerze. Szła wolno, równo,  
cicho, a piekło ją  
pragnienie czynów gwałtownych, wściekłych, przeraźliwych  
krzyków, jakiegoś  
demonicznego rozpasania się w złości i nienawiści. Wyła  
rozpacz w duszy  
obrażonej.  
Każdy wybuch jej byłby dla Zbigniewa hasłem zerwania.  
Stłumiła więc w sobie  
gniew, zazdrość, rozpacz i szła cicha, wspaniała,  
majestatyczna, bo zrozumiała,  
że postać jej ukazująca się kochankom, będzie jak ono  
Balthazarowskie Mane,  
Tekel, Phares, że przerazi ich i przywoła do opamiętania się.  
Pani Ewa postępkami  
tym rozpoczęła akcję o szeroko nakreślonym planie i dalej też  
przeprowadzała ją,  
punkt po punkcie, z nadzwyczajną ścisłością i konsekwencją,  
zachowując stale  
zimną krew i swój słodki uprzejmy sposób obejścia się.

Pierwszym etapem było wysianie męża na dni kilka do miasta gubernialnego w interesach. Zbigniew wyjechał, niedomyślając się podstępem, rad zresztą, że zaczyna być użytecznym w gospodarstwie, gdyż dotąd pani Ewa tak energicznie trzymała wodze wszystkich spraw majątkowych w swoim ręku, że pan dziedzic czuł się trochę upokorzonym swoją rolą, że tak powiemy drugoplanową. Tymczasem Ewunia osamotniona zdać się musiała na łaskę i niełaskę starszej kuzynki i dobrodziejki. Przeszła też istne tortury słodkiej troskliwości. Pani Ewa, jakoby zaniepokojona rzekomą chorobą Ewuni, nie odstępowała jej na krok jeden. Otworzyła przed nią serce, jakby w przystępie wezbrania wielkich czułości, zwierzała się ze swych strapiień, ze swej miłości dla Zbigniewa, ze swych obaw co do jego uczuć wzajemnych. Mówiła o swym wieku już bardzo zaawansowanym, o urodzie i młodości Ewuni, mówiła to z głębokim smutkiem i żalnością. Dziewczyna, czując ciągle na sobie jej oko badawcze, coraz bardziej pojmując, iż pani Ewa wie o całym stosunku jej ze Zbigniewem, że widziała ich w uścisku pod lipami, wiała się poprostu w cierpieniach niewypowiedzianych. Nic mogła znieść tej słodczy tonu, tych

czułości, tej serdecznej nuty ufności, tych wylewów uczuć  
rzewnych; paliły ją,  
jak rozpalone żelazo, pocałunki, jakie jej zdradzona żona  
składała na czole,  
wwiercało się aż pod serce, niby ostra stal puginału, każde  
słowo cieplejsze,  
każde najmniejsze dobrodziejstwo, któremi pani Ewa  
zasypywała kuzynkę obficie.  
Aż wreszcie czułościami doprowadzona niemal do utraty  
przytomności, czując na  
sobie ciężar okropnej winy wobec tej kobiety, padła na kolana  
przed swą  
dobrodziejką i błagała, żeby ją wysłać z Nieborowic, że dłużej  
tu pozostać nie  
może.  
To było przyznanie się do winy.  
Na ustach pani Ewy zaigrał uśmiech tryumfu, ale, niby  
zdziwiona niezmiernie,  
pytała z tkliwością:  
— Dziecko drogie, a czyż ci u nas tak źle, że chcesz uciekać?  
Spostrzegła się, że nie potrafi umotywować inaczej nagłego  
postanowienia, jak  
wyznaniem wszystkiego, zmieszała się więc okropnie i nie  
umiała znaleźć jednego  
słowa odpowiedzi, zakryła tylko twarz rękami i uderzyła w  
płacz spazmatyczny.  
Pani Ewa patrzyła górną z pod przymrużonych powiek na,  
wstrząsaną gwałtownym  
łkaniem,

dziewczyne. Była w tem spojrzeniu i groza i nienawiść i okrzyk zwycięzki, ale mówiła spokojnie, w najwyższym stopniu dyplomatycznie.

— Nie wymagam zwierzeń. Dajmy na to, że wiem o co ci chodzi, i rozumiem chęć wyjazdu, ale pamiętaj, że ja ciebie nie wypędzam.

— O nie, nie, pani jest taka dobra dla mnie, taka dobra — wołała Ewunia, rzucając się do całowania rąk kuzynki.

Ale ona cofnęła ręce i stała w dumie swej sztywnej i nieprzystępnej.

— Pamiętaj, że ja ciebie nie wypędzam, chcę żebyś o tem świadczyła przed Bogiem i ludźmi.

I wyszła majestatycznie z pokoju, zostawiając tarzającą się po podłodze Ewunię w najwyższej prostracyi.

W parę godzin po tem kazała ją prosić do kancelarji.

— Co myślisz z sobą robić, dokąd jechać?

Ewa nie miała dotąd żadnych planów, wiedziała tylko jedno, że musi opuścić

Nieborowice, odpowiedziała więc w egzaltacji, do jakiej ją doprowadziła ta pani i dobrodziejka swoją chłodną, wyrachowaną indagacją.

— Wyjadę, choćby na koniec świata.

Pani Ewa uśmiechnęła się sarkastycznie.

— Zapewne — mówiła pastwiąc się — Od wstydu rada by uczciwa kobieta uciec na

koniec świata i za koniec świata. Ale ty nie masz chyba  
jeszcze potrzeby  
uciekać, tak daleko?  
Chciała takimi drobnymi ukłuciami, pytaniami, rzucanemi  
zniechęca, wydobyć z  
dziewczyny całą prawdę o jej stosunku ze Zbigniewem,  
łudziła się bowiem ciągle,  
że nie doszedł on do ostatecznych konsekwencji. Rozumiała,  
że panna Nikocka,  
córka obywatelska, wychowana w tych samych, co i ona  
tradycjach surowej cnoty  
matron polskich, nie oddała by się nigdy przed legalnym  
uświęceniem związku. To  
mogło się zdarzyć pokojówce, mieszczce jakiejś bez  
nazwiska, wreszcie pannie z  
domu bardzo arystokratycznego, gdzie w poglądach etycznych  
panuje ciągle powabny  
libertynizm dawnego dworu wersalskiego, ale zapomnienie się  
takie szlachcianki  
polskiej wydało się jej czemś niedopuszczalnym. Wszakże ona  
była absolutną panią  
swej woli, nie miała potrzeby liczyć się z nikim i z niczem,  
mogła bezkarnie  
zdeptać nogami przesady i konwenans, a jednak czuła, że jakiś  
odruch wewnętrzny,  
nieprzewyciężony, jakiś nakaz bezwzględny, pochodzący z  
najgłębszych pokładów  
jej duszy, powstrzymał

by ją od tego kroku, chociażby serce miało pęknąć z rozpacz,  
chociażby ciało

wiło się w najśroźszych mękach pożądania. Nie! wszakże  
Zbigniew brał kiedyś i  
jej pocałunki przedślubne i ona mu je oddawała w miłosnem  
uniesieniu, ale to już  
było ostatecznem kresem grzesznych ustępstw dla miłości, nie  
pobłogosławionej  
przed ołtarzem. Ale on dziś nie jest człowiekiem wolnym.  
Więc ta kuzynka ma  
zostać jego nałożnicą?  
I wyobraziła sobie Ewunię, jako wyuzdaną ulicznicę,  
sprzedającą swe wdzięki, za  
pieniądz, ulicznicę o twarzy bezczelnej, wyzywającej, nęcącej  
zmysły obietnicami  
przewrotnych uciech. I taka wydała się jej nie niebezpieczną,  
ale kiedy  
spojrzała na nią i widziała jej śliczną bladą twarz, osnutą mgłą  
szlachetnego  
smutku, jej czarne łzawe oczy, z głęboką tęsknotą patrzące w  
nieznaną  
przyszłość, załamała ręce w rozpacz i dusza jej rozjęczała się  
przepastnym  
żalem.

Gdyby to tylko pokojówka!

— Nie, nie przelotnych to uciech sprawczyni. Ona mi go  
odbierze nazawsze, ona  
go do siebie przykuje na śmieć i życie, przywiąże  
nierozzerwalnemi więzami swego  
wdzięku. Pocałunki te to podwaliny muru nieprzebytego,  
który się wzniesie

między nią a mężem, to przepaść straszna, niezgłębiona, która  
otwiera się pod  
nogami jej, czarna bezdenna otchłań, to koniec złudzeń  
roskosznych, koniec,  
dającego pozory szczęścia, omamienia — to ponura  
samotność życia bez celu i  
treści. Ach, przerwać je, te pocałunki, usunąć grożące  
niebezpieczeństwo. Może  
jeszcze czas, może nie zapóźno!  
Czy nie zapóźno?

Po raz pierwszy pani Ewa zachwiała się w swem olimpijskim  
spokoju, poraz  
pierwszy nieposkromiła, rodzących się w niej, obaw  
przerażenia, zazdrości.

Chwyła Ewcię za rękę i nerwowo zawołała.

— Wyjedziesz, wyjedziesz ztąd jak najprędzej — musisz.  
A potem, jakby się opamiętała nagle, snuła plany  
umieszczenia jej u ciotek  
Pońkowskich.

— Nauczyła byś się — mówiła już spokojniej — krawiectwa.  
Nie wiadomo nigdy co  
wypaść może w życiu, miałybyś zawsze możliwość zdobycia  
kawałka chleba.

Ewcia przyjęła propozycję z zachwytem i chciała wyjeżdżać  
natychmiast, ale pani

Ewa, już zupełnie panująca nad sobą, ciągnęła we właściwym

sobie wyniosłym tonie. Nie mogę odesłać cię tam bez  
porozumienia się z mężem.

Panny Pońkowskie są to kobiety niezamożne, od których nie  
podobna wymagać, ażeby

ponosiły dla ciebie jakiegokolwiek ciężary. Trzeba by im płacić za utrzymanie.

Procent, jaki masz od swego kapitału prawdopodobnie nie wystarczy, otóż różnicę całą chętnie bym wzięła na siebie.

— Ależ proszę pani, przerwała zażenowana tem Ewcia, ja będę pracowała.

— O proszę bardzo — mówiła dumna pani — nie rób sobie żadnych skrupułów.

Ponieważ jednak dotyczy to naszego majątku, nie chcę nic postanawiać bez męża, musimy więc sprawę tę wspólnie omówić. Do Pońkowskich napiszę natychmiast, ażeby ci miejsce przygotowały.

Po powrocie Zbigniewa Pani Ewa, wysłuchawszy sprawozdania ze stanu sprawy serwitutów, tonem bardzo naturalnym oznajmiła, że Ewcia wybiera się koniecznie do Warszawy.

— Wyobraź sobie zachciało jej się uczyć krawieczyzny. Ściśle biorąc, nie można się temu dziwić. Dziewczyna bez majątku... tu w okolicy na dobre zamążpójście liczyć nie może niechby pojechała. Zamieszkała by u Pońkowskich — kobiety

zadne, uczciwe, zapewnią jej macierzyńską opiekę. Chciałabym tylko, ażeby jej niczego nie brakowało, ażeby nie potrzebowała istotnie zapracować się dla



kawałka suchego chleba. Procent jej maleńki — na  
wygodniejsze trochę utrzymanie  
stanowczo nie wystarczy — czybyśmy więc niemogli przyjść  
jej z pomocą?

Zbigniew zbladł narazie, słysząc z ust żony o wyjeździe  
Ewuni, ale przyszedł  
jednocześnie do przekonania, że jednakże będzie to  
najwłaściwsze, jeżeli nie  
rozwiązanie sprawy, to przynajmniej postanowienie jej  
tymczasem na gruncie  
względnie najprzyzwoitszym. Przy tem troskliwość pani Ewy  
rozzewniła go, ale  
zarazem zmięszała do najwyższego stopnia.

— Jakto, więc znowu ona w dalszym ciągu swej rywalce ma  
wyświadczać przysługi,  
zwiększać do nieskończoności te długie wdzięczności, które tak  
fatalnie ciężą nad  
nimi i kępają swobodę działania. Oh! gdyby ta kobieta raz  
wreszcie wystąpiła  
nieprzyjaźnie, gdyby raz wreszcie można jej było powiedzieć  
otwarcie: między  
nami wszystko się skończyło — kocham inną.  
Najzwyczajniejsza delikatność nie  
pozwala powiedzieć jej tego w obecnej chwili, ale jekże  
znowu z drugiej stro-

ny przyjmować od niej jakieś datki, jakąś pomoc materialną.  
A przecież przyjść  
może chwila, kiedy dla ocalenia czci Ewuni będzie musiał  
nieodzownie, koniecznie

zrzucić z siebie jarzmo dawnych ślubów. Dla ocalenia czci?  
Wszak to już będzie  
za późno! Gdyby nawet wystąpił zaraz, gdyby zaraz rozpoczął  
kroki rozwodowe, toć  
przecie sprawa taka ciągnąć się będzie lata całe. I poczucie  
błędu, okropnego  
błędu, którego naprawić niepodobna, zaciężyło na nim  
nieznośnie. Wzburzona krew  
zaciągnęła mu oczy bielmem zapamiętania się. Postąpił jak  
lekkomyślny  
młodzieniec. W chwili gwałtownych uniesień zdawało mu się,  
że weźmie tę ukochaną  
swoją za rękę, przyprowadzi ją do dawnej swej żony i powie:  
żegnaj i nie miej do  
nas żalu — kochamy się i złączeni miłością pójdziemy w  
świat we dwoje. Nie miej  
do nas żalu, bo to nad siły nasze... Koił jak romansowy  
kochanek z balady, że  
przyjedzie na ognistym rumaku i porwie uwielbianą w  
zaświaty, w krainy wiecznych  
upojeń i czaru. On, mężczyzna dojrzały, pod wpływem  
namiętnego pulsowania krwi,  
wyobraził sobie jak rozmarzony baśniami chłopiec, że można  
oderwać się od życia  
i ziemi. Ale życie na tej ziemi układa się

w szeregi fatalnych zależności; splecione jest z tysiącem spraw  
i interesów  
codziennych, powszednich, podległe szorstkiej, twardej  
rzeczywistości,

skrepowane koniecznością współzycia ludzkiego, przykute do  
jego praw i nakazów,  
z pod których jedynie śmierć tylko daje bezwzględne  
wyzwolenie. O ileż  
służszniej patrzyła na to ta ukochana dziewczyna w  
bezbrzeżnej miłości  
poświęcająca wszystko...

— A po tem śmierć — po tem chciałabym umrzeć.  
Umrzeć? Ale on jeszcze umierać niechce. Pragnie żyć,  
kochać, pieścić, sycić się  
wdziękami przecednej swej kochanki. Nie chce zamknąć  
księgi rozkoszy życia, w  
której jeszcze tyle białych, pustych, niezapisanych kart  
pozostało. Nie! on żyć  
chce dla niej i przez nią. Tyle razy, wśród zawiei zdarzeń,  
śmierć zbliżka w  
twarz mu zaglądała, tyle razy dotykała go swym zimnym,  
grobowym palcem, że już  
nie mrużył oczu na jej widok, że nie wstrząsał już nim dreszcz  
przerażenia od  
jej lodowatego dotknięcia, ale teraz umierać niechce, teraz  
drży całą duszą na  
myśl o zgonie, bo teraz dopiero poznał jedyną, prawdziwą,  
niezaprzeczoną wartość  
życia. Kocha, kocha całą

siłą nerwów krwi i ducha. Nie, nie, jak najdłużej, jak  
najdłużej!... Zapomnieć,  
że wszystko na świecie skończy się nareszcie!  
Więc znowu kłamać, udawać, kryć się ze swoim szczęściem,  
ze swoją rozkoszą.

Gdyby wystąpił teraz otwarcie? Długi, skandaliczny proces,  
krzyki, oburzenia i  
obelgi! Ona, ukochana jego, stała by się ofiarą gwałtownych  
napaści ludzkich,  
przedmiotem ich pogardy, obrzydzenia, i on by jej obronić nie  
był w stanie.

Niech jedzie tam do Warszawy, niech cicha, święta tajemnica  
pokrywa to, co świat  
błędem nazywa. On przyjdzie po nią później, urządzi swe  
interesa, zbierze  
fundusze i pojedą razem na krańce świata, między ludzi  
obcych, nieznanymi,  
którzy nie rzucą im w oczy wzgardą za to, że idą razem  
rozkochani, serce przy  
sercu, ręka w rękę.

Tak, niech jedzie. Wszystko jedno czy żona jego zajmie się  
tymczasowo losem

Ewuni, czy nie. Niech się spełni czara obłudy, niech się spełni  
do dna wszelka

zbrodnia dla wielkiej szczerzej, bezmiernej miłości.

Na zapytanie żony odpowiedział po pewnym wahaniu.

— Moja droga jesteś panią swego majątku i ja nie mogę  
krępować cię w wydatkach,  
jakiabyś chciała ponieść dla swej kuzynki.

— Więc zgadzasz się?

Zbigniew rozłożył ręce jakimś nieokreślonym giestem. Nie  
umiał pokryć niesmaku,  
jaki mu się po duszy rozlewał.

— Pisałam już do Pońkowskich, żeby się przygotowały na jej  
przyjęcie. Chcesz,

tobyśmy ją razem odwieźli jutro na kolej.  
Skinął głową na znak zgody.  
Przez cały dzień szukał chwili, ażeby się sam na sam  
rozmówić z Ewunią, ale pani  
Ewa tak serdecznie zajęła się wyprawą dziewczyny, tak  
nieodstępowała jej na krok  
jeden, że Zbigniew zaledwie mógł uścisnąć jej rękę i szepnąć  
do ucha:  
— Ufaj mi — niedługo przyjadę zabrać cię nazawsze.  
Ewunia odpowiedziała mu tęsknym spojrzeniem, pełnym  
poddania się i rezygnacji.  
Na drugi dzień wczesnym rankiem poczwórna kareta wiozła  
ich troje na stację  
kolejową.  
A kiedy pociąg ruszył z miejsca, sapiąc i dmuchając i pędził  
coraz prędzej przed  
siebie, Zbigniew, stojąc zadumany na pustym peronie, gonił

tęsknym wzrokiem tego potwora, który, pokrywając się niby  
puszystym ogonem  
kłębami gęstego dymu, unosił wdał jego szczęście.  
Pani Ewa wzięła go pod rękę. Na ustach miała uśmiech  
tryumfu i prawie wesoło  
mówiła:  
— Wracajmy do domu — będzie nam trochę pusto w  
Nieborowicach bez Ewuni ale...  
przyzwyczaimy się.  
Wsiedli do karety, która natychmiast zaczęła dudnić  
hałaśliwie po kamieniach  
brukowanej przed stacją drogi. Dzień był czerwcowy, upalny i  
w karecie było

nieznośnie duszno. Zbigniew opuścił obydwie szyby,  
brzęczące straszliwie u  
okien. A kiedy karetą zeskoczyła wszystkimi czterema  
kołami z kamiennego bruku  
na miękki piasek bocznej drogi i zaczęła się toczyć równo i  
cicho pani Ewa  
uczula, że jej znowu dobrze razem z mężem, zarzuciła mu  
ręce na szyję i pytała  
pieściwie.

— Kochasz? kochasz jeszcze choć trochę.

— Zbigniew westchnął ciężko, i odpowiedział z przymysem:

— Kocham.

#### XIV

Pani Piątnicka po wyjeździe Ewuni była jaknajlepszej myśli.

Nie przerażał jej  
nawet ponury, nierówny humor męża.

— Nagłą rozłąką— tłumaczyła sobie — musiała wywołać  
reakcję, przetęskni i  
zapomni.

Znosiła więc z uśmiechem prawie fantastyczne kaprysy i  
wybuchy nerwowego  
rozdrażnienia, a nawet, czego nigdy nie bywało, pewną  
szorstkość w zachowaniu  
się. Zbigniew wprawdzie szczerze przeproszał żonę za takie  
zapomnienie się, ale  
bądź co bądź, nie zdobywał się już na czułość, jakiej dawał  
przed tem dowody.

Wogóle ulatniało się coraz bardziej serdeczne ciepło z ich ogniska domowego.

On ze swej strony, przewidując bliską konieczność zajęcia się losami Ewuni bezwzględnie, zaraz

po wyjeździe jej zaczął myśleć o uniezależnieniu się materjalnem od żony. Nie chciał bowiem za nic w świecie czerpać na ten cel funduszków z kasy nieborowickiej.

Łamał sobie głowę nad wynalezieniem źródła dochodów zupełnie osobistych, całkiem wyodrębnionych od interesów wspólnego ich majątku.

I właśnie myśl całą wyteęzał w kierunku pewnej sprawy, która, jak mu się wydawało, powinna stać się podwaliną owych przyszłych bogactw własnych.

Matka i siostra zmarły jeszcze przed przyjazdem jego do kraju. Pozostał po nich niewielki dworek z ogródkiem przy ulicy Marszałkowskiej, który kobiety te, po utracie wsi dziedzicznej prawie za bezcen nabyły dla siebie na mieszkanie. Domek

ten, po opłaceniu podatków, stróża i nieodzownego remontu, przynosił mu jakieś

kilkanaście rubli rocznego dochodu. Ale zapanował podówczas w Warszawie

gorączkowy ruch budowlany, place pod domy w dobrych punktach przepłacano, a

właśnie miasto parło się ku rogatom mokotowskim, ulica Marszałkowska stawała się coraz bardziej ruchliwą arterją, zabudowywała się też niezmiernie szybko i wspaniale. Zbigniew, czytając w gazę-

tach o bajecznych prawie cenach jakie płacono w tych okolicach za place obliczał, że i jego dom z ogrodem przyniesie mu spory kapitałik, wystarczający do rozpoczęcia interesów na własną rękę, że posiadłość ta, kupiona przed kilkunasty laty za paręset rubli, warta jest dziś kilkanaście tysięcy.

Z żoną nie mówił o tych sprawach, lecz w tajemnicy napisał do pana Pońkowskiego, czy by mu nie znalazł kupca na jego plac przy ulicy Marszałkowskiej. Stary jegomość zakrzętnął się koło interesu tak energicznie, że w niespełna dwa tygodnie napisał do Zbigniewa list, wzywający go do Warszawy, w celu ukończenia interesu.

Wyjazd Zbigniewa zaniepokoił trochę panią Ewę, ale pokazał on jej list

Pońkowskiego, napisany jak można najlakońiczniej.

— Mam kupca na twoje place, — pisał — wartoby skorzystać z sytuacji, przyjeżdżaj jaknajprędzej.

— A jak to dobrze, że się tak składa — zawołała pani Ewa — pojedziemy razem,



gdyż oddawna już się wybieram do Warszawy i tak jakoś schodziło z dnia na dzień.

I pojechali.

Pani Ewa wybrała się umyślnie, ażeby uniemożliwić mężowi widywanie się z Ewusią.

Ale w War-

szawie było to jeszcze trudniejsze niż na wsi. Zbigniew mając sprawy w różnych

stronach miasta, u adwokatów, rejentów, w wydziale

hypotecznym, biegał sam po

całych dniach, a Ewunia mimo czujnej opieki panien

Pońkowskich, umiała również

wyrwać się na kilka godzin niepostrzeżenie; widywali się

wciąż w czasie

kilkodniowego pobytu, prawie codziennie, nie zwracając na

siebie niczyjej uwagi.

Spotykali się w pewnej malej cukierce.

— Widzisz — wołał wesoło Zbigniew — pracuję nad naszym wyzwoleniem. Tak,

wyzwoleniem, bo skoro zdobędę środki, nic mię już nie

powstrzyma od zerwania

tamtých, obrzydłych więzów. Jeszcze trochę, jeszcze chwilę, a

przyjdę zabrać

złoto moje najdroższe nazawsze, na wieki. Niech mi

biedactwo moje ukochane ufa,

niech wierzy, niech się niczego nie lęka.

Ona patrzyła na niego miłośnie i, ukradkiem, żeby nie zwrócić uwagi obecnych,

przytulała mu się do ręki, jak łaszcząca się kotka, ale nie

nalegała o pośpiech,

owszem, jakby nie wierzyła, że to kiedykolwiek ziścić się może, mówiła smutno.

— Ja myśleć o tem niemam odwagi.

A po tem zarumieniona i z przerażeniem bardzo cicho szeptała:

— Wiesz, gdyby się miało zdarzyć przedtem... jaby umarła, jaby musiała umrzeć...

Wtedy Zbigniew brał ją gwałtownie za ręce, nie zważając na świadków, na

otoczenie, i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby tak nie mówiła. Dziecko

najdroższe, ty mi nie wierzysz, a ja dla ciebie żyły bym sobie wypruć kazał,

duzę bym sprzedał, zaprzepaścił; tu u twych nóg krew serdeczną wypuścił do

ostatniej kropelki. Czekał, chwilę jeszcze... jeszcze czas jakiś...

Cierpliwości.

— Czyż ja nie czekam cierpliwie — mówiła miękko i żałośnie. — Czyż nalegam?

I łzawemi oczami patrzyła na niego, pełna szczęścia i ukochania.

Nie odrazu jednak zdołano załatwić się ze sprzedażą nieruchomości. Okazało się,

że przestrzeń domu włącznie z ogrodem da się podzielić na dwa place, na których

stać mogą dwie olbrzymie kamienice. Jedną połowę ogrodu sprzedano natychmiast

bardzo korzystnie kupcowi, następczonemu przez pana Pońkowskiego, na drugą połowę z domem jakoś narazie nabywcy nie było. Wtedy Zbigniew doszedł do przekonania, że najlepiej uczyni,

jeżeli sam zburzy stary, zapadający się w ziemię dworek i na jego miejsce, za fundusze otrzymane ze sprzedaży placu, wzniesie dużą kamienicę. Będzie wtedy posiadaczem nieruchomości, od której dochody zapewnią jemu i Ewci, a ewentualnie i przyszłej rodzinie, całkowite i niezależne utrzymanie, a potem oczywiście jako dorobek jego, będzie to stanowiło jego własność rozporządzalną.

Jakoż zabrał się do przedsięwzięcia tego z nadzwyczajną energią i pośpiechem, i choć to już był koniec lipca, postanowił bądź co bądź przed zimą jeszcze mury pod dach wyciągnąć.

Budowa domu wymagała częstszych wizyt Zbigniewa w Warszawie, a nie zawsze mogła mu pani Ewa w wyprawach tych towarzyszyć, jeździł więc sam, korzystając w pełni z tej swobody, ażeby dawne stosunki nawiązać.

Ażeby nie stawać w hotelu, najął i umeblował małe mieszkanko kawalerskie przy ulicy Chmielnej, dokąd przybiegała uszczęśliwiona Ewunia i rzucała się

kochankowi w objęcia. Panny Pońkowskie, zwróciły już od  
jakiegoś czasu  
baczniejszą uwagę na częste znikanie Ewuni i konduita jej  
wogóle zaczęła się im  
bardzo niepodobać. Śledziły pilniej jej kroki i, raz  
przyłapawszy ją kiedy wra-

cała do domu po północy, zgorszone w najwyższym stopniu,  
wymówiły dom, o czym  
zawiadomiły panią Ewę listownie. Miała już panna Ewunia  
wracać z powrotem do  
Nieborowic, Zbigniew przejął zrećznie całą korespondencję  
starych panien,  
przyjechał do Warszawy, ażeby zabrać jakoby na wieś, lecz w  
rzeczy samej, ażeby  
ją wziąć do siebie do mieszkanek przy ulicy Chmielnej.  
Dla starych panien i dla reszty świata wynaleziono jakąś  
dame, z którą Ewunia  
jedzie za granicę dla towarzystwa.  
Kochankowie razem!.. I rozpoczęło się dla nich nowe, nowe  
życie. Ewunia z  
niewieścią starannością zajęła się przystrojeniem dwóch  
kawalerskich pokoi i  
było im tam dobrze, błogo i spokojnie.  
Mówiła więc tuląc się, jak dziecko, do ramienia Zbigniewa.  
— Dobrze nam tu, jak ptaszkom w gniazdku. A potem ze  
smutkiem:  
— Zadobrze, zadobrze stanowczo, ażeby to trwać mogło!  
Będzie tak jeszcze  
tydzień, może dwa, może dłużej, a potem wszystko się wyda...  
Skandal...

Upokorzenie... Okropność. Potem już chyba tylko śmierć.  
Zakrywała dłońmi oczy i wołała:

— Nie myślmy — całuj, całuj i nie myślmy! Zbigniewa pochłaniały teraz zupełnie interesy.

Budowa domu zaprojektowanego na wielką skalę, ze wszelkimi nowożytnymi ulepszeniami, do której przystąpił z niewielkim kapitałem, wymagała ciągłych ofiar pieniężnych. Poszedł już cały kapitał uzyskany ze sprzedaży połowy placu, utonęła cała pożyczka towarzystwa, zaczął więc czerpać fundusze z kasy nieborowickiej, na co pani Ewa niechętnym patrzyła okiem, gdyż jakkolwiek rozumiała, iż przez te miejskie nabytki zwiększa się ich wspólny majątek, ale brak gotówki utrudniał jej gospodarowanie na wsi. A o utrzymanie tego majątku ziemskiego w stanie kwitnącym bardziej jej chodziło niż o przyszłe dochody z domu w Warszawie.

— Boję się bardzo — mówiła, ażeby ta twoja pasja budowlana nie naraziła na szwank Nieborowic, bo to by była krzywda nie do darowania. Ale Zbigniew tłumaczył, że skoro dom zacznie się rentować, to dochodem z niego właśnie będzie można jeszcze bardziej podnieść stan gospodarki w Nieborowicach,

zaprowadzić znaczne melioracje, a nawet odzyskać utracone w złych chwilach  
ziemie. Zresztą działalność jego na wsi jest

wprost żadna, a on przecież musi coś robić, ażeby już przed własnym sumieniem  
mógł wyznać, że nie siedzi u żony na fartuchu.  
Nie mniej przecież sprawy te były przyczyną nieporozumień między małżonkami.  
Humor pani Ewy i niechęć do przedsięwzięć małżonka zwiększała jeszcze i ta okoliczność, że tak rzadko miała go przy sobie. Do majątku wpadał jak po ogień, zabierał co mógł z gotówki i wracał z powrotem.  
Zbliżała się zima. Mury przykryto dachem, wywieszono na szczycie wiechę kolorową i roboty przy domu przerwano na kilka miesięcy. Nie było słusznej racji pozostawać dłużej w Warszawie, musiał więc Zbigniew wracać do ogniska domowego.

## XV

Żegnając się z Ewunią uczul, że rozpałił właściwie aż dwa ogniska i ponosił dwu tych ognisk ciężary. Pozostawił Ewunię w swoim mieszkanku na Chmielnej. Dla

upozorowania egzystencji w Warszawie, panna Ewa stworzyła coś w rodzaju pracowni sukien damskich. Ściśle biorąc, przyjęto krawcową wykwalifikowaną, która wyłącznie szyła stroje dla Ewci z materiałów, ofiarowanych jej w przystępie wylewności uczuć przez Zbigniewa. Obstalunków nie miała, gdyż nie miała stosunków, a ogłaszać się publicznie w gazetach nie mogła i nie chciała z łatwo zrozumianych powodów. Było to więc poprostu udawanie dla najbliższych sąsiadów, którzy chętnie zagląдают przez dziurkę od klucza co robi młoda i ładna kobieta, mieszkająca sama w mieście.

Do tajemnicy przypuszczony był tylko jeden człowiek — pan Pońkowski, którego Zbigniew pozyskał najzupełniej dla siebie i swej sprawy i dzielnego w nim miał pomocnika w konspiracjach wobec całej rodziny. Zupełnie odosobniony, czując przytem na sobie argusowe spojrzenia ciotek, wujów, bliższych i dalszych krewnych pani Ewy, musiał Zbigniew wynaleźć między nimi człowieka, któryby mu nie tylko szkodzić nie chciał, ale pomógł w ciężkiej doli tego rozdwojonego życia. Nadto przypadek zrobił resztę. Wybrali się kiedyś z Ewcią na spacer do Łazienek i wpadli wprost na pana Pońkowskiego.

Zbigniew poznał go od razu i zrozumiał, że stary romantyk,  
rozmiłowany w  
dekoracji rycerkości i wysokich sentymentów, da się ująć  
szczerem, serdecznem  
wyznaniem i uwzględni pewne uchybienia od legalizmu, jakie  
człowiek zakochany  
popęlnia. Przytem oddawna przypadli sobie do gustu i często  
zachodzili do kupca  
na kieliszek śliwownicy i sardynkę. Oczywiście po tem  
zjawiała się na stole  
omszała butelczyna jedna i druga, coś poważniejszego z  
mięsa, kawałek sera, no i  
kawa z likierem. Pan Pońkowski rozrzewniony,

rozweselony, promieniejący radością, klepał Zbigniewa po  
ramieniu.

— Podobasz mi się, choć już jesteś z innej trochę generacji,  
masz jednak  
jeszcze w sobie coś z owych szlachciców-rycerzy: Jest wygląd  
sarmacki, jest  
fantazja, mina, wąs płowy na czerwonej gębie, rozmach w  
pięści i serce otwarte.

Ale po co ty się babrzesz tym budownictwem i z  
mieszczanami się mieszasz.

Rozumiem, kiedy pan stawia sobie pałac w stolicy... a ty,  
braciszku, dla  
spekulacji chałupę erygujesz. To mi się w tobie nie podoba.  
Szczerzę mówię.

Jesteś, jak ten słup graniczny między dwoma epokami. Trochę  
rycerz, jak dawniej



bez zmaży zarzutu, to znowu flibustier nowożytny — rycerz złotego cielca. Na co to, po co? Toć wam dwojgu tych Nieborowic już do końca życia wystarczy.

Zbigniew zbywał to ogólnikami i półuśmiechem. Teraz kiedy spotkali się tak oko w oko ze starym szlachcicem i należało wymódz na nim milczenie, po przywitaniu, w którem nie trudno było zauważyć zdziwienie z powodu spotkania Ewci w Warszawie i to pod rękę z mężem pani Ewy. Zbigniew nachylił się do ucha Pońkowskiego i prosił go o chwilę rozmowy poufnej.

Naznaczyli sobie schadzkę w jednej z restauracji mniej uczęszczanych. Kiedy Zbigniew, odprowadziwszy kochankę do domu, przyszedł na miejsce umówione, zastał już tamtego przy butelczynie wina.

— Przychodzę do pana — zaczął — jako do człowieka honoru.

Na Pońkowskiego słowo to wywierało wrażenie elektryzujące. Przybrał więc odpowiednią minę i odrzekł z powagą.

— Słucham.

— Chodzi tu o cześć kobiety. Jakiegokolwiek więc będą pańskie zapatrywania na sprawę, przedewszystkiem proszę o najzupełniejszą dyskrecję.

— Trafiłeś na dżentelmena — odparł stary. — Szlachcic jestem — masz moją rękę.

Podał mu z namaszczeniem rękę i krzepko uścisnął.

Wtedy Zbigniew zaczął z uniesieniem mówić o swej wielkiej miłości dla Ewuni. O

fatalnem, niezależnem od nich zbiegu okoliczności, który ich pchnął sobie w objęcia.

O walkach, jakie przechodził w imię obowiązku, o skrupułach co do postanowień rozwodowych.

— Rozumiem doskonale — mówił ze szczerą żalnością — jaką wielką krzywdę wyrządzą tej kobiecie... starej już i bez wszelkiej nadziei, kiedy zerwę te więzy...

Zmagalem się ze sobą, ale cóż... tamto silniejsze.

— Ha, serce nie sługa — niezna co to pany — wtrącił sentencyjonalnie Pońkowski. —

Hej, hej, do stu par djabłów, jakież to wściekle konsekwentne, jakie naturalne!

Sentencji takiej nie spodziewał się z ust człowieka starszego, któremu

prawdopodobnie dawno już wywietrzały z głów zapawy miłosne i, tem samem,

zniknęła pobłażliwość dla wszelkich szaleństw, w tym kierunku popełnianych, zdziwił się więc i rozczulił na prawdę.

— Więc mię pan nie potępia bezwzględnie? zapytał pośpiesznie.

Pońkowski wydał usta.

— Hm, bezwzględnie? Nie potępiam. Oczywiście jest to smutne, tragiczne, fatalne.

Tak, fatalne, konieczne — to się spełnić musiało. Ho, ho, to się mści. Straszne, nieubłagane prawa!... A wiesz ty dla czego ja to mówię. Bo dawno żyję, i patrzę, i widzę. Tyle ślubów widziałem. Jak oni się

żeńią: Młoda, piękna, nieświadoma idzie za starego trupa i przysięga przed ołtarzem wiare dozgonną, i może wierzy w szczerść tych przysięg, ale ja mówię wtedy:

— Nie zdzierzysz, albo, jeżeli cnota, obowiązek, wpojony przesąd, dziedziczny odruch wstydu — tchórzostwo wezmą górę — gotujesz sobie długi nieprzerwany łańcuch okropnych katuszy. Młody, przystojny bierze szpetną, albo starą dziewczkę, dla grosza, dla koligacji i przysięga przed ołtarzem wiare dozgonną, mówię: Łziesz jak niechrzczony. Nie zdzierzysz choćbyś łbem tłukł o mury, choćbyś ze skóry wyłaził. Za rok, za dwa weźmiesz kochanicę. Będiesz oszukiwał, kłamał, albo uciekniesz za dziesiątą rzekę. To konieczne, to nad siły twoje, bo siedzi tam w tobie coś innego, co drwi z twoich przysięg i obowiązków społecznych. Nie mówię, że tam każdy i tak polampartuje się gdzieś w mieście, że tam z pokojówką w poufałość wejdzie, ludzka rzecz, to jeszcze nie złamanie ślubów. Mężczyzna

zdradza — kiedy sercem zdradza, a serce ma swoje fanaberje,  
ale ma też prawa  
nienaruszalne. Trudno, przyjdzie chwila- upomni się o nie  
kategorycznie. Co tam  
dzisiejsi pozytywiści opowiadają o potrze-

bach fizycznych człowieka — zwierzęcia? Bajki wierutne. —  
Kochanie, miłość  
dobrodzieju, to jest wielka potęga metafizyczna, tajemnicza,  
święta, to  
niezbadana siła wzajemnego przyciągania się dusz, a nie  
popęd naturalny ciała,  
to wspaniałomyślny dar niebios, ofiarowany tylko  
człowiekowi. Nie, panie  
dobrodzieju, jelenie biorący się za rogi na rui to jeszcze nie są  
dwaj  
rozmiłowani kochankowie, ogłupiały na tokowisku głuszcak, to  
jeszcze nie  
romantyczny Romeo... wzdychający do tych swoich  
dziewięciu kurek, czekających na  
jego laski.  
Kto tak mówi, to panie, jest, jak ten ślepy, rozprawiający o  
kolorach. Nie,  
braciszku, człowiek nie tylko tem różni się od zwierzęcia, że  
się śmiać umie.  
Bezwątpienia fizjologicznie i biologicznie należymy do  
jednego tylko z gatunków  
zwierząt ssących, rzeczywiście gatunków najwyższych. Ale  
rodząc się, jesteśmy  
już starzy kulturą i duchową emancypacją. W organizacji swej  
potencjalnie

posiadamy pierwiastki wzniosłych przeznaczeń: myślenia i kochania. Od setek pokoleń zatraciliśmy bezpośredniość instynktu naturalnego i żyjemy w świecie złudzeń, przez nas samych wytworzonych — szukamy ideału. Może kobieta po-

znać mężczyznę, a nie zaznać wcale rozkoszy miłosnego uścisku, bo uścisk ten znalazłaby tylko u tego jednego jedyne, którego właśnie na drodze swej nie spotkała. Może mężczyzna poznać setki kobiet, a dopiero zjedną stopi w się bezwzględną precyzyjną harmonię zachwyty i uniesienia, z jedną tylko wyśpiewa zgodnie wzniosły hymn miłości.

— Dlatego — kończył z dziwnym ogniem w oczach — nie mogę ci mieć za złe, że zdradziłeś żonę, choć to przeciw prawom ludzkim, dlatego możesz liczyć na mnie, jeżeli bym ci w czym mógł być pomocny. Zbigniew słuchał ze zdziwieniem erotycznych teorii człowieka, którego najmniej o podobny tok myśli mógł posądzać. Zastanawiał się nad nimi, tłumacząc to pomieszaniem przesądów, głęboko w duszy i nawyknięciach starego szlachcica zakorzenionych, z jakimś libertynizmem rozwichrzonego romantyka. Tam przecież, w tych zachwalanych, dawnych obyczajach, w sprawach miłosnych

ciężła nad młodzieżą tyranja powagi rodzicielskiej.  
Dobierano stadła  
arbitralnie, nie pytając się młodych o wzajemne inklinacje i  
stadła takie żyły  
podobno szczęśliwie, a wypadki zdrady małżeńskiej do  
najpospolitszych zdarzeń  
nie należały.

Pońkowski jakby odgadł, co się dzieje w mózgu Zbigniewa,  
ciągnął:

— Dziwi cię moje gadanie? Zapewne, w moim wieku, przy  
moich zasadach...

Zapewne, zapewne...

I zamilkł nagle, a w oczach jego odmalowało się jakby tęskne,  
rzewne zapatrzenie

się w przeszłość, zakręciła się w nich nawet Iza błyszcząca,  
ale nim spadła z

powieki, stary wygniótł ją wielkim palcem nieznacznie,  
westchnął ciężko i mówił

w zadumie:

— Hej, hej! Ot gada się. Teorje, teorje! Bo ja wiem, może nie  
wszystkim dane

jest szczęście wielkiego kochania, jak nie wszystkim dane jest  
przejsć przez

całą gamę uczuć i wzruszeń ludzkich.

Kupiec, stojący całe życie swoje za ladą, nie zazna potężnych  
wstrząśnień

niebezpieczeństwa rozhukanych żywiołów, jak marynarz lub  
śmiały podróżnik...

Inna skala! Jeżeliś kochał raz mocno i był kochany  
prawdziwie, jeżeliś cierpiał

i płakał, bo miłowanie wielkie smutne jest i pełne męki,  
cierpienia, to już nie  
zahaczysz na wieki, nie zgubisz rzewnych wspomnień  
jedyne zapamiętania się na  
ziemi, jedynego szczęścia bez granic... błogosławionych, a tak  
okropnych katuszy

serca, choć ci starość krew do cna wyziębi, choć lata, troska,  
powszedniość kark  
przygniotą, wigor w kościach odbiorą, choć niemoc złoży cię  
w barłogu. Hej, kto  
był młody, kochał ogromnie, i był ogromnie kochany,  
wszystko odczuć, zrozumieć i  
przebaczyć potrafi.

— Mówisz mi: chodzi o cześć kobiety! Kocham honor nad  
życie, ale nad honor swój  
własny stawiam cześć kochanej kobiety. To też raz w życiu  
łgałem, łgałem  
bezczelnie i bez wahania, łgałem, kiedy chodziło o ocalenie  
ukochanej, kiedy  
należało ukryć to, co świat błędem nazywa, a co było tylko  
świętą daniną złożoną  
na ołtarzu miłości, najbardziej uprawnionym aktem dwojga  
serc przeznaczonych dla  
siebie. Słuchaj, Zbigniewie, w imię tych najdroższych duszy  
mej wspomnieli, na  
pamięć tej, która pomimo groźących niebezpieczeństw, czysta  
i nieskalana poszła  
za głosem serca i dała mi się wznieść do zenitów rozkoszy,  
otworzyła mi niebo

przecudnych swych wdzięków i miłości, przysięgam ci  
dochować wiecznej tajemnicy  
i pomódz o ile to będzie w siłach moich. Owszem chcę ci  
pomódz jaknajusilniej —  
będzie to ofiara złożona pamięci tej, która bez pomocy

takiej, okrutnem męczeństwem opłaciła chwile  
wspaniałomyślnego oddania się  
ukochanemu.

Stary zakrył twarz rękami i pozostał tak czas jakiś ze  
wzruszeniem. Zbigniew nie  
śmiał go badać dalej o szczegóły tej miłości, o której teraz po  
wielu  
prawdopodobnie bardzo latach, mówi z takim zapalem.  
Imponowała mu ta siła  
przejęcia się wspomnieniami i przeświadczenie o słuszności  
praw serca. On sam, o  
ile mu się zdaje, nie odczuwa tego z taką mocą. Zaczął  
analizować swój stosunek  
do Ewuni, badać ewolucję uczuć i przychodził po trochu do  
przekonania, że  
powstały one poprostu z pożądania zmysłowego, nad którym  
ostatecznie mógłby był  
zapanować, gdyby był chciał wyteńczyć bardziej wolę, albo,  
gdyby ona stawiała mu  
silniejszy opór. I poniekąd uczul na razie żal do niej za jej  
powolność, ale  
jednocześnie uświadomił sobie, że jej bezwzględne i  
bezinteresowne oddanie się,  
mogło być tylko wynikiem tej wielkiej, bezgranicznej miłości,  
która nie oblicza



i przed niczem się nie cofnie, tej miłości, która pozostawia po sobie owe niezatarte, szczęśliwe, błogosławione, mimo cierpień i bólów, wspomnienia, jak wspomnienia starego Pońkowskiego.

Wywołało to w nim jakby poczucie wstydu, że sam niezdolny jest do tak wzniosłych porywów. Ona, omdlewając z rozkoszy w jego objęciach, nie układała planów długiego pożycia, lecz oddawała się niepodzielnie chwili szczęścia — a potem mogła by umrzeć. A mówiła o śmierci tak szczerze, tak bez żadnej afektacji, iż nie mógł wątpić, że gdyby tego zażądał, zawieszona na jego szyi, spełni czarę piekielnej trucizny, uśmiechając się radośnie, i umrze patrząc nań zamdlonemi miłością oczami. A on, człowiek żonaty, który wymagał od niej skarbów największych, jakie dziewczyna kochanemu mężczyźnie dać może, on, który ją wziął czystą, niewinną i nieskalaną w całym majestacie piękna, wdzięku i młodości dla zadowolenia swych pragnień, nie zrobił dla niej dotąd nic, ani jednego poświęcenia... w egoizmie swym bał się narazić na najdrobniejszą przykrość. Z drugiej strony, wydaje mu się, iż zajmując się losami kochanki, czyni to raczej

z poczucia obowiązku względem skrzywdzonej dziewczyny,  
niż z bezpośredniości  
wielkiego umiłowania. Kocha przecież jej wspaniałą urodę,  
pożąda rozkoszy jej  
ciała, upaja się niewypowiedzianym wdziękiem jej młodości,  
olśniewa go białość  
atłasowej skóry,

pieści się przedziwnie harmonijnym kształtem małych rączek i  
drobnych nóg,  
tęskni do pocałunku ust koralowych... ale potem myśli, że  
stała mu się troską w  
życiu, że rozczepiła na dwoje jego istnienie, że zmąciła mu  
spokój bytowania, że  
stała mu się ciężarem, który utrudza nad miarę jego barki.  
Zdaje sobie sprawę z  
tego, że wtedy, kiedy w podnieceniu zmysłowym przysięgał  
jej miłość na wieki,  
nie myślał prawie o znaczeniu słów, że mówił je bezwiednie,  
odruchowo, że  
dyktowała mu je namiętnie rozigrana krew, nie silne  
przeświadczenie wewnętrzne,  
że mówił podobne słowa tak samo kiedyś obecnej swojej  
żonie, kiedy w lasku, na  
górcie pod Żwirówką, wyciągnięta na trawie, kusiła młode,  
spragnione jego zmysły  
powabem swoich kształtów. I wtedy wzburzona krew zalała  
mózg i wybuchnęła przez  
usta namiętnem wyznaniem. Ale tamta nie dała się unieść  
zapomnieniu, zanim

legalne śluby nie związały ich na całe życie. Ewunia musi paść ofiarą tych ślubów dożywotnich. Czy musi, czy niema wyjścia? Za tyle miłości, poświęcenia, zaufania! za takie bezgraniczne oddanie się!... I znowu ogromne rozrzewnienie ogarnęło serce Zbigniewa. Nie, wszelkie inne więzy rozerwane

być muszą. Pońkowski, jako człowiek doświadczony, wskaże mu drogi, jakimi do rozerwania tego iść powinien. Tak nakazuje honor i poczucie sprawiedliwości.

— Tak nakazywałyby miłość, jeśli jest istotna — odparł stary — tylko tem usprawiedliwisz opuszczenie tamtej.

— Tak — zawołał Zbigniew z prawie szczerym uniesieniem, kocham ją nad życie i wszystko gotów jestem poświęcić, ale położenie jest niezmiernie trudne. Rozwód to sprawa bardzo kosztowna, a przede wszystkim niezmiernie długa i niepewna.

Ewunia może wkrótce potrzebować uregulowania naszego stosunku, rozumiesz pan...

Przytem wydać się to może lada dzień, lada godzina. Rzuci się na nią opinia,

zaczną szarpać. Nie mogłem odrazu powziąć stanowczego postanowienia, gdyż

literalnie nie miałem grosza jednego własnych funduszków.

Teraz dopiero, kiedy

udało mi się owo przedsięwzięcie z domem...

— Aha — przerwał Pońkowski — rozumiem obecnie twój zapał budowlany — to był przemysł romantyczny.  
I uścisnął mu rękę.

— Teraz — ciągnął — Zbigniew, mógłbym rozpocząć kroki rozwodowe. Właściwie mówiąc, należałoby poczekać jeszcze do przyszłego lata, aż dom zacznie sam rentować i nie będę potrzebował sięgać do kasy nieborowickiej.  
Drażniło mnie to nadzwyczajnie, że i na budowę musiałem zaciągać pożyczki od żony. Zabezpieczone to jest wprawdzie na domu i żadną miarą nie przypadnie, ale, w każdym razie, nie mogłem zdradzić się ze swymi zamiarami w takiej sytuacji. Z drugiej strony przeraża mnie w najwyższym stopniu los niezapewniony Ewuni. Co robić, co robić? Co pan byś zrobił na moim miejscu?  
Pońkowski uśmiechnął się trochę iroicznie.  
— Phi. Co ja bym zrobił, o to mnie nie pytaj. Byłem zawsze skłonny do szaleństw, a na szaleństwa niema reguł obowiązujących, które by wskazać można było do naśladowania. Wybuchają one samorzutnie i są zupełnie indywidualne.  
Prawdopodobnie domu bym nie budował... ale ty, jak widzę, masz zamiar postąpić rozsądnie. Może to i lepiej. Może lepiej, że masz panowanie nad sobą, że możesz

długie lata udawać, a nie puścisz się z kobietą na niepewne losy bezdomnej włóczęgi. O lepiej to z pewnością, praktyczniej.

— A masz że ty jakie słuszne racje do rozwodu? — zapytał nagle. Zbigniew milczał.

— Zmienił byś religję?

Zamiast odpowiedzi, Zbigniew zapytał ze swej strony.

— Czy pan by zmienił ją w moich warunkach?

— Ja dziś mam lat sześćdziesiąt — odparł stary ironicznie — i nie Kocham się.

Zbigniew milczał.

Cieężko będzie z rozwodem — ciągnął Pońkowski — kościół nasz go nie uznaje.

Jedynie unieważnienie małżeństwa możliwe przy sprzyjających okolicznościach, ale to trwa lata, lata, lata. Do Rzymu trzeba jechać.

— Pojadę.

— I nic nie wskórasz.

— Co robić, co robić — wołał Zbigniew.

— Czekać!

— Na co czekać?

— Śmierci żony. Ludzie są śmiertelni, śmierć rozwiązuje wszelkie śluby.

Zbigniew chwycił się za głowę.

— Ależ przyjsć może chwila, kiedy stanie się rzecz okropna, kiedy dłużej

ukrywać nie będzie podobna... Więc niema dla mnie rady,  
niema nadziei.

— Owszem, nadzieja jest: śmierć żony. Co się tyczy rady to  
ją możesz tylko  
znaleść w sobie samym. Są wypadki, kiedy jedynym wyjściem  
jest palnięcie sobie w  
łeb, ale człowiek inny, spytany o rozsądną radę, nigdy takiego  
środka nie  
wskáže. Powiedziałem: czekać. Jest to droga najrozsądniejsza,  
jest także zarazem  
drogą najmniejszego oporu.  
Zbigniewowi rada ta wprawdzie najbardziej przypadła do  
usposobienia, nie chciał  
się jednak przyznać do tego przed samym sobą, a jeszcze  
bardziej bał się, ażeby  
nie odgadł w nim tego Pońkowski. Protestował więc  
energicznie przeciw takiej  
bezecnej roli oczekującego śmierci żony męża, zaklinał się, że  
przecież obmyśli  
coś dla Ewuni, ażeby ją uchronić od przykrości. W każdym  
razie, wyjeżdżając  
teraz na dłuższy czas na wieś, prosi Pońkowskiego o opiekę  
nad dziewczyną, a  
także o pieczę nad tajemnicą, ażeby nie dostała się do  
Nieborowic zanim czegoś  
stanowczego nie

uczyni, gdyż mogłaby przedwcześnie wyjawiona,  
pokrzyżować jego plany. Ewunia dla  
wszystkich tych ludzi bawi za granicą...  
Stary zakończył lakonicznie.

— Dałem ci słowo i rękę.

## XVI

Od miesiąca już blisko siedział Zbigniew w Nieborowicach. Stosunek do żony przybierał znowu pozory serdeczności. Fani Ewa uspokoiła się co do Ewci, gdyż uwierzyła w jej wyjazd w dalekie kraje. Zbigniew był wprawdzie ciągle niecierpliwy, zdenerwowany, kwaśny, a tłumaczył to kłopotami materialnymi i wyrzutami sumienia, że zawiele kapitału wyciągnął z majątku, na swoje przedsiębiorstwo, narażając żonę na pewne przywacje. Rzeczywiście, jak się okazało, w roku tym urodzaje niedopisały; pszenica sypała lichy, żyta były obrzednie i nie wiele co można było sprzedać; jedynie zaliczka na buraki uratowała trochę sytuację. Dom w Warszawie pochłonął już był całą zapasową gotówkę, poszły tam pieniądze za buraki

i pani Ewa musiała dobrze głową kręcić, aby koniec z końcem związać. Zbigniew, dowiedziawszy się o tem strapił się rzeczywiście, ale też strapieniem swem

tłomaczył swój zły humor, choć kryły się tam inne troski,  
odmiennej zgołą  
natury. Pani Ewa wszakże ze swej strony, starając się go  
uspokoić, okazywała się  
jak najbardziej ujmującą, słodką i wspaniałomyślną.  
Z przedziwną swobodą udawała, iż nie obchodzi jej zbytnio  
chwilowy ambaras w  
gospodarstwie, natomiast boleje niezmiernie nad tem, że taka  
drobna sprawa psuje  
humor Zbigniewowi. Musiał więc wzdychać po kątach, a  
wobec żony robić dobrą  
minę, ażeby nie zapłacić niewdzięcznością za tę jej łaskawość.  
Pozatem czas im się dłużył okropnie. Jesień zaczęła się  
obrzydliwa — zgniła,  
wilgotna, nudna. Zimny, drobny, przejmujący deszcz chlapał  
od rana do wieczora,  
to znowu spadł śnieg wielkimi kłapcami, jakiś rzadki,  
rozlazły i tajał  
natychmiast rozmiękczając grunta. Drogi stawały się  
niemożliwe, grząskie,  
rozkisłe, świeciły tu  
i owdzie szerokimi, jak sadzawki bajorami. Kola zapadały w  
nich po luśnie, wozy  
ryły się w błocie, że chłopci po kolana brodząc w gęstej mazi,

musieli je ramionami wypychać. Gości się spodziewać nie  
można było, ani się też  
gdzie wybrać z wizytą, ani ze strzelbą do lasu pociągnąć.  
Uparty kapuśniaczek  
zacinał w oczy, smagał po twarzy i siał na ziemię szeroką, na  
lasy smętne, na



poła i łąki dziwną, bezbrzeżną melancholję.  
Zagnieździła się też melancholja w sercach nieborowickich  
mieszkańców i byli  
wszyscy jak zwarzeni.  
Dopiero w pierwszych dniach grudnia rozjaśniło się nareszcie,  
sionko wstało rano  
i szło przez błękity wesóło, choć blade i zimne. Ostry mroziak  
ściął kałuże po  
dołach, ustrzepił drogi twardą grudą, która niby sople  
stalaktytów, sterczała w  
rozmieszanej przed tem kołami glinie. W nocy spadł śnieg  
obfity i pokrył całą  
ziemię przezystą, nieskalaną ponową. Ranek nastał znowu  
słoneczny; roziskrzony  
mirjardami brylantów, świecących migotliwie w śniegu.  
Zbigniew wybierał się właśnie z psem na zające. W długich  
butach i w krótkiej  
lisiurce chodził wielkimi krokami po kancelarji jakiś  
weselszy dnia tego i  
bardziej ożywiony. Podżartowywał nawet trochę z leśnego  
swego, Mączyńskiego,  
który przy długim, okrytym zielonym suknem, stole,

przygotował właśnie ładunki do nowej lefoszówki pana  
dziedzica i z tęskną  
żałością mówił o dawnej, dobrej broni, którą to się nabija z  
przodu, od pyska,  
po ludzku, nie zaś przez jakieś tam oddylcowe wtykanie.  
— Dobrze to są te wymysły do stucerów, karabinów, kiedy to  
panie, żołnierz

strzela na komendę, ale dla myśliwego, to ja, jaśnie dziedzicu,  
wolę swoją starą  
kapiszonówkę. Bo to panie jak se sam człowiek dobrze  
stęplem naboju nie wymaca  
to i strzału niepewny.

— To widzę Mączyński jest straszny konserwatysta.

— Co mam być — zaprotestował stary, — człowiek uznaje  
postęp, ale w myślistwie

to całkiem co innego. Jak to dzisiaj panowie polują. Jak to  
kiedyśmy u hrabiego

Jaksy, na polowaniu — wprawdzie byli to sami hrabiowie i  
księżęta. Założyliśmy

obławę, idzie ze czterysta ludzi... Hrabiowie stoją sobie na  
stanowiskach, a za

każdym strzelec w szarej kurcie z zielonymi wyłogami. Co  
który hrabia wypali,

daje takiemu drabowi flintę do nabicia. Człowiek, jaśnie  
dziedzicu, żeby był

dziesięć razy hrabią, ba królem samym, toby jeszcze, panie,  
takiemu chamowi

własnej broni

do rąk nie dal, jak Boga kocham. A co to hańbi kogo, strzelbę  
nabić?

Mączyński w państwie nieborowickiem sprawował godność  
wielkiego łowczego.

Znaczniejszych zjazdów w prawdzie tu nie bywało prawie  
nigdy, ale że sama pani

Ewa lubiła bardzo łowy i strzelała doskonale, urządzano od  
czasu do czasu

pukaninę w kilka strzelb, z imponującym zazwyczaj,  
rezultatem.

Mączyński przypisywał sobie całą zasługę bogatych trofeów i  
rzeczywiście by! on

myśliwym pierwszorzędnym. Jakkolwiek służył tu  
odniedawna, instykiem starego

łowca, który tropił kiedyś w rozległych tajgach olbrzymy —  
niedźwiedzie, poznał

on szybko lasy nieborowickie na wylot, umiał więc zaciągnąć  
doskonale obławę i

odpowiednio rozstawić myśliwych na stanowiskach. Sam był  
strzelcem

nadzwyczajnym. Gdyby miał trochę tego germańskiego sprytu  
i arogancji, mógłby

był jak dzisiaj boerzy, po bohaterskiej wojnie za  
niepodległość, zbierać duży

grosz w budach cyrkowych Europy za popisy strzeleckie. O  
celności jego strzałów,

o pewności ręki tudzież oka opowiadano cuda w całej okolicy,  
sam chwalił się, że

od urodzenia jednego naboju prochu nie zmar-

nował na... pudło. Ano, był to talent z bożej laski, talentu tego  
jednak nie

rozwinął szeroko przed światem, lecz, jak obecnie, poświęcił  
go całkowicie na

potrzeby domowe nieborowickiego dworu. Dostarczał  
zwierzyny na stół pański wiele

tego okazała się potrzeba i nic więcej, bo zresztą skąpy był na  
proch okrutnie i

dla marnej przechwałki naboju zepsuć nie lubił.

— Kiedy się tam młodym było i głupim — mawiał — to  
człowiek świrkał ludziom w  
oczy, że ta kulę na kulę wsadzi choćby i o sto kroków, ale  
dziś...

I machnął ręką.

Był to człowiek wzrostu niewielkiego, krępy, przysadzisty, na  
tęgich, pałakowato

wygiętych, nogach. Z powodu nóg swoich utrzymywał, iż  
urodził się na

kawalerzystę. Jakoż rzeczywiście na koniu siedział jak  
przymurowany, i skoro raz

objął, niby kleszczami, temi krzywemi nogami boki końskie,  
już go najszaleńszy

rumak nie był w stanie ze siebie zsadzić.

Głowę Mączyński miał niezmiernie charakterystyczną i  
wyrazistą. Gęsta, jeżąca

się, już dobrze przypruszona siwizną, czupryna pokrywała  
czaszkę małą i

kształtną. Miał duże płowe wąsy

w kształcie mioteł i olbrzymie krzaczaste brwi nad siwemi,  
okrągłemi, jak u

sowy, oczami, kiedy z flinty zmierzył, zsuwała mu się brew  
nad oko i tworzyła

rodzaj daszka, rodzaj kamery ochraniającej soczewkę od  
zbytniego wtargnięcia tam

promieni słonecznych, nadto nadawała ona twarzy jego wyraz  
dziwnie marsowy i

groźny, choć, w gruncie rzeczy, łagodny był jak baranek.

Pochodził on z drobnej szlachty zagrodowej, z jednego z  
licznych zaścianków

gęsto rozsianych w guberni łomżyńskiej. Wszyscy stryjeczni  
jego siedzieli na  
rodzinnym zagonie, ale już ojciec Aleksandra, Aleksander  
bowiem było naszemu  
Mączyńskiemu na imię, już, powiadam ojciec jego, poszedł na  
służbę do panów —  
został strzelcem gdzieś w wielkich lasach nadnarwiańskich.  
Aleksander tedy od  
dzieciństwa wysługiwał się po dworach i urabiał na sługę.  
Jako chłopiec bardzo  
rozgarnięty, wzięty był z początku do kredensu, ale żyłka  
myśliwska, która się  
bardzo wczesnie w nim rozwinęła, popsuła mu karierę w tym  
kierunku. Nie miejmy  
mu za złe, ale niemniej przecież szczerze wyznać trzeba, iż  
poprostu kradzionym  
sposobem przyszedł kiedyś do posiadania starej, zardzewiałej  
jednorurki, którą  
starannie na strychu w lamusie

ukrywał, a w nocy wymykał się z nią na łowy. I bywało  
tęgiego kozła, ubitego w  
pańskich lasach, oddawał zawodowym kłusownikom za  
miarę prochu i kilkanaście  
loftek. Aż wreszcie wszystko się wydało. Postawiony w stanie  
oskarżenia przed  
dziedzicem, biedny chłopiec kredensowy przyznał się i do  
kradzieży flinty z  
pańskich zbrojowni i do trzebienia pańskiej zwierzyny po  
nocach, za co sądem

doraźnym skazany został na sto plag i natychmiastowe  
wydalenie z dominium. Po  
odebraniu kary, szedł se tak Oleś, popłakując, przed siebie, nie  
wiedząc co ze  
sobą zrobić, aż zaszedł do Łap kościelnych, rodowego swego  
zaścianka, gdzie się  
od Mączyńskich aż roilo. A raubszyce wszystko to byli, że  
niech ręka boska  
broni, że niewiadomo jak ich tam inni ludzie między sobą  
cierpieli. Wszystkim  
wiadomo było, że niech ino noc na ziemię zapadnie, to  
Alączyńscy jeden za drugim  
z chałup chyłkiem między opłotkami pomykają, miedzami na  
brzuchach pełzną, aby  
tylko do lasu dopaść. A w lesie to już oni panowie. Przyłapać  
takiego nie  
przyłapiesz, chyba by trzeba obławę kociołkiem założyć i  
zapędzić wszystkich do  
matni. Ale i tak jeszcze co lepszy gracz, to się i przez naganek  
prześliznie, bo  
jużci co

człowiek to nie ten głupi jeleń, co jak mu z prawej hukniesz,  
to już w lewo wali  
na oślep, choćby w największy ogień.  
Stryjeczni przyjęli Olesia zrazu chłodno i niezbyt życzliwie,  
ale kiedy poznali  
jaki w nim strzelec siedzi, przyholubili, przytulili ochotnie do  
serca, bo  
widzieli, że darmo ich z chleba odjadać nie będzie. Siedział  
tak Oleś u krewnych

to w jednej, to w drugiej chałupie, a nocami bijął koty, kozły i lisy, aż sława jego strzelecka zaczęła iść szeroko po okolicy. Ale zwiedził się raz o nim pan Ligęza, dziedzic sąsiedniej Woli Kłopotowskiej, majątku dużego i prześlicznych, obszernych, starych lasów, w które najczęściej Mączyńscy z Łap zapuszczali swoje kłusownicze zagony. Był to pan ludzki, serdeczny, ale że sam zawołany myśliwy, bolało go to bardzo, że mu łapińscy ludzie zwierzynę w lasach tłuką. Kiedy się dowiedział o Olesiu, że taki wielki strzelec powiada: — Już ja do niego i żalu nie mam, kiedy taki majster, ale niech że ja tego chmyza na oczy zobaczę. Przejeżdżał raz przez Łapy, to każe wołać Olesia. — Słyszę — powiada — że mi wszystką zwierzynę w kłopotowskich lasach wybijasz, szelmo jedna.

Oleś, jakał się tylko.

— Ja, nie... jak Boga kocham.

— No, co będziesz łągał — mówi dalej pan Ligęza — strzelasz podobno jak anioł —

Pokaż no, co umiesz.

— Kiej ja sztrzelbiny nijakiej nie mam.

— Ha, ha, śmiał się dziedzic wolski, nie masz strzelby na pokaz w biały dzień, co? Siedzi tam w jakiejś dziupli he... No nic, to ja ci dam strzelbę swoją.

I wyciągnął z bryczki śliczności dubeltówkę, — nowiutką,  
dziwerowaną, że aż się  
Olesiowi oczy zaświeciły.

— Na — mówi — w lewej lufie jest kula. — Zbijesz  
dziesiątkę w powietrzu?

— Zbiję, proszę łaski wielmożnego pana. Pan Ligeza wstał w  
bryce i śmignął z  
całej siły pieniądź w górę. Oleś zamierzył się, palnął i  
pieniądz zaniósł  
gdzieś, że ani słychu ani widu.

— Dobry — powiada pan — a z dwóch zbijesz?

— Zbiję, proszę łaski wielmożnego pana. Nabiał obie lufy  
kulami. Pan Ligeza  
rzucił w górę  
dwie monety odrazu. Oleś łupnął z jednej, łupnął z drugiej i  
żadna z monet nie  
spadła pod nogi.

— O, dobry, psia jucha! — woła ucieszony dziedzic. To ty mi,  
huncwocie, niedługo  
jednego kota, jednego ptaszka na lekarstwo w lesie nie  
zostawisz.

— Gdzie zaś — proszę łaski wielmożnego pana, gdzie by to  
człowiek zradził,  
bronił się Oleś.

Nie zradzisz — szelmo jeden — mówił już surowo pan Ligeza  
— bo cię kiedy mój  
gajowy postrzeli, albo ty jego i pójdiesz do kryminału na całe  
życie. Po co ci



to, zawsze to złodziejstwo, grzech. Ot, przystałbyś lepiej do  
mnie za gajowego;

podobasz mi się, boś zuch!

Oleś aż przypadł do ręki dziedzica.

— A dyć od czasów jeno patrzę za służbą, jeno czekający za  
obowiązkiem u

krewnych siedzę po próżnicy.

— Ba mówił, śmiejąc się dziedzic - ale jeżeli ty będziesz lasu  
pilnował, to któż

tych twoich Mączyńskich z lasu wypędzi. Ty przecież do  
bratów strzelać nie

będziesz.

— Strzelić nie strzełę, ale ja im zapowiem, żeby nie  
przychodzili — to żaden i

nie przyjdzie.

Jakoż stało się, że Aleksander Mączyński został gajowym w  
Wólce Kłopotowskiej, a

starzy, zatwardziali kłusownicy łapińscy, istotnie unikali

uczastku, który stróżował ich powinowaty. Niedługo zyskał  
zaufanie i miłość

ogólną w całej Wólce. Przywiązali się zwłaszcza do niego  
synowie dziedzica,

chłopaki podrastające, którzy palili się do strzelby, a którym  
Aleksander,

starszy o lat kilka, układał oko i rękę, wtajemnicza w arkana  
myśliwskie, i

opiekował się, jak guwerner w tej specjalnej gałęzi  
wychowania. Z czasem

przerodziło się to na stosunek, który, gdyby nie hierarchiczna  
zależność sługi

od paniczów, nazwać by można przyjaźnią. Istotnie mimo  
pozornego zachowania  
pewnej uniżoności sługi do panów, mimo iż Aleksander nie  
uchybił nigdy w tytule  
mówiąc do „jaśnie paniczów” wyrodziła się między nimi  
pewna bardzo  
charakterystyczna poufałość, właściwa dawnym  
patryarchalnym stosunkom ze służbą,  
stosunkom, które wytworzył ów, zanikający ostatecznie typ  
„starego sługi”.  
Oparte to było na wzajemnej życzliwości i przywiązaniu. To  
też Aleksander  
potrafił ostro wydrwić jaśnie panicza za każde pudło, za każdy  
fałszywy krok w  
lesie bez narażenia się na oburzenie, a panicze znów mogli  
„nadurniać”  
Aleksandrowi, nie wzbudzając w sercu jego złości i  
nienawiści.

I polowali tak we trójkę, palili z rusznic od rana do wieczora,  
aż się rozlegało  
wśród majestatycznego starodrzewiu lasów Kłopotowskich.  
A kiedy panicze siedli na koń, ażeby pociągnąć za innymi,  
dosiadł fornalskiego  
mierzyna i Aleksander, a stary pan Ligeza, stojąc w ganku i  
siurpiąc po  
bohatersku nosem, żeby to się nie zdradziło ze wzruszeniem,  
wolał jeszcze za  
odjeżdżającymi.  
— A słuchaj no Mączyński — starszy jesteś i twardszy —  
miej tam oko na

chłopaków.

Miał też Mączyński na nich oko, jak najtroskliwsza piastunka  
i nie raz w ciężkim  
trudzie wyręczył.

Wyręczył ich w czuwaniu, kiedy się delikatne pańskie powieki  
już na gwałt do snu

kleiły, kiedy zmęczone członki domagały się wypoczynku.

Nie raz też w długich

marszach, widząc, że kipią i kiwają się ze znużenia na

kulbakach, przywiązywał

obydwóch za ramiona do siebie, ażeby którego po drodze nie  
uronić.

Ale nieubłagane przeznaczenie rozdzieliło ich wreszcie.

Młodszy panicz zginął,

starszy wyjechał za granicę, a on sam już w pojedynkę

polował na grubego zwierza

daleko.

Po powrocie do kraju zawlókł się Mączyński do Wólki  
kłopotowskiej, ale nie

zastał już tam pana Ligezy. Na majątku siedział pan Traube,  
zbogacony adwokat z

Warszawy.

Kiedy wszedł serce ścisnęło mu się z żalości i myślał już, że  
zgoła w inny kraj

zawędrował. Dawnego lasu ani śladu. Olbrzymie

wysokopienne sosny, wiekowe dęby

rosochate, smukłe, ciemne świerki i jodły omszone, jak

staruszki sędziwe,

pozniakały z powierzchni ziemi. Na nowinach, jak okiem

sięgnął słała się w

szerokich łąkach pszenica, to żyto, to żółciły się bujne rzepaki.  
Od wzgórz  
piaszczystych, na których rosła kiedyś drobna sosninka i  
jałowiec karłowaty, bil  
teraz silny zapach kwiecistego łubinu. Szedł dalej a serce  
bolało go coraz  
bardziej. Dawny szumiący bór, wyśpiewujący tajemniczo i  
poważnie, nabrzmiałemi  
od starości konarami, legendy wieków, wyglądał teraz jak  
cmentarz ponury, jak  
straszliwe pobożowisko. Bielili się tam, jak kamienie  
grobowe, olbrzymie pieńki  
po starodrzewiu. Przebogate niegdyś podścielisko zielonych  
mchów i  
fantastycznych paproci, zamieniło się na śmietnik  
strzępiastych wiórów, które,  
niby kości rozsiane poległych, trupio świeciły na słońcu, a  
wśród nich

sterczały równe sześciiany bierwion, poukładanych w sęgi. To  
znowu leżał  
tragicznie rozciągnięty na ziemi trup olbrzymia, okaleczony  
siekiarą, z  
odrabaniami członkami, prosty i sztywny.  
Szedł dalej.  
Na wdzięcznej ongi wśród gęszczów polanie, nad strumykiem,  
stała wielka szopa  
drewniana, a niosło od niej zgrzyt i świst pil tartaku. Szedł  
dalej. Ludzie  
darli z ziemi pniaki smolne, wypruwali splątane, jak w  
konwulsyjnych skrętach,

korzenie z łona matki karmicielki. W dali kopcił piec  
potworny, ścieląc po  
łanach kłęby gryzącego dymu.  
Przed dworem opadły go psy — obrzydliwe kundysy bez  
wyraźnej rasy, którym się  
ledwo mógł opędzić.  
Z ganku, obrośniętego gęsto dzikiem winem, doleciał cienki  
ochrypły głos:  
— Kogóż tam pieski tak witają?  
Z pośród zielonych festonów splątanych liści, ukazała się łysa  
głowa.  
— Musi żebrak.  
— A psia krew, niema końca temu tałałajstwu zaklął ten sam  
głos ochrypły. I na  
schodkach ukazała się figurka człowieka małego, suchego,

o twarzy zmiętej i matowej, jakby pargaminowej. Nie nosił  
wąsów, tylko krótkie,  
już dobrze oszroniałe, faworyty szarzyły mu się na policzkach.  
Był to sam  
dziedzic, dawny adwokat pan Traube. Zobaczywszy  
Mączyńskiego, nie spytawszy się  
co zacz i czego chce, zaczął gderliwie krzyczeć.  
— Co taki miody szelma i już po żebrach chodzi. Nie wstyd  
ci to, nie mógł byś  
się wziąć do pracy. A skaranie boskie z tą hołotą. Do roboty to  
się doprosić nie  
można, a taki młody  
i zdrów, jak koń...  
— Ja nie po prośbie idę — zdążył wtrącić Mączyński.  
— To czego chcesz — spytał.

Dopiero podróżny mógł opowiadać kim jest i skąd przychodzi.

— No, no, znam ja was, przerwał pan Traube, znam ja was włączyć, tem mnie nie rozrzewnisz kochanku.

Mączyński poczerwieniał na te słowa, ale się pohamował, bo się już był

przyzwyczaił do podobnego traktowania, mówił więc dalej grzecznie i spokojnie,

że przyszedł do Wólki, bo tu dawniej przy lasach służywał, a myślał, że zastanie

jeszcze pana Ligęzę.

— Ha, ha, ha, śmiał się nowy dziedzic, ani lasu, ani pana Ligęzy. Widzisz,

dobrodzieju, fortuna kołem się toczy. Chodziłem ja po bruku miejskim, chodzi

teraz pan Ligęza, tylko, że on już tam zdaje się niewiele wychodzi. Ho, boście

też gospodarowali, niech was drzwi ścisną. Wziąłem majątek z procesu, wyciąłem

las i majątek mam prawie darmo. Skarby takie stały

bezcennie. Rosło to, a potem

gniło i butwiało na miejscu, a to złoto, szczerze złoto... Co większe sztuki

masztowe spuściłem wodą w świat szeroki, mniejsze trę na deski, na miejscu, mam

smole, węgiel, potaż... No, polowanie się popsuło ha, ha, ha

— śmiał się — ale

ja nie poluję, nie poluję, panie kochany, nie mam czasu i ochoty na podobne

zabawy.

Nagle, jakby mu się coś przypomniało, zwrócił się do stojącego obok łysego

jegomościa, który nazwał Mączyńskiego żebrakiem.

— Jak Krępski myśli, możeby tego wziąć do pilnowania karczowników.

— Ano przydałoby się — odpowiedział zagadnięty.

— Został byś wasan u mnie w obowiązku? — spytał stojącego pokornie wędrowca.

Mączyński był głodny, obdarty i okropnie zdrożony, i choć mu się ten pan,

trajkoczący cienkim, ochrypłym głosem, jak przekupka,

bardzo niepodobał —

schylił głowę i odrzekł.

— Szukam pracy.

— Ano dobrze, niechże się Krępski z nim zgodzi i wyznaczy robotę.

Został Mączyński w Wólce kłopotowskiej, ale czuł, że tu

długo miejsca nie

zagrzeje.

— Nie jest to pan prawdziwy, nie — powtarzał sobie — ani prezencji, ani

godności. Ot, dzirus jakiś, z pod zdechłej sobaki,

wydrwigrosz, najmipysk

miastowy.

Od starych ludzi wioskowych dowiedział się o losach

dawnego dziedzica, co

jeszcze bardziej rozjątrzyło niechęć jego do nowego pana.

— Wdał się pan nasz — opowiadali chłopci — w jakiś tam proces z familją i aniśmy

wiedzieli co i jak, wyleciał z tej oto rodzonej ziemi. Przyszło  
ono adwokacisko  
z miasta, wziął ci klucz taki pański prawie za darmo, ano  
jakiemiś tam psimi  
wykrętami i zaczął się rządzić, jak szara gęś po niebie. Lasy  
ciął, jakby je  
sam, jucha zasiał, jakoby lasy takie nie z Bożego rosły  
dopuszczenia. Agronoma  
se sprowadził niemca, niemca

do gorzelni wpakował, na tartaku majster jest niemiec, a ze  
swojaków, to że ta  
który z siekierą albo li motyką do prostej roboty stanie.  
— Nie będę ja tu popasał — mówił Mączyński — znajdę ja  
jeszcze w tym kraju panów  
prawdziwych. Tęskniło mu się zaś głównie do starego pana  
Ligęzy.

To też skoro się przyodział trochę, kupił szarą kurtę  
myśliwską i tęgie buty  
juchtowe, nacisnął czapkę na łeb, wziął kij sękaty i  
powędrował ku Warszawie w  
nadziei, iż odnajdzie tam dawnego pana.  
Nie łatwo to było w takim wielkiem mieście, ale w końcu  
dopytał się jakoś  
szczęśliwie. Mieszkał dawny dziedzic z żoną i córką starą  
panną, na trzecim  
piętrze w ogromnej kamienicy między mnóstwem innego  
ludu. Nikt mu się tu już w  
pas nie kłaniał, nikt uwagi na niego nie zwracał. Żyło se  
panisko cicho,



spokojnie, jakby jeno już tylko wyczekując ostatecznego kresu.

Mączyńskiego przyjął serdecznie ze łzą w oku, ucałował w głowę, jak syna, i długo, długo gawędził o dawnych czasach, ale niewiele już mógł dlań zrobić, dał mu tylko list polecający do jednego z kuzynów, który siedział jeszcze na spo-

rym kawale ziemi w Piotrkowskim, aż pod samą granicą austryjacką.

Dał mu też pan Ligeza kilka rubli na kolej, ale Mączyński, nawykły do długich pieszych wędrówek, przytem ciekawy, jak ludzie u nas mieszkają, gospodarują, nie wydał pieniędzy na bilet kolejowy, lecz puścił się w drogę piechotą i baczył na wszystko, co spotkał, pilnie i nie jednego się nauczył. A zmienił on się ogromnie w czasie tych kilku lat dalekich podróży. Poznał ludzi różnych, spotykał się z panami, uczonymi, którzy go już nie uważali za sługę, ale jak swego równego, jak kolegę. Nauczył się od nich czytać i pisać, nauczył mówić i o polityce, o tem, jak się ludzie rządzą, jak żyją dziś i jak dawniej żyli. Bywało w czasie tych długich, jak wieczność nocy północnych, zbiorą się w jurcie panowie i gadają z nim o wszystkim, jak brat z bratem całemi godzinami.

Wiedział jednak Mączyński, że służyć musi, a służąc, to już zupełnie co innego.

Nie żał prawdziwemu panu i usłużyć. Ale gdzie tu teraz znaleźć prawdziwego pana.

Szedł tak, wstępując do dworów, rozgadując się z ludźmi.  
Gdzie niegdzie to go i zatrzymy-

wali na dłużej, na dzień i na dwa dni, a gościli, a fetowali a rozpytywali:

— A czy nie znalazł takiego, a czy nie spotka! owego?

Spotykał on wielu, poznał wielu, to też nieraz gadaniu nie było końca.

Gdzieindziej znowu to go i przyjąć wcale nie chcieli, zamykali mu drzwi przed nosem, a nieraz i psami poszczuli.

On się nie dziwił, nie oburzał, machnął tylko ręką i mówił:

— Różni są ludzie.

Po drodze trafił wypadkiem do Nieborowic. Nie leżały one przy trakcie, ale

piękne, nietrzebione lasy, które widniały zdaleka, pociągnęły myśliwca ku sobie,

skreślił więc na boczną, piaszczystą drogę, przebył wysoki, szumiący bór od

Żwirówki i ukazały mu się w dole bogate zabudowania nieborowieckiego dominium.

Stał i patrzył długo, i zdawało mu się, że tam właśnie znalazłby prawdziwych panów.

— Czyj to dwór spytał przechodzącego chłopca.

— Dziedzica — odparł chłop.

— Jak się nazywa?  
— Ady pan Piątnicki.

Maczyński aż zadrżał, kazał sobie jeszcze raz powtórzyć nazwisko, Jezus Marja, toć on z Piątnickiem spotkał się. Czyż by to był ten sam człowiek. Z rozmów z nim dowiedział się już wtedy że był on obywatelem, właścicielem dużego majątku. Boże kochany! tylu jednak ludzi miewa podobne nazwiska. Puścił się wszakże pędem do dworu.

Państwa nie było, wyjechali konno na spacer. Postanowił zaczekać. Tymczasem starał się dowiedzieć czegoś od służby, ale patrzono nań niedowierzająco i zgoła rozmawiać nie chciano. Ale właśnie nadjechali oboje na wspaniałych, jednej maści i wzrostu gniadoszach. Maczyński poznał Zbigniewa odrazu i skoro ten z siodła zeskoczył runął mu do nóg, jak długi.

— Poznaje mnie pan, poznaje mnie pan? Zbigniew poznał go również i podnosząc z ziemi brał w objęcia i witał:

— Ty żeś to mój poczciwy Maczyński, ty żeś to serdeczny chłopie?

I długo trwały potem gawędy i wspomnienia i popłakiwania, aż pan Zbigniew zawołał:

— No! to już się chyba nie rostaniemy, mój stary przyjacielu. Będiesz u mnie w

lasach rządził, jako swoich własnych.

A Mączyński wstał i wykrzyknął radośnie.

— A co, znalazłem prawdziwego pana. Już mię do śmierci stąd nie wykurzą!

Kiedy Mączyński objął obowiązki w Nieborowicach, mimo całej poufałości i

przyjaźni z dziedzicem zachował dlań wszelkie względy należne od sługi i stale w

przemowach zaczynał od „jaśnie dziedzicu; pan Zbigniew mówił mu w trzeciej

osobie „mój Mączyński" lub „mój Mączyńsiu".

## XVII

Spodziewano się wyjątkowo licznego zjazdu. Mączyński zapewniał sporo lisów, kozłów i co niemiara zajęcy. Zwołano nagankę. Chłopi zgromadzeni w Żwirowce oczekiwali na myśliwych, tam też zjechać się miała większość zaproszonych.

Państwo Piątniccy oczekiwali u siebie tylko na dwóch znaczniejszych sąsiadów,

ażeby razem wyruszyć na punkt zborny.

Zbigniew w najlepszym, jak się rzekło, humorze zwrócił się do leśniczego.

— Cóż Mączyńsiu nasze matadory długo na siebie każą czekać.

— Jako matadory — zauważył zagadnięty.

Wtem zabrzączał na dworze dzwonek przy sankach, a w chwilę potem zajęczały sute  
jan-

czary i dwie pary sani jednocześnie prawie wpadły przed ganek.

— Jakby się zmówili nasi panowie — zawołał Mączyński. Zbigniew porwał się, ażeby witać przybyłych, kiedy we drzwiach kancelaryi ukazał się foryś, który właśnie wrócił z poczty. Trzymał w ręku sporą paczkę pism i listów i podawał je panu.

— Położ — zawołał Zbigniew, chcąc na później zostawić przegląd korespondencji, wtem rzuciwszy okiem na list, leżący na wierzchu, poznał pismo Ewuni. Wziął ten list, rozerwał gorączkowo kopertę, ażeby go choć przejrzeć na razie. List był długi, ale już z pierwszych słów zrozumiał co przynosi i stanął bezradny w najwyższej rozpacz.

Stało się, czego się oddawna obawiali, co jak miecz Damoklesowy wisiało nad nim od pierwszych chwil ich miłości; stało się później, niż się spodziewać mogli a jednak, a jednak wiadomość ta spadła na Zbigniewa, jak piorun z jasnego nieba.

Niemam już żadnych wątpliwości, że zostanę matką — pisała Ewunia długom się

łudziła, długom okłamywała samą siebie, ale fakt stał się  
zanadto oczywistym. Co  
robić? Myślałam zawsze, że z chwilą tą nie będę się dłużej  
wahała, nie będę już

miała nic do stracenia, że przed hańbą i wstydem ukryję się  
grobie, ale teraz  
czuję, że nie byłabym wstanie targnąć się na swoje życie. I nie  
dla tego,  
najdroższy mój, ażeby mi tego życia tak bardzo żal było,  
żebym się tak bardzo  
bala tej okropnej zagadki, jaką jest śmierć, bo kto kochał i był  
kochanym, jak  
ja byłam, kto poznał takie bezmiary szczęścia, szczęścia  
najwyższego na ziemi,  
jak ja poznałam, już niczego żałować nie może i na wszystko  
się odważy. Ale nie  
mogę się targnąć na życie swoje, bo czuję teraz dobrze, że  
życie to już  
wyłącznie do mnie nie należy. Nie rozumiałam tego, nie  
zdawałam sobie sprawy.  
Teraz, Zbigniewie, teraz skarbie mój jedyny, czuję to  
okropnie, że daliśmy życie  
istocie, której zabić niewolno, że z egoistycznego uniesienia  
naszej miłości,  
powstaje nowe istnienie, wobec którego mamy wszelkie  
obowiązki, dla którego  
musimy żyć bodaj w najcięższych mękach i cierpieniu.  
Właściwie ja żyć muszę, ja  
tylko sama jedna, ale ty przez miłość dla mnie, przez miłość,  
jaką ja ciebie

kocham, nie opuścisz mnie w tych okropnych chwilach, nie  
zostawisz samej,  
biednej bezradnej. O drogi, luby mój, nie wołam cię —  
przyjdź, weź mnie

do siebie zaraz na zawsze, bo wiem jak twarde więzy trzymają  
cię przy tamtej  
kobiecie.

„Nie wołam na ciebie Zbigniewie: Przyjdź, zawieź mnie do  
kościółka, uświęć miłość  
naszą, ażeby nie była grzechem, bo wiem, że tego jeszcze  
zrobić nie możesz. Nie  
łudziłam się nigdy, nie wierzyłam, że się złączymy  
kiedykolwiek w trwały związek  
małżeński. Oddałam ci się całkowicie, bez obliczeń, bo  
rozumiałam, że rozkoszy  
uścisków twoich przeżyć nie będę w stanie, że umrę w  
zachwyceniu, że w nicość  
się rozpląnę...”

Wpadł lokaj z oznajmieniem.

— Pan hrabia Jaksa i pan radca Drobiecki — przyjechali.  
Zbigniew, jakby nie rozumiał co do niego mówią — otworzył  
szeroko oczy.

Lokaj powtórzył oznajmienie

— Tak, wiem — zaraz.

Weszła pani Ewa. Była w stroju myśliwskim. Miała na sobie  
krótką, fałdzistą  
spódniczkę sukieną koloru ciemnozielonego i takąż węgierkę  
szamerowaną, obszytą

sobolowem futerkiem, zgrabne buciki lakierowane z cholewami wyglądały z pod spódnicy. Na głowie miała fantastyczną aksamitną czapeczkę zieloną, obszytą również sobolami.

Zbigniew, chowając pospiesznie list, rzucił na nią może po raz pierwszy w życiu spojrzenie pełne jadu i nienawiści. Po raz pierwszy w życiu wydała mu się wstrętną ta stara kobieta w pretensjonalnym przebraniu amazonki.

Istotnie wyglądała dziś pani Ewa gorzej niż kiedykolwiek. Twarz miała zmęczoną, zmiętą, pokrytą jakby mchem szarym, który nabrał wyrazistości przez mocne przypudrowanie. Wysmukła jej postać zaciśnięta w wąską bekieszę, wydała mu się dziś dziwnie ciężką i sztywną. Czuć tam było nadzwyczajny wysiłek, z jakim starała się udawać elastyczność ruchów, czuć było całą sztuczność kształtów, jakie za pomocą pomysłowej kombinacji stalek i fiszbinów nadawała swej figurze. Przypomniała mu się jedna z tych towarzyszek podróży, ta wymalowana i wykrygowana przeszłość piękności, to próchno brzydkie, powleczone bielidłem, świecące złotem i brylantami. Przypomnienie to przepełniło mu duszę najwyższym



niesmakiem i wzburzyło do głębi, że chciałby wyć jak potępieniec w męczarniach.

— Tyż to widmo trupie stajesz na drodze do szczęścia tamtej cudnej istocie. Ty

bezpłodna masz wznieść się nad tamtą, przyszłą matką dzieci

moich, o ciebie, jałowa opoko, rozbić się ma nasze odrodzenie się w pokoleniach.

Nie, nie, musisz ustąpić, musisz. Nienawidzę cię.

— Zbigniewie zaczęła słodkim tonem wyjdź, proszę cię, do panów, gdyż ja

chciałam się jeszcze przeczesać. Uważam, że wysokie upięcie źle mi robi przy tej

szerokiej czapeczce. Wszak prawda?

Zbigniew, jak by to miało ulgę przynieść, zgodził się z nadzwyczajną

skwapliwością i, jakby znęcając się, powtarzał silnie akcentując.

— O tak, bardzo ci nie do twarzy, ale bardzo, bardzo! bardzo!

— Więc się przeczeszę?

— O, wszystko jedno — rzucił opryskliwie i wyszedł, zostawiając żonę samą w

kancelarji.

Pani Ewa odczuła doskonale intencje tonu męża. Złamało to ją i przygnębiło

okropnie. Wróciła do swej gotowalni, siadła przed lustrem i długo, szarpana

najsmutniejszymi uczuciami, wpatrywała się w twarz swoją, pooraną zmarszczkami.

Postanowiła nie jechać na polowanie, odrzuciła czapeczkę, zakryła twarz rękami i

zalała się łzami rzęsistemi.

— Już koniec, koniec, jęczała, już go dłużej nie utrzymam.  
Już zgodzić się  
trzeba z nieubla-

ganą koniecznością, już, już! A jednak ja go tak ogromnie  
chcę mieć dla siebie,  
ja go kocham, ja muszę...

Nagłym postanowieniem zmieniła wyraz twarzy. Otarła  
szybko łzy i zawołała na  
pannę służącą.

— Pojadę mówiła — pojadę, niech się nie domyśla, zem  
odczuła jego niechęć...

mógł być rozdrażniony, zły, zdenerwowany. Pojadę, niech  
mnie widzi wesołą,  
ożywioną, energiczną.

Pannie służącej kazała wyrzucić wielki szynion, na którym  
upiętą miała fryzurę i  
z włosów naturalnych bujnych jeszcze i czarnych, choć gdzie  
niegdzie

przeświecała już srebrna nitka, uwinąć prosty węzeł na środku  
głowy. Na to  
przypięła czapeczkę, która istotnie lepiej teraz przypadła do  
głowy.

W salonie hrabia Jaksa opowiadał jakąś trefną anegdotkę, z  
której pan radca

Drobiecki do łez się zaśmiewał. Zbigniew siedział w fotelu  
zadumany, nie umiejąc

bodaj przez zwykłą grzeczność, obowiązującą gospodarza,  
zdobyć się na

półuśmiech. Zauważył to pan hrabia, zmienił ton wesoły na pełen współczucia i dotykając serdecznie ręki jego spytał.

— Sąsiadowi dziś strapienia jakieś dolegają. Cóż się stało. Nie bawi moja farsa?

Zbigniew zaprotestował energicznie.

— Ależ nie, nie absolutnie, owszem słuchałem z najwyższym zajęciem.

Ale w tym proteście nawet czuć było zniecierpliwienie, którego żadną miarą

opanować nie był w stanie. Niecierpliwiło go to, że niemógł doczytać listu Ewuni

do końca, że niemógł przeczytać go kilkakrotnie, zastanowić się nad położeniem,

i wreszcie przedsięwziąć coś stanowczego w sprawie, która stawała się piekącą.

Kiedy weszła pani Ewa, panowie rzucili się do ucałowania rączek gospodyni, a

hrabia cały rospłynął się w koplimentach.

— Djana — wołał — Djana, bogini łowiectwa, we własnej osobie! Grecka bogini w

kostjumie zastosowanym do naszej polskiej zimy. U nas sandałki same już tylko

nie wystarczają.

— Niechże mi pani da — ciągnął — adres swego krawca, ażebym go zachował dla

tej, którą serce moje wybierze. Ba, kunszt krawiecki czyż to wszystko? Musiałaby

pani nauczyć tę wybraną moją jak się podobny strój nosić powinno. Ale, o nieba,

czy takich rzeczy wogóle nauczyć można, czy nie są one  
wyłączną własnością  
jednostek wyjątkowo szczęśliwie udarowanych? Nie, stanow-

czo ja już się nigdy nie ożenię — kończył hrabia z komicznym  
grymasem

zasmucenia. Jedyne typy jakie naprawdę kochałem...

Był on starym kawalerem, kiedyś bardzo przystojnym i  
wytwornym, niemógł jednak

jakoś znaleźć dożgonnej towarzyszkę życia. Lubił też żartować  
z siebie,

opowiadając o licznych kosztach, które zbierał w czasie  
ustawicznych konkurów.

— Zdaje się — mówiła uśmiechając się pani Ewa — to  
hrabia nie miałeś zbyt

ustalonych przekonań co do typu. O ile wiem, to bywały tam  
blondynki, brunetki i

rudowłose, bywały chude i tłuste, bywały małe i nadmiernego  
wzrostu.

— Ach, pani, zawołał hrabia, to moje przekleństwo. Nigdy  
nie mogłem się

skoncertować i to jest właśnie przyczyną tak licznej kolekcji  
koszów, którą

zgromadziłem w moim Ignacowie. Ale też nie spotkałem na  
swej drodze osoby

naprawdę w moim typie.

— I koniecznie w kostjumie myśliwskim?

— I koniecznie bardzo podobnej do pani.

Pani Ewa, jakkolwiek dobrze wiedziała, co trzymać o  
szczerości słów starego

światowca, była mu jednak, dziś zwłaszcza, bardzo wdzięczna  
za te komplimenta,  
ale kiedy spojrzała na Zbigniewa

i dostrzegła w wyrazie jego twarzy szyderstwo i ironię,  
stropiła się okropnie, a  
nawet lekkie westchnienie wyrwało jej się z piersi.

— Jedźmy — zwróciła się do gości — jedźmy prędzej, bo  
tam nas czekają w  
Żwirowce. Resztę poglądów swych dopowie nam hrabia przy  
obiedzie.

\* \* \*

Na stanowisku Zbigniew miał żonę po lewej ręce. Stała trochę  
niżej o kilkanaście  
kroków pod drzewem, w pozie wyczekującej, ze strzelbą,  
opuszczoną ku dołowi. W  
całej postaci przebijało się przygnębienie i opuszczenie.  
Widział ciemną jej  
sylwetkę, odrzynającą się jaskrawo na tle ośnieżonych pni  
drzewnych, widział ją  
w tej abnegacji, nad którą już w obecnej chwili zapanować nie  
była wstanie;  
zgarbioną, skuloną, z podgiętymi w niemocy kolanami.  
Wypukłe plecy i brzuch  
zlekka naprzód poddany łamały linię jej figury w sposób nad  
wyraz nieprzyjemny.  
Porwała go złość okrutna.  
— Poco — mówił sobie — poco ta kobieta stara i zmęczona,  
kobieta, która mogłaby

być babką i w ciepłym pokoju opowiadać wnuczętom morał-

ne bajeczki, wystaje tu na mrozie w cudacznym kostjumie.

Poco tyle wysiłku

niepotrzebnego, próżnego udawania, komedji. Kogóż złudzi

ona pozorami

podrobionej młodości. I ta kobieta stoi na drodze jego

szczęścia, krępuje każdy

krok jego. Dotąd nie zdążył przeczytać listu ukochanej, dotąd

nie mógł pomyśleć

o niej.

Uczuł w sercu straszną, piekielną nienawiść. Rozwód! Ha, ha,

ha, to długa

sprawa, żeby się mógł jej pozbyć zaraz, natychmiast. Zaczął

myśleć niecierpliwie

o śmierci żony. O, żeby umarła, żeby umarła!...

Z głębi lasu doleciał odległy gwar naganki, która ruszyła już

przed siebie.

Spłoszony zwierz zaczął pomykać i z prawej strony huknął

strzał jeden i drugi.

Nagle, najniespodziewaniej w świecie tuż przed panią Ewą

wykwitła na białym

śniegu wielka czerwono-żółta plama. Stało się to tak

gwałtownie, że nie zdążyła

zmierzyć, lecz wypaliła bez przykładu, z pod pachy, sobie pod

same prawie nogi.

Lis zwinął się, trzepnął ogonem i przerzynał już linję

strzelców między

Zbigniewem i panią Ewą. Zbigniew, który dojrzał zwierza po

tym niefortunnym

strzale, wziął broń do oka i idąc

za nim lufą, spostrzegł, iż była chwila, kiedy muszka jego  
strzelby oparła się o  
piersi pani Ewy.  
Silne gorąco uderzyło mu do głowy, odjął kolbę od twarzy.  
Lis wiał w pole  
zamiatając kitą.  
Byłby to przypadek.  
Byłoby to rozwiązanie.  
Zabójstwo!  
Wzdrygnął się i porwało go nerwowe drzenie, tak gwałtowne,  
że strzelba dygotała  
mu w rękach, jakby przechodził najsilniejszy paroksyzm  
febry.  
— Toby było rozwiązanie - powtarzał - toby było  
rozwiązanie.  
Uczuwał w sobie żal, że rozwiązanie to nie nastąpiło, a  
jednocześnie  
niezgåębioną nienawiść do tej kobiety, z powodu której  
podobnych doznaje uczuć.  
— Ohyda, ohyda! — wolał — zapachniało mi morderstwo,  
jak urodzonemu  
zbrodniarzowi. Do czego to wszystko doprowadzić może, do  
czego?  
Mącyński, który obchodził stanowiska widział zdaleka scenę  
z lisem, przybiegł  
więc z wymówkami.  
— A, jaśnie dziedzicu, nie spodziewałem się, taką sztukę  
wypuścić! Bo, że tam  
jaśnie dzie-

dziczka chce sobie korki z butów wybijać, toć niewiasta, ale jaśnie dziedzić...

— Głupiś! odburknął w rozdrażnieniu Zbigniew. Mączyński popatrzał nań wzrokiem pełnym wyrzutu.

Zbigniew upamiętał się w tej chwili i mówił miękko, jak człowiek cierpiący i nieszczęśliwy.

— Mój Mączyńsiu, proszę się nie gniewać. Jestem chory, muszę mieć gorączkę.

I wyciągnął rękę jeszcze drżącą i rozpaloną.

Leśniczy dotknął jej i wykrzyknął.

— Aj jak Boga kocham... trzęsie się biedactwo jak we febrze, żeby choć nie było tyfusu, jak to wtedy... Niechby jaśnie dziedzić zaraz wracał do domu. Pał lichó i lisy.

Zbigniew sam niechciał dłużej zostać na stanowisku. Czuł, że walka ze sobą wyczerpałaby go do ostateczności. Bał się pokus, bał się siebie samego. Podszedł do żony.

— Jestem trochę niezdrów — mówił — mam jakieś dreszcze. Mączyński odwiezie mnie do domu. Niechcę zwracać niczyjej uwagi. Poprosisz potem wszystkich na obiad.

Pani Ewa rzuciła się zaniepokojona do męża, ale on usunął ją ręką i upewnił.



— At nic poważnego, musiałem się trochę przeziębic.  
Potrzebował on istotnie spokoju i samotności. Przyjechawszy  
do domu kazał się  
natychmiast rozebrać i położył do łóżka. I nie dlatego, żeby to  
było nieodzownem  
dla zdrowia, ale że tym sposobem zabezpieczał się od  
ewentualnego uczestniczenia  
przy gwarnym obiedzie.  
Znalazłszy się w łóżku wydobył list Ewuni, odczytywał po  
wielokroć i rozrzewniał  
się jej miłością, jej bezgranicznym poświęceniem się i  
oddaniem, jej ofiarą  
bezinteresowną i wspaniałomyślną.

Rozpaczał więc:

— Czem zasłużyłem sobie na to, czem jej za to zapłacę?  
Po obiedzie, kiedy się goście rozjechali, przyszła pani Ewa do  
pokoju męża, ale  
on udał, że drzemie w półprzytomny. Odpowiadał jej  
niechętnie monosylabami.

Zostawiła go więc w spokoju.

Na drugi dzień rano przybył lekarz, sprowadzony  
rozstawnymi końmi z miasta  
gubernialnego. Zbadał on chorego jaknajdokładniej, ostukał,  
opukał, ale istoty  
choroby określić nie potrafił.

— Zmian organicznych nie znalazłem — orzekł —  
podejrzewam jednak jakąś sprawę  
nerwową, dla

tego radziłbym udać się do specjalisty neuropaty w Warszawie.

W kilka dni potem wrócił Zbigniew z Warszawy jeszcze bardziej rozdrażniony, bardziej zdenerwowany z rozkazem lekarza wyjazdu do Wiednia do jakiegoś słynnego klinicysty chorób nerwowych.

Pani Ewa postanowiła towarzyszyć mężowi i opiekować się nim w podróży. Zaraz też podano się do urzędu o paszport. Zanim jednakże załatwiono wszelkie, wymagane w tych razach, formalności zaszła okoliczność nieprzewidziana. Pani Ewa, która od owego dnia polowania jeszcze bardziej, jeszcze uparciej dbać zaczęła

o utrzymanie swej postaci w młodzieńczej sprężystości, oddawała się wszelkim sportom z jakimś rozpaczem zapamiętaniem. Nie było dnia, żeby mimo zimy nie wyjechała konno na spacer, żeby nie wyszła z psem i fuzją na kilkogodzinną wycieczkę po polach.

Pewnego pięknego południa około pierwszej sionko silniej przygrzało i stopiło górną powierzchnię śniegu. Pani Ewa dosiadła swego gniadosza i pomknęła drogą ku Żwirówce, ulubionego miejsca spacerów. Ale już koło drugiej, jak to w gru-

dniu, zaczęto przymarzać i utworzyła się niebezpieczna gołoledź. Niebezpieczną

zwłaszcza była droga na stoku górkę żwirowskiej, wyjeżdżona  
gładko, przez bosa  
sanie chłopskie. Tam to koń pani Ewy, mima iż ostro był  
podkuty, pośliznąwszy  
klikakrotnie raz po raz, utracił wreszcie równowagę i runął  
przyciskając jej  
lewą nogę tak silnie, że kość pękła powyżej kostki.  
Przywieziono ją do dworu w strasznych cierpieniach i posłano  
po lekarza.  
Właśnie dnia tego przyszedł z urzędu paszport na imię  
Zbigniewa Piątnickiego z  
małżonką Ewą z Nikockich.  
Zbigniew, przyznać trzeba, bardzo przykładowie zaopiekował  
się chorą żoną, ale  
zdenerwowanie jego bynajmniej nie przechodziło. Po  
kilkunastu dniach chora  
wiedziała, że zdrowiu jej żadne już niebezpieczeństwo nie  
zagrozi, że jednakże  
zrośnięcie się nadwreżonej kości wymagać będzie długiego  
bardzo wypoczynku,  
zgodziła się puścić Zbigniewa samego.  
On też wziął paszport w kieszeń i z niekłamaną radością miał  
się puścić w  
podróż.  
Na wyjeździe zamknął się z Mączyńskim w kancelarji, pod  
pozorem ostatecznych  
dyspozycji gos-

podarskich, w gruncie rzeczy zaś rozmowa ich miała zgoła  
inny charakter:

Pan Zbigniew oparłszy rękę na ramieniu wiernego sługi, patrzył mu badawczo w oczy i pytał.

— Mój Mączyńsiu czy mogę liczyć na twoją przyjaźń?

— Jaśnie dziedzicu, czy pan wątpić może, zapewnił z nadzwyczajną szczerością leśniczy.

— I na twoją dyskrecję.

— Jaśnie dziedzicu, czy to ja milczeć nie umiem!

— Gdyby coś trzeba było ukryć przed dziedziczką?

— Ukryje się.

— Słowo?

— Mączyński grzmotnął się z całej siły w piersi i przysięgał

— Klnę się na Rany Chrystusowe.

— Więc niech Mączyński uważa: Od dziś Mączyński, nie foryś będzie się zajmował pocztą. Co dzień trzeba jechać biedką na stację o piątej i zabrać listy i gazety, jak również oddać co będzie ze dworu do oddania. Niechże teraz Mączyński uważa: Wszystkie listy, jakie pani będzie do mnie wysyłała trzeba

włożyć w inną kopertę i wysiać mi pod adresem, który Mączyńskiemu przyszłą.

— To niby jaśnie dziedziczka nie będzie wiedziała właściwego adresu.

— Cicho, sza! Dalej — mówił tajemniczo dziedzic. — Wszystkie listy, jakie by na

moje imię przysły, Mączyński zatrzyma u siebie do dalszej  
mojej dyspozycji. A

zresztą napiszę obszerniej jak Mączyński ma sobie poczynąć.

Czy Mączyński

rozumie o co chodzi?

— Ba, konspiracja — rzeki z pewną dumą leśniczy.

— Więc?

Mączyński huknął się jeszcze raz w piersi.

— Przysięgłem.

Zabręczały janczary przed gankiem. Zbigniew podał

Mączyńskiemu rękę, którą ten

ujał w obie dłonie i tak się nachylił nisko, jak by ją chciał  
ucałować.

— Do widzenia!

— Niech Bóg prowadzi.

Pożegnanie z żoną było krótkie, lecz czułe, Zbigniew, jakby  
odrodzony myślą

wyjazdu, okazał się miłym jak za najlepszych czasów. Pani

Ewa żałowała, że bodaj na stację nie może męża odprowadzić.

— Pisz jak najczęściej, bo będę niespokojna o twoje zdrowie

— wołała jeszcze za

nim, kiedy wychodził.

Woźnica palnął z bata i ognista czwórka spasionych

cugowców wśród dzwonek i

brzękadeł, jak wichur porwała niewielkie saneczki, na których  
siedział Zbigniew

i niosła raźnie po białym ślizgim śniegu.

## XVIII

Rejent kończył jakiś akt chłopski o działach. Jegomość w wieku lat około sześćdziesięciu, jeszcze czerstwy, rażny i niezupełnie siwy kręcił się niecierpliwie na kanapie. Szarpał ręką swój piękny niegdyś płowy wąs, to zagryzał go nerwowo zębami. Chwilami zrywał się z kanapy, przechodził kilkakroć szybkimi krokami kancelarję i znowu siadał z ciężkiem westchnieniem.

Rejent widząc zniecierpliwienie klienta tłumaczył:

— Fanie dobrodzieju, najmocniej przepraszam, ale muszę pierwszej wyprawić to chłopstwo, będziemy mogli swobodniej omówić pańską sprawę.

— O, panie sędzio, uspokajał go szpakowaty jegomość, poczekam, poczekam. W gruncie rze-

czy to mi się nawet nie spieszy. Mam już takie jakieś nerwowe usposobienie.

Rejent przed reorganizacją sadową był sędzią apelacyjnym, to też stale go tak tytułowano, choć już oddawna sprawował funkcje rejenta przy wydziale hipotecznym sądu okręgowego. Był to człowiek o grubej kości, a także zdaje się i o grubych

instyktach. Tęgi, barczysty, o twarzy tłustej, nalanej z wyrazem trywialnym, przypominającym raczej podmiejskiego szynkarza niż znakomitość prawniczą. A rejent uchodził istotnie za doskonałego prawnika; akty jego miały być arcydziełami ścisłości i przenikliwości. Przewidywał w nich wszelkie możliwe ewentualności, wszelkie kruczki, wszelkie podstępny i jeżeli już sprawę jakąś opisał, klient mógł spać najzupełniej spokojnie. Akt był skończony, i odczytany chłopom przez samego pana sędziego. Oni wysłuchali go w milczeniu, kiwając głowami i wyszli do drugiego pokoju dla podpisania papieru przez strony i przez świadków. W pokoju tym pod kierunkiem starszego dependenta, który akty mniejszej wagi sam spisywał, pracowało przy trzech stolikach, trzech młodych ludzi, prawie dzieci jeszcze, którym stano-

wczo bardziej do twarzy było by w szkolnych mundurkach, niż w tych pseudo-modnych przebraniach, papierowych kołnierzykach i półkoszulkach. Na ławie pod ścianą siedziała postać szczególniejsza. Piękny, wspanialej postawy starzec z długą, białą jak mleko brodą, wielkimi siwymi brwiami i bujną, również jak

broda białą czupryną, niby Bóg Ojciec z naiwnych malowideł  
primitywów. Był to  
hrabia Brzeszczot-Mileński, niegdyś pan licznych włości,  
potomek wielkiego rodu,  
którego uparty zawzięty proces z rodziną zdegradował  
ostatecznie do  
stanowiska... dziada.

Tak jest, hrabia Brzeszczot-Mileński stary już i niedołężny,  
znalazł się pewnego  
dnia na bruku miejskim literalnie bez środków do życia. Ale  
litościwych ludzi  
nie brak. Zaopiekował się nim pewien zamożny kamienicznik,  
wyznaczając mu  
łaskawie na mieszkanie jedną z niezajętych drwalni w swoim  
domu. I było by jako  
tako. Wpadł tam czasem jaki kawałek chleba, z laski od  
dobrych ludzi, ale kiedy  
przyszła chłodna wilgotna jesień, bóle reumatyczne zwały  
staruszkę na barłóg.  
Choć twardej był duszy, uparty i umiał z zaciśniętymi zębami  
nie jedno przenieść  
i przecierpieć, teraz, w czasie długich nocy pozwalał

sobie czasami dla ulgi na nieco głośniejsze jęki. Jęki te  
zwróciły uwagę jednego  
z lokatorów, młodego dependenta od sędziego. Ten dopiero  
wyrwał reumatyka z pod  
troskliwej opieki kamienicznika i zabrał go do swego  
kawalerskiego pokoiku, bądź  
co bądź, ogrzewanego jako tako.



Nie dosyć na tem wyrobił mu potrochu stanowisko nielada:  
W kancelarji rejenta zdarzali się klienci nie umiejący pisać.  
Za takich  
podpisywał się któryś z obecnych dependentów, za co  
otrzymywał od "analfabetów"  
piętnaście kopiejek.  
Sylwin, takie było imię młodzieńca, który się zajął losami  
Mileńskiego, wyrobił  
mu przywilej podpisywania za niepiśmiennych. Pan sędzia  
wszakże, za prawo  
siedzenia w kancelarji potrącał staremu połowę z tej opłaty to  
jest , kop. na  
koszta kancelaryjne i sprawa ułożyła się ku wzajemnemu  
zadowoleniu stron obu.  
Co prawda coraz mniej dziś takich, którzy pisać nie umieją.  
Tego dnia staruszek  
miał zniwo niebywale, wszyscy chłopci, jak się okazało, byli na  
tym punkcie  
zupełnie surowi. Rejent obliczył się z interesantami, wziął za  
akt, pobrał po  
siedem i pół kop. z honorarjum Mileńskiego i wrócił do swej  
kancelarji.

— Służę panu — mówił — możemy przystąpić do naszej  
sprawy. Więc chodzi o  
rozporządzenie majątku na dzieci.

— Tak, chciałem napisać testament — ale nagle zapytał. —  
Przeglądał sędzia  
metryki moich chłopców. Wszak są w porządku?

— Dla czego się pan pyta o to?  
Dla czego by miały być nie w porządku?

Stary jegomość, jakby zlekka zmieszany zaczął tłumaczyć, że obydwa synowie jego urodzili się za granicą, we Francji, że w tłumaczeniach mogły zajść jakieś niedokładności lub przepuszczenia. Otóż, ażeby zabezpieczyć się, że nie będą oni mieli z tej racji żadnych kłopotów, prosi o przejrzenie tych dokumentów.

— Oto jest metryka Adama — mówił podając papiery — to metryka Henryka, metryka moja i mojej żony, a to nasz akt złączenia, który oczywiście był również tłumaczony na język francuski, przy przedstawieniu pierwszego syna w merowstwie w Paryżu.

Rejent zbadał uważnie podane sobie papiery.

— W najlepszym porządku — rzekł i zwrócił się do młodego dependenta.

— Panie Sylwinie, zacznij pan akt. Mówiliśmy, ciągnął dalej, kierując rozmowę do starego jegomości, że cały swój ruchomy i nieruchomy majątek...

Panie sędzio — przerwał interesant, właściwie intercyzy nie było; dotąd żona nie zapisała mi swego majątku, oczywiście nie mogę tem rozporządzać, a tylko majątkiem swoim własnym, dorobkowym ?

Rejent wziął grubą książkę ze stołu i odczytał kilka paragrafów, tyczących się

porządku dziedziczenia. Potem, jakby przerzucając kodeks w rękach, czytał głośno artykuł, w którym powiedziano jest, że testament uczyniony przed samobójstwem nie może mieć mocy obowiązującej. Czytał to jakby od niechcienia, jakby artykuł ten przypadkowo nasunął mu się przed oczy. Zbigniew drgnął nagle, ale starał się natychmiast opanować. Tymczasem rejent utkwiał w interesanta badawcze spojrzenie. Nie spuszczać zeń oka ciągnął wolno.

— Ha, ha, ha, jaka to ważna rzecz znajomość kodeksu. Czytałem gdzieś, jakąś powieść, gdzie autor całą intrygę rozwinął na testamencie samobójcy: Spad-

kobiercy kłócą się między sobą, procesują, sprawa dochodzi do najwyższych powikłań, tymczasem testament taki musiał być obalony na podstawie praw obowiązujących i tym samym wszystkie późniejsze wypadki i powieść sama nie miały racji bytu.

Interesant wysłuchał tego w milczeniu. Cienie dziwnych dum przesuwały mu się po twarzy. Śnać było na niej ogromne skupienie i wysiłek. Rejent podszedł do stołu dependententa.

Panie Sylwinie, masz pan: zjawił się osobiście mi znany i prawną moc do sporządzenia aktów mający?

— Mam.

— Obywatel ziemski, dyktował pomocnikowi. Zbigniew Piątnicki, właściciel...

— Jak się nazywa majątek pański?

Nieborowice i Zwirówka — odparł Zbigniew, gdyż on to był tym jegomościa,

starszym tylko obecnie o lat dwadzieścia. Nieborowice i

Zwirówka powtórzył jakoś

gorączkowo. Wstał szybko i zaczął przechadzać się w podnieceniu po kancelarji.

— Właściciel Nieborowic i Zwirówki dyktował dalej rejent

— w powiecie?

— Panie sędzio, przerwał nagle Zbigniew, — po mojej śmierci i tak dzieci, nie kto inny dziedziczyć muszą?

— Oczywiście. Żonie tylko należy się dożywocie na czwartej części. Z własnego jej jednak...

— Tak, tak, tak — denerwował się coraz bardziej. — Tak wszystko im się należy,

wszystko... Akt niepotrzebny. Panie sędzio, akt... Testament niepotrzebny.

Prawda, gdybym umiał ja, albo żona moja...

Silne ognie wystąpiły mu na blade przedtem czoło. Tarł je ręką, jakby chciał

stamtąd spędzić te ciemne plamy zdradzające przed światem jakiś wewnętrzny

zatarg z sumieniem. Ręce mu się zaczęły trząść, głos drżał nerwowo.

Gdyby żona moja umarła przedemną, gdyby umarła bez testamentu... Naturalnie, dzieci legalne dziedziczą bez zastrzeżeń. Ja otrzymuję czwartą część w dożywocie. Prawda? Gdyby jednak poczyniła zapisy dla krewnych?

— Dzieciom legalnym, o ile pozostają, służy prawo odwołania do sądów. Następnie dziedziczą krewni z linii wstępnej, następnie...

— Gdyby ona umarła bez testamentu, mówił, jak by do siebie pan Zbigniew, oczywiście mój

zapis będzie przedwczesny... Tak... Panie sędzio, ja dziś tego aktu nie będę robił. Przepraszam najmocniej, przepraszam... Zapłacę kosztą... Przepraszam...

Rejent patrzył na klijetna swego ciągle zpod brwi mocno nasuniętych. W spojrzeniu tem była podejrzliwość.

— Jak pan uważa — cedził przez zęby — rejent — Skoro się pan nie może zdecydować. Jak pan uważa...

Czuć było w tem niedopowiedziane: Można się było lepiej samemu namyśleć, a nie narażać mię na stratę czasu.

Zachowanie się Zbigniewa zdradzało coraz większe pomięszanie, nad którym nie umiał zgoła zapanować. Już miotał się poprostu po pokoju, mruzczał pod wąsem, wyrzucał pojedyncze nieartykułowane dźwięki.

Rejent przymrużył oko i kręcił głową w milczeniu. Trwało to sporo czasu.

Wreszcie Zbigniew zwrócił się do niego szybkim ruchem.

— Panie sędzio, mówił w rozgorączkowaniu — winien jestem panu za zepsuty papier stemplowy. Składał o to dwadzieścia pięć rubli za zawód... na koszt kancelaryjne i przepraszam... Przepraszam

najmocniej — aktu dziś nie zrobię. Będę jeszcze żył — z testamentem poczekamy.

Podał mu rękę na pożegnanie. Przed młodym dependentem na stoliku położył trzy ruble i wychodził. W drugim pokoju natknął się na starego Wileńskiego, którego przedtem niezauważył i okrzyk zdziwienia wyrwał mu się z piersi.

— Pan tu? sąsiad tu?

— Na bruku, jak wielu — odparł starzec. — Na bruku, tylko ze mną gorzej niż z innymi, bom już niedołęga całkowity.

Podali sobie rękę.

— Nie spodziewałem się, nie spodziewałem się — powtarzał Zbigniew, a czuć było, iż ze spotkania tego niespodziewanego nie jest bynajmniej zadowolony. Przed rejentem wylegitymował się kim jest, powołując się na wspólnych znajomych, co wystarczyło, ażeby w akcie napisać, „znany mi osobiście”, ale niekontent był, iż

widzi człowieka, z którym naprawdę łączyły go kiedyś  
stosunki bliższej  
sąsiedzkiej znajomości.  
Mileński siedział na rodzinnej wsi Rejowicach, oddalonej  
najwyżej o jakie trzy  
mile od Nieborowic. Znał Zbigniewa jeszcze jako kawalera,  
sprawującego obowiązki  
administratora u Szam-

belanica, znalazł go potem jako majątnego obywatela — męża  
pani Ewy. Po powrocie do  
kraju Zbigniew nie zastał go już na roli. Mówiono mu, że  
nałogowy piniacz  
przeprosował ostatnią wioskę, a rzeczywiście wieś ta była  
tylko jednym z  
folwarków ogromnego niegdyś klucza, należącego do  
Mileńskiego. Wieś własną  
przeprosował, jak się rzekło, w zatargach z rodziną i chodzi  
teraz dzierżawami  
po rozmaitych stronach kraju, a wie dzie mu się coraz gorzej,  
bo choć sam dobry  
gospodarz, ale wszystko, co zarobi, zjadają za niego adwokaci  
i koszta sądowe za  
przegrane procesy. Spotkali się potem raz w Warszawie w  
towarzystwie  
Pońkowskiego już w czasie, kiedy Zbigniew dom swój  
budował. Siedzieli w handelku  
przy butelczynie wina, obydwaj dobrze już trunkiem  
podnieceni o twarzach  
pałających krwawym rumieńcem. Przywitali się serdecznie.  
Hrabia, wtedy już

zrujnowany był materialnie prawie tak, jak dzisiaj, fizycznie  
też niewiele się  
od tego czasu zmieni!  
Broda i włosy zbielały mu tylko zupełnie i twarz utraciła  
nazawsze ów rumieniec,  
który dawniej mimo bliskiej sześćdziesiątki wykwitał jeszcze  
od czasu do czasu.  
Poznał go jednak odrazu, choć

dwadzieścia lat czasu tak okropnie zmienia fizyognomię  
świata i ludzi na  
świecie.

— Kopeć lat! mówi! Mileński.

— Ciężkich lat! westchnął, Zbigniew. Cóż słyhać?

Stary machnął ręką.

— A u pana?

Zbigniewa ścisnęło za garło — nie mógł mówić. Podając mu  
rękę rzucił.

— Spotkamy się może kiedy. Pońkowski bawi teraz w  
Warszawie i schodzimy się  
czasem u Gouta. Przyjdź pan.

Wyszedł.

Rejent, stojący we drzwiach otwartych swego pokoju,  
przysłuchiwał się ciekawie  
rozmowie, a kiedy się podwoje zamknęły za odchodzącym,  
zapytał starego

Mileńskiego.

— Skąd pan znasz tego jegomości

— Dawny sąsiad — odparł tamten.

— Co pan wiesz o nim?

Stary rozłożył ręce



Bardzo porządny człowiek, obywatel, zamożny, przynajmniej był kiedyś zamożnym bardzo, bo się ożenił z dziedziczką licznych włości. Jak jest teraz — nie wiem.

— Musi być desperat jakiś.

— Dla czego?

— Mam silne podejrzenie ciągnął rejent, że jegomość miał zamiar po zrobieniu testamentu w łeb sobie palnąć. Nie wiedział, zdaje się, że testament taki nie może mieć mocy obowiązującej. Gdym mu to wyjaśnił — odstąpił od zamiaru przynajmniej co do zrobienia aktu. Ha, ha, ha — śmiał się — jak ludzie wogóle mało obeznani są z prawem.

A po chwili ciągnął.

— A jednak jest to ciekawe. Człowiek starszy, zdaje się wytrawny i stateczny, zdradzał rozdrażnienie młodzieńca, którego zawiodła schadzka miłosna. Nie znasz pan bliżej jego stosunków rodzinnych? spytał Mileńskiego.

— Ten znowu rozkrzyżował ręce. Obecnie nie wiem nic. Ożenił się bardzo dawno z kobietą coprawda znacznie starszą od siebie, ale piękną, wytworną i bardzo bogatą. W okolicy utrzymywano, iż są ze sobą nadzwyczaj szczęśliwi. Potem wyjechał — ot i wszystko.

— A jednak w tem jest coś dramatycznego, mówił, jak by do siebie rejent. W tem coś jest.

O tak, ja się znam na tem! Odgadłem jego mości odrazu,  
odrazu zajechałem mu w  
slabiznę kodeksem i zrejterowałem.  
Zatarłem ręce, widocznie kontent ze swej przenikliwości, ale  
potrzeba ustalenia  
jakiejś bardziej zdecydowanej hipotezy, co do losów  
dziwnego klienta nie dawała  
mu spokoju. Zwrócił się szorstko do Wileńskiego z oznakami  
zniecierpliwienia i  
złego humoru, jak kapryśny satrapa do poddanych.  
— Nie może być, ażebyś pan nie wiedział jakich szczegółów z  
życia dawnego  
sąsiada. Powiadasz pan: ożenił się ze starszą od siebie. Dużo  
starszą, co?  
— O znacznie. Bo ja wiem, może lat kilkanaście...  
— Kilkanaście! Hm, kalkulował ciekawy rejent. Dzieci mają...  
— O ile sobie przypominam, wtrącił stary Mileński — dzieci  
nie było.  
— Nie było? Jakże, widziałem metryki dwóch chłopców  
starszy ma lat osiemnaście,  
młodszy .  
— Musiał się drugi raz pan Zbigniew ożenić — zauważył  
stary. Pani Zbigniewowa  
miała by dziś około siedemdziesiątki, albo i więcej. To mi się  
nie wydaje.

— Hm, i to być może rozmyślał rejent... Jakże z domu ta żona  
jego?

— W akcie złączenia czytałem, czekaj pan, mam przecież pamięć doskonałą. Tak

Ewa Nikocka, nie myślę się Ewa Nikocka.

— Istotnie, odparł stary — Nazywała się Ewa Nikocka. Z ojcem jej Szambelanicem Nikockim, sąsiadowaliśmy lat tyle, pannę znalazłem

doskonale. Była tanecznica zawołana, jeździła konno, jak kowboy, strzelała jak

Wilhelm Tell... Ha, znalazłem — wspaniała panna była — dumna, nieprzystępna.

— Dzieci urodzone są z Nikockiej - czytałem najwyraźniej, przerwał rejent.

Ha, mogło błogosławieństwo przyjść później — zakonkludował z uśmiechem stary

hrabia Mileński.

Hm, hm, mruczał rejent — Tam coś jest, tam coś jest.

## XIX

W Krakowie na Kleparzu, prawie naprzeciwko słynnego Rondla, stał niewielki domek jednopiętrowy, ukryty w połowie wśród bujnej zieloności bzów, akacji i kasztanów. Całe pierwsze piętro od lat kilkunastu zajmowała pani Ewa Piątnicka.

Przyjechała tu z Paryża z mężem i dwoma, jak cherubiny, chłopaczkami. Pan

Zbigniew Piątnicki, urządziwszy wytwornie mieszkanie i zainstalowawszy w niem

rodzinę, wyjechał za interesami do królestwa na czas dłuższy,  
zostawiając żonie  
pieczę nad wychowaniem dzieci. Wychowanie to istotnie  
wypełniało troskliwej  
matce czas całkowicie, do tego stopnia, że literalnie nigdzie  
nie bywała, nie  
zawiazywała stosunków towarzyskich, nie szukała poza  
domem żadnych uciech i  
rozrywek. Nawet do teatru, który bardzo lubiła,

chodzić samej jednej nie wypadało, to też musiała sobie  
odmawiać i tej  
przyjemności. Dopiero, kiedy mąż przyjeżdżał na parę tygodni  
raz lub dwa razy do  
roku, ożywiali się trochę mieszkańcy cichego domku na  
Kleparzu. Zjawiał się  
elegancki powóz, który unosił całą rodzinę na dalsze  
wycieczki w okolice miasta;  
wieczorem małżeństwo bywało w teatrze, lub na koncercie,  
zostawiając chłopców w  
domu pod okiem bony francuski, kobiety starszej i  
wypróbowanej uczciwości, która  
ściągnęła tu za rodziną z Paryża.  
Jak się rzekło, pani Ewa zajmowała się gorliwie  
wychowywaniem i edukacją dzieci,  
bo choć przyjęto do nich najlepszych guwernerów i  
nauczycieli, ona sama obecna  
była zawsze na lekcjach, sama później przepowiadała je z  
chłopakami, wbijała im

w główki zadane wierszyki i formułki gramatyczne,  
przerabiała zadania i pomagała  
w pisaniu ćwiczeń. A kiedy wreszcie chłopcy wstąpili do  
gimnazjum świętej Anny:  
Adaś starszy do klasy drugiej, a Henryk do pierwszej, pani  
Ewa uczyła się wraz z  
nimi łaciny a później greckiego, powiększała swoje, wątle  
dotąd, wiadomości, z  
matematyki, historii powszechnej, z historii naturalnej, i,  
przeszedłszy tak z  
synami dwukrotnie kurs gim-

nazjalny, mogła byłaby śmiało stanąć razem z nimi do  
egzaminu dojrzałości.  
Mijały tak dni cicho i spokojnie na pracy, bez większych  
wstrząśnień i  
zaburzeń. Monotonność życia przerywał tylko na krótko  
przyjazd ojca — a za tem  
weselsze zabawy i uciechy. Chłopcy jednak, podrastając,  
wytwarzali sobie swoją  
własną sferę stosunków, swój świat własny, do którego pani  
Ewa nie mogła mieć  
przystępu. Coraz dłużej przebywali za domem, coraz częściej  
zostawiali matkę  
samą w ustronnem mieszkaniu na Kleparzu. Pochłaniały ich  
sprawy koleżeńskie,  
nęciły bujne młodzieńcze zabawy, potrochu też budzić się  
zaczynali do życia  
zmysłowego, co wszystko razem wzięte wymykać się musiało  
z pod kontroli

troskliwego oka opieki macierzyńskiej. Na razie pani Ewa próbowała bodaj ubocznie, bodaj zdaleka wpływać na czyny synów, śledzić ich kroki i w razie niebezpieczeństwa pospieszyć z czulą pomocą. Podobna w tem było do owej kwoczki, prowadzącej kaczęta, które gwarnie rozprysną się po wód głębinach, zostawiając troskliwą wychowawczynię na brzegu, kwoczącą bezradnie w najwyższym niepokoju. Z czasem jednak zgodziła się z dołą swą, jako ze złem nieuniknionem i zostawiła chłopcom pełną swobodę czynu.

Pewnego razu, przed samym końcem roku szkolnego, Adaś, który już był wtedy w siódmej klasie, wrócił do domu z twarzą zdrapaną, bardzo smutny i przygnębiony. Na pytania matki o przyczynie tego stanu nie chciał dać żadnych wyjaśnień. W chwilę po tem zjawilo się dwóch uczni w nowych mundurach ze świetnymi złotymi galonami na kołnierzach i, z miną bardzo poważną i uroczystą, żądali widzenia się z panem Adamem Piątńickim. Adaś przyjął ich z miną równie uroczystą w swoim pokoju, zamknąwszy starannie drzwi za sobą. Bawili krótko. Wieczorem, mimo spóźnionej pory, przyszli dwaj inni uczniowie i zamknąwszy się z Adasiem gadali

długo i niezmiernie żywo. Pani Ewa zaniepokojona trochę wizytami, które jej się wydały podejrzanymi, przyłożyła ucho do drzwi i starała się wymiarkować o co by chodzić mogło. (Czego to się troskliwością macierzyńską nie usprawiedliwi.)

Całości rozmowy dosłyszeć nie mogła, dolatywały tylko oderwane słowa, które przyprawiły ją o prawdziwe przerażenie. Słyszała najdokładniej wyrażenia używane przy sprawach pojedynkowych: „nasz pałkant, sekundanci, przeciwnik, meta” wreszcie jeden z młodzieńców głośno zapewniał.

— Ale upewniam was, Malecki ma bardzo dobre pistolety i z całą pewnością pożyczycy. To honorowy chłopak.

Nastąpił protest drugiego młodzieńca, nieco ciszej wypowiedziany, czego już pani Ewa dosłyszeć nie mogła. Krzykliwszy zaklinał się w celu przekonania tamtego.

— Jak Boga kocham, doskonale pistolety — sam z nich strzelałem.

I znowu cichy protest i znowu głośna decyzja drugiego.

— No, ja się nie upieram. Niech w takim razie Adam wynajmie pistolety u rusznikarza, nie jest taki przecież biedny...

— Pst, nie tak głośno, strofował pierwszy.

I rozmowa potoczyła się dalej w tonie przygłuszonym.

Kiedy chłopcy wyszli, pani Ewa przypadła do syna, zaklinając go, ażeby jej

wytłomaczył, co znaczyła ta wizyta i co znaczyły słowa, które,  
niechcący, przez  
drzwi dosłyszała, ale Adaś zbywał ją żartami, śmiał się tak  
swobodnie z jej  
podejrzeń i obaw, iż uspokoił ją najzupełniej.  
— Ot! powiem mateczce otwarcie: Jeden z kolegów jest w  
kłopotach pieniężnych,  
radziliśmy

więc, jakby mu przyjść z pomocą. A te pistolety, to właśnie  
jeden z przedmiotów,  
które by można na korzyść jego przybić u „ciotki”. Ot, gdyby  
mateczka mogła mi  
dać z piędziesiąt koron, cała sprawa byłaby załatwiona.  
Pani Ewa, zadowolona z takiego rozwiania swych podejrzeń,  
wręczyła synowi  
pieniądze i udała się na spoczynek. Tymczasem Adaś  
przywołałszy młodszego brata  
długo z nim w noc rozmawiał.  
Na drugi dzień do szkoły nie poszedł, po południu zjawili się  
ci sami uczniowie,  
wręczyli mu papier jakiś i wyprowadzili ze sobą na miasto.  
Nad wieczorem  
zatrzymała się dorożka przed domem na Kleparzu, wysiadł z  
niej Adaś z ręką na  
temblaku, podtrzymywany przez młodszego brata swego,  
Henryka.  
Pani Ewa z krzykiem wybiegła na schody.  
— Adaś miał wypadek z bronią- zaczął Henryk.  
— Bawiłem się rewolwerem i niechcący skaleczyłem się w  
rękę — mówił trochę



złamanym głosem Adaś.

Matka rzuciła się do opatrzenia syna. Na rękę wyżej łokcia miał nałożony opatrunek chirurgiczny, którego ruszyć nie było można. Był blady i wi-

docznie z trudnością utrzymywał się na nogach. Przy pomocy młodszego syna rozebrała go, ułożyła w łóżku, i starała się wybadać szczegółowiej o okolicznościach wypadku. Chłopcy najwidoczniej kręcili. Opowiadali o koledze, który im pokazywał rewolwer, że Adaś nie wiedząc, iż broń jest nabita, pociągnął za cyngiel — kula trafiła w rękę... Czują, iż pozatem kryje się coś zgołą innego, chłopcy jednak słówkiem jednym nie zdradzili tajemnicy. Przypominały się jej wczorajsze wizyty i zasłyszane słowa, powzięła więc najgłębsze przekonanie o jakimś pojedynku, którego ofiarą padł jej chłopak.

— Co mogło zmusić takich dzieciaków do krwawej rozprawy? wołała rozpaczliwie załaniując ręce. Co się tam dzieje w tych młodych mózgach? Ale Adaś protestował energicznie, wreszcie zakończył:

— Niechże mama nie stara się dociekać przyczyn mojej rany, bo gdyby się okazało, że było pojedynk, przedewszystkiem wyrzucono by mnie z gimnazjum i zwichnięto przyszłość. Opowieść o wypadku z rewolwerem musi dla wszystkich być wiarogodną.

— Mówił następnie, że pragnie jaknajprędzej pomówić z ojcem, że od tego pomó-

wienia zależeć będzie całkowicie szczęście jego i spokój. Jakoż zdarzyło się, że w parę dni po tem zdarzeniu, przypadkiem, czy też wezwany telegraficznie przez panią Ewę, zjawił się w Krakowie pan Zbigniew. Syna leżącego jeszcze w łóżku przywitał wesoło, nadrabiając miną: — Cóż to za brewerje wyprawiasz mi tu, chłopcze? Adaś miał minę smutną i poważną. — Chciałem z ojcem pomówić szczerze i na cztery oczy. Pan Zbigniew siadł przy łóżku. — Niech ojciec drzwi zamknie — prosił chłopiec — nie chciałbym ażeby bodaj jedno słowo z naszej rozmowy usłyszała matka. Wstał, przymknął drzwi, zapuścił nawet portjerę, wrócił na dawne miejsce i patrzył niespokojnie na syna. Adaś uniósł się nieco na łokciu i mówił z boleścią. — Dla czego ojciec z nami nie mieszka? Naraża to nas na tysiączne nieprzyjemności. Niejednokrotnie słyszałem złośliwe aluzje co do sytuacji naszej matki. Najdziwniejsze plotki, przypuszczenia, domysły krążą wśród natrętnego, cie-

kawego mieszczaństwa. Dlaczego ojciec nie zamieszka z nami na stałe tu w

Krakowie, lub nie weźmie nas do siebie do Królestwa?

— Interesa tak się układają — tłumaczył się pan Zbigniew bardzo zmieszany tem

pytaniem. — Interesa dotąd nie pozwalają mi na to. Jeszcze czas jakiś, może rok, może dwa...

Chłopak rzucił się bezwładnie na poduszki, przymknął oczy i trwał tak czas

jakiś, niby usobienie rezygnacji i bólu. Nagle ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi.

— A jednak dłużej już tak trwać nie może. Od jakiegoś czasu, ktoś w Krakowie

sieje ohydne insynuacje. W szkołach do mnie i do Henryka odzywają się niektórzy

koledzy z przekąsem, a niedawno doczekałem się nareszcie, iż mię jedno takie

bydlę nazwało poprostu bękartem.

— Chłopcze, chłopcze co ty mówisz!? jęknął pan Zbigniew.

— Ano, trzasnąłem go w pysk co siły w pięści. On rzucił się na mnie i zdrapał

mi twarz. Koledzy nas rozerwali. Wtedy on wrzeszczał, że nie daruje policzka,

gdyż jest szlachcicem, krwią więc zmyć musi obrazę. Nazywa się Szelski.

— Szelski — wykrzyknął pan Zbigniew — Szelscy to dalecy krewni... Nikockich...

Krewni!... Ha czyżby to być mogło?... Szelski... Szelski!...

— Powiedziałem, że tylko tego pragnę, ażeby mu kulę w łeb  
wpakować... Że

przyjmę najcięższe warunki. W godzinę może przysłał mi  
dwóch kolegów, ja dwóch  
innych uprosiłem dla siebie na sekundantów już przedtem.  
Załatwili sprawę odrazu

— na drugi dzieli przynieśli mi protokół spotkania i  
pojechaliśmy dorożkami za  
Czerwony bród. Tam stanęliśmy w czystym polu o dziesięć  
kroków jeden od  
drugiego.

— O dziesięć kroków! krzyknął ze zgrozą ojciec. Oj dzieciaki,  
dzieciaki! Toż to  
morderstwo!

— Żaden z nas nie znał dobrze kodeksu pojedynkowego,  
żaden z nas nigdy pojedynku  
nie widział, ot tak trochę mieliśmy pojęcie o tem wszystkim z  
czytania

romansów. Ja jeden umiałem nabić pistolety. Nabiłem więc  
obydwa rzetelnie. Potem  
ciągnęliśmy losy; jemu wypadł Nr . Najstarszy kolega miał  
trzymać komendę, ale  
głos mu drżał, prawie zamierał w gardle. Ledwie  
dosłyszeliśmy jego: baczność!

Przyznaję się byłbym mierzył Szelskiemu w łeb, jak psu, bez  
żadnych skrupułów,  
bom go nienawidził z całej

duszy, ale on strzelił pierwszy, i ręka z pistoletem opadła mi,  
jakby ją kto

kijem przetrącił. Doktora ze sobą nie mieliśmy, bo żaden nie chciał jechać.  
Byliśmy u kilku, to się tylko z nas wyśmiewali, że nam się już pojedynków zachciewa. Pojechaliśmy zatem sami. Jestem ranny ciężko: mam podobno kość strzaskaną i w drodze powrotnej w dorożce mdlałem kilka razy. Opatrzył mię już w mieście jeden z tych doktorów, który nie chciał z nami jechać, aleśmy wmówili jemu, jak i wszystkim innym, głównie dla zastawienia się w szkole od odpowiedzialności, że to był przypadek. Niewiem czy uwierzył, ale strasznie wydziwiał, że nabój był djabelnie mocny.  
— To nic ze mną, ciągnął dalej chłopak — nic ze mną — zrośnie się i będzie dobrze. Najgorzej, jest z tem, że Henio, który wiedział o całym zajściu i o powodach, jakie je wywołały, bom mu na wypadek śmierci, wszystko opowiedział, chciał wyzwać natychmiast Szelskiego i bić się z nim, gdyż obraza, jaką on mnie uczynił, tyczy się honoru naszej matki, więc i on go bronić powinien. Ale nie mógł narazie, jako zbyt młody, znaleźć sekundantów, przysiągł więc, że, skoro tylko skończy lat osiemnaście, sprowokuje go i zabije.

Widzisz więc ojcze, że sprawa przedstawia się bardzo poważnie i wymaga

koniecznie jakiegoś stanowczego uregulowania. Musisz z  
nami zamieszkać i swoją  
obecnością, powagą swojej osoby usunąć wszelkie  
podejrzenia, zamknąć gębę  
ohydnemu potworowi oszczerstwa. Kraków jest w gruncie  
rzeczy małym miasteczkiem,  
wszyscy się znają, wszyscy wiedzą o sobie.  
U nas na dole, z jednej strony mieszka jakiś urzędnik fiskalny  
z żoną i siostrą  
żony, z drugiej, wdowa, stołująca uczniów ze szkoły sztuk  
pięknych. Kobiety te  
większość dnia spędzają w sieni na ustawicznych plotkach i  
ogłędzinach każdego,  
kto tylko do nas wchodzi. Każdy twój, ojczyzna, przyjazd, jest dla  
nich przedmiotem  
żywych rozpraw, domysłów i komentarzy. Kiedym schodził  
nieraz, słyszałem jak  
milkły nagle i tylko porozumiewały się jakimiś głupimi  
gestami. Mają matkę za  
złe jej odosobnienie się od świata, jej niechęć do zawierania  
znajomości i widzą  
w tym jakąś tajemnicę okropną, której wykrycie stało się dla  
nich celem życia.  
Mnie nie zaczepiają, bo mnie mają za mruka  
nietowarzyskiego, mówią, że wilkiem  
patrzę; ale Henia, który jest wesołego i łatwego usposobienia,  
starają się  
tylekroć

ciągnąć za język: A kiedy ojciec przyjedzie, a gdzie ojciec  
panowy się teraz

obraca, a co robi? A mamusia dobrodziejka, czy bardzo tęskni? i tak dalej.

Rozmawiał z nimi z początku po swojemu, dziecinnie, ale kiedy mu otworzyłem oczy, nawymyślał babom z całym swoim impetem i od tego czasu zawrzała tam głucha do nas nienawiść. W swoim własnym domu jesteśmy poprostu niewolnikami, szpiegowani na każdym kroku, prześladowani mściwym okiem sąsiadów. Bywało, kiedy wracam później do domu, a baby usłyszą zgrzyt klucza we drzwiach wchodowych, wybiegają w koszulach do sieni, ażeby sprawdzić kto wchodzi.

Rzeczywiście sytuacja nasza, ciągnął dalej z tym, właściwym sobie akcentem smutku przedwcześnie rozwiniętego chłopca, jest trochę niewyraźna i doprawdy nierozumiem jej sam dokładnie. Matka utrzymuje, iż majątek ziemski, który posiadamy w królestwie, wymaga ciągłej tam obecności ojca. Ale czyż nie lepiej byłoby sprzedać go bodaj ze stratą? Czyż nie bylibyśmy szczęśliwsi nawet w mniejszym dostatku, gdybyśmy razem mieszkać mogli? Albo dlaczego ojciec nie zabierze nas tam bodaj na wakacje, bodaj na kilka miesięcy..

Nie! jest tu jakaś tajemnica straszna, ja to czuję, i tajemnica ta mię dusi, jak

zmora po nocach, mózg mi wysusza, mąci każdą chwilę  
wesołości!  
Ojcze! ja już się dziś nie umiem bawić, jak moi rówieśnicy.  
Od czasu, kiedym  
zaczął przychodzić do świadomości, kiedym wyrósł z  
naiwnego dzieciństwa,  
świdruje mi w głowie myśl jedna: dla czego matka nasza, ta  
święta, idealna  
kobieta, nie żyje tak, jak inne kobiety, jak te wszystkie matki  
kolegów moich,  
które dotąd widywałem. Czy to podobna? Taka wtedy, jak  
pamiętam, jeszcze była  
piękna, taka wytworna, taka mądra, a wiecznie zamknięta z  
nami w ustronnym domu.  
Inne kobiety, matki kolegów moich, bawiły się, balowały...  
Och, pamiętam —  
opowiadali w szkole... Matka nasza taka słodka, dobra,  
wiecznie sama, smutna,  
jakby przybita okropnym ciosem losów...  
Pan Zbigniew nie mógł znaleźć jednego słowa odpowiedzi.  
Tarł czoło, chwycił się  
za głowę ruchem rozpaczony, zrywał się z siedzenia i chodził  
nerwowo po pokoju.  
Chłopiec, dziwnie rozegzaltowany w tej chwili, usiadł na  
łóżku. Oczy mu pały.  
— O, ja to czuję, Jezus Marja, tu jest jakaś tajemnica! Tu jest  
coś okropnego.  
Tu jest coś

takiego, że kiedy pomyślę... Jezus Marja, Jezus  
Marja!...



Nagle wyciągnął lewą, zdrową rękę po rękę ojca, chwycił ją gorączkowo, przyciągnął do ust i pocałował. A potem nachylił twarz do jego twarzy, tak blisko, że Zbigniew czuł jego oddech przyśpieszony, wpatrzył się, szerokootwartymi oczami, w jego oczy i cichym, lecz przejmującym szeptem pytał:

— Ojczy, dla czego Szelski nazwał mię bękartem? Gorące, ceglaste wypieki wystąpiły na policzki Zbigniewa.

— Dlaczego, wołał, dlaczego? Ludzie są źli... Zły, nikczemny chłopak ten jakiś Szelski! Dlaczego, pytasz? Dziecko drogie, alboż ja wiem? Co za podłość, jakież niskie instynkta! Cóż ci mogę powiedzieć. Skąd ci przyszło takie okropne pytanie? Weź papiery swoje, swoją metrykę urodzenia... Cóż ja ci mogę powiedzieć?...

Plątał się w odpowiedziach, powtarzał się. Straszna burza rozszalała mu się w duszy, przerażenie, ból i rozpacz malowały się w wyrazie oblicza.

— To się mści — myślał — to się mści okropnie! Umiejętnie, z nadludzkim wysiłkiem budowany

gmach kłamstwa runąć w końcu musi, przywalając ich wszystkich swymi gruzami.

Ananke, Ananke! Świat taki wielki, że człowiek zdaje się w stosunku do niego

pyłkiem nikczemnym, a jednak nie ukryje się, nie zginie w  
bezmiarze, nie ujdzie  
mściwego oka konieczności. Najniespodziewaniej z ciemnych  
nor wypełzną zawiść,  
złość, brutalstwo i uderzą niby taranem w mury tajemnic  
twoich, pokruszą głązy  
twarde i obnażą szkielet, zamurowanego w ich wnętrzach,  
grzechu. Idzie kara z  
pokoleń w pokolenia. Idzie gniew boży, okrutny, nieubłagany  
na dzieci za winy  
ojców; idzie przekleństwo na rody za jedno kłamliwe słowo,  
za jeden krok  
fałszywy. Rozpacz, rozpacz!  
Pan Zbigniew rzucił się na krzesło i ukrył głowę w dłoniach.  
Adaś, wyczerpany  
rozmową z ojcem, leżał nawznak bez ruchu, z głową w tył  
odrzuconą, z zamkniętymi  
oczami.  
Nastała długa, ponura cisza. Wtem drzwi się łagodnie  
otworzyły i stanęła w nich  
cicho, jak zjawisko pani Ewa. Mimo czterdziestki była jeszcze  
bardzo piękna, o  
bladej, matowej, dziwnie szlachetnej cerze. W oczach  
przyćmionych tkwił  
niezgåębiony smutek i, niby mgłą wieczorną, owiewał  
nastrojem smutku i  
melancholii całą jej wyniosłą

postać. Czarna, obcisła polonezja i krucze włosy, gładko  
rozczesane nad czołem,

podnosiły bardziej jeszcze bladość jej twarzy i rąk prawie  
przejrzystych. Stała  
na progu i niespokojnym wzrokiem wodziła po pokoju,  
uderzyła ją bowiem złowroga  
cisza, która tu w tej chwili panowała.

Adaś, usłyszawszy szelest jej wejścia, podniósł powieki,  
uśmiechnął się z  
niewypowiedzianą miłością i wyciągnął ku niej rękę.

Podeszła, podała mu dłoń  
swoją, a on ją chwycił i okrywał gorącymi pocałunkami.

— Matko, mówił, — najdroższa moja, najlepsza moja  
mateczko, cokolwiek bądź się  
zdarzy, ja cię nigdy kochać, nigdy wielbić, jak świętość, nie  
przestane.

Pani Ewa trwożliwe, pytające spojrzenie zwróciła ku mężowi.

On załamał

rozpaczliwie ręce, aż palce w stawach zatrzeszczały i z udaną  
wymówką w głosie  
narzekał.

— Tak dziś Adaś rozegzaltowany, że się z nim po ludzku  
dogadać nie można..

Matka zaniepokojona zaczęła wypytywać syna, czy mu nie  
gorzej, czy gorączka się  
nie podniosła. Sprawdziła czy opatrunek na rękę się nie  
obsunął, poprawiła  
poduszki pod głowę i biadała pocziwie.

— Oj wy, wy chłopaki, co ja się przez was namartwię. Żeby  
przez taką

nieostrożność nabawić mię tyle strachu i strapienia. Co ja łez przez te parę dni wylałam. Mój Boże. Teraz przynajmniej niebezpieczeństwo minęło, to mogę swobodniej o tem pomyśleć, ale z początku doktor jakoś brzydtko głową kręcił i kiedym pomyślała, że ci mogą rękę odjąć, to mnie śmiertelny dreszcz przechodził.

Oh te figle, te figle z bronią!

Adaś wziął znowu rękę matki i, patrząc jej rzewnie w oczy, pytał.

— Matko, powiedz: ty nie jesteś szczęśliwa?

— Szczęśliwa? Moje dziecko — odparła — któż jest bezwzględnie szczęśliwy na tym świecie. Ja jestem szczęśliwa, bo wy mnie kochacie.

— Matko, powiedz — nalegał chłopak — wszak prawda, trzeba, żeby ojciec z nami zamieszkał? Koniecznie trzeba — powiedz tak, powiedz!

— Moje dziecko, gdyby ojciec mógł, to niezawodnie nie kazał by się prosić —

odrzekła — Oh, gdyby tylko mógł...

— Musi, musi — wołał z mocą Adaś — bo może się stać coś okropnego.

Przyrzekam wam — mówił jakoś głucho, ale bardzo solennie pan Zbigniew — przyrzekam urządzić

swoje sprawy tak, ażeby w niczem nie narażać was na przykrości. — Przysięgam wam na wszystkie świętości.

— Zamieszkasz z nami ojczy? spytał syn. Pan Zbigniew nie odrzekł nic — ale schylił głowę, jakby na znak potwierdzenia. Pani Ewa z radością zawołała.  
— Oh, oby jak najprędzej!

## XX

Pan Zbigniew wracając z Krakowa obmyślał plan wyjścia z ciężkiego położenia, a raczej plan uwolnienia rodziny od koniecznych przykrości. Plan ten był istotnie rozpaczliwy, ale, o ile mu się narazie wydawało, jedynie rozwiązujący trudne kolizje w sposób ostateczny. Długi niezmiernie okres życia, calu lat dwadzieścia ubiegło mu na zmuśnieniu, misternem wznoszeniu sztucznego gmachu szczęścia rodziny, na grzązkim gruncie kłamstwa, udawania i pozorów. Ginach ten zarysował się u podstaw i grozi nieuniknionym upadkiem. Dwadzieścia lat życia rozdwojonego, pełnego ciągłych obaw, wyczerpujących zabiegów, kłamanych słów, min i gestów, ciągłego maskowania się, ciągłych wysiłków mózgu i woli, ciągłych konfliktów z sumieniem, cią-

głej konspiracji, ciągłej baczności denerwującej, ciągłego „czuj duch” wobec niespodziewanych pytań, zdarzeń, spotkań i wszelkich ewentualności, wyczerpały go ostatecznie i do głębi. Narazie zdawało się, że ma za sobą szczęśliwe losy, przyjaźnie usposobione dla wielkiej miłości dwojga serc, przeznaczonych dla siebie, którym twarde prawa ludzkie stawiały nieprzeparte przeszkody, że traf ślepy podsuwa dobrotliwie sposoby uniknięcia fatalnych następstw nielegalnego jakoby związku. Była istotnie chwila, kiedy oboje wierzyli, iż jakieś łaskawe a potężne bóstwa opiekują się ich związkiem serdecznym, ażeby nie ponieśli kary za czyny, płynące jedynie z głębokiego, szczerego, świętego niemal uczucia. Teraz widzi, że wszystko składało się na to, ażeby wytworzyć wreszcie sytuację bez wyjścia, jak najbardziej trudną i zawiłą, ażeby się zemścić okrutnie i bezlitośnie — zemścić się na dzieciach. Dziś syn jego, człowiek już najzupełniej świadomy rzeczy ludzkich, człowiek o wyrobionych pojęciach godności, honoru, czczący matkę swą jak świętość niepokalanej czystości, stawia mu pytanie, na które odpowiedź prawdziwa była by okrucieństwem niesłychanym.

— Nie, raczej śmierć!

O, jakże przekłete są te pozorne uśmiechy losu, jakże  
zwodniczą była mniemana  
jego życzliwość! Tem okropniej mści się teraz straszliwa  
konieczność, tem  
bezwzględniej uderza i miażdży.  
Jakże, inaczej przedstawiał sobie przyszłość, kiedy  
okoliczności zaczęły mu się  
układać pomyślnie, kiedy miłość swą otoczył misterną tkanką  
przemądrych obliczeń  
i niby gęstą zasłoną oddzielił od świadomości osób trzecich.  
A rzeczywiście układały się one bardzo szczęśliwie.  
Bardzo już był zrozpaczony i istotnie gotów na  
najbrutalniejsze bodaj zerwanie z  
legalną swą żoną, kiedy otrzymał od Ewuni ów list fatalny,  
zwiastujący nadzieję  
blizkiego macierzyństwa. Przypomniała mu się scena na  
polowaniu. Zapewne było  
już zapóźno, ażeby uniknąć całkowicie tego, co w pojęciu  
ludzkim skandalem się  
nazywa, ale przecież na przyszłość zapewniłby matce swych  
dzieci niezawodnie  
nazwisko i egzystencję legalną. Nieszczęsny wyjazd za  
granicę i pozorne  
ulegalizowanie urodzin dzieci, ulegalizowanie, które przyszło  
tak łatwo i bez  
wysiłku, usunęło znowu na czas dalszy konieczność rozvodu  
z pierwszą żoną.

Już to Zbigniew zawsze, jak zresztą większość ludzi, wybierał  
drogi

najmniejszego oporu i uparcie wmawiał w siebie, że są one zarazem najbliższe celu choćby krytyczny sąd rozumu narzucał przeciwne poglądy. Chwytał chętnie pierwszą zdarzoną sposobność wywinięcia się narazie z drażliwej sytuacji, choćby to wywinięcie się mogło zgotować w przyszłości cały szereg bardzo niepożądanych komplikacji.

Ot, i wtedy kiedy pani Ewa złamawszy nogę, nie mogła jechać z mężem za granicę, Zbigniew mając w kieszeni paszport, wystawiony na swoje i żony imię, postanowił zabrać ze sobą Ewunię. Pani Ewie na myśl nie przyszło zajrzeć do dokumentu ligitymacyjnego męża i bodaj na chwilę przypuścić, że mogli by mu robić na granicy trudności, dla czego jedzie sam, skoro papier wydany jest w urzędzie dla dwojga małżonków. Daleka również była od podejrzeń, że może on zabrać zamiast niej jaką inną kobietę. O Ewuni nie myślała już nawet. Mniemany wyjazd jej gdzieś w świat daleki, jako damy do towarzystwa, uspił oddawna wszelkie niepokoje. Pobyt dziewczyny w Warszawie i stosunki jej ze Zbigniewem tak ścisłą okryte były tajemnicą, tak szczęśliwie prze-

chowowaną, że jeden jedyny wypadek nie zdradził ich dotąd i nie obudził



czujności zdradzanej żony. Pani Ewa przytem, zatrwożona  
złym stanem zdrowia  
męża, mocno wierzyła w potrzebę wyjazdu tego, jako  
jedynego ratunku w groźnym  
położeniu i z przyjemnością niemal wmawiała w siebie, że  
ofiara swej tęsknoty  
okupuje przyszłe zdrowie ukochanego męża.  
Zbigniew z paszportem w kieszeni, znając całą doniosłość  
podobnego dokumentu,  
uplanował odrazu w szczegółach wspólny wyjazd z kochanką.  
Przewidując wszelkie  
możliwości, z góry ubezpieczał się przed niemi. Miał zamiar  
przedewszystkiem  
niedawać nigdy żonie istotnego swego adresu, ażeby uniknąć  
jakich niewczesnych  
odwiedzin kogoś z krewnych lub znajomych; z góry  
nawiazywał całą sieć  
konspiracyjnych węzłów za pomocą których miał zamiar  
zmylić wszelką pogoń,  
zaprzeczyć wszelkim pogłoskom o sobie, gdyby miały  
kiedykolwiek dotrzeć do  
nieborowickiego dworu.  
W pierwszym rzędzie więc, jak się już o tem mówiło, tuż obok  
żony w majątku,  
zajął ważną placówkę wierny Mączyński. Nie miał on  
wprawdzie sprytu i zdolności  
agenta śledczego, ale

niezmiernie głęboko wziął do serca dyskretne zobowiązania  
względem pana i z

najwyższym wyteżeniem uwagi pilnował się, ażeby w czymkolwiek nie zdradzić jego zaufania.

Jakkolwiek sam osobiście odbierał z poczty całą korespondencję dla Nieborowic, nie mógł oczywiście odpieczętowywać listów przysłanych, choć oglądał je zawsze z wielką podejrzliwością, natomiast listy pani adresowane do męża w Wiedniu, w zakładzie kuracyjnym, ubierał w drugą kopertę i z nadzwyczajnym mozołem przekopjowywał na niej wielkimi koszlawemi literami, zmieniające się ciągle adresy pana swego, po niemiecku, francusku lub włosku, które mu Zbigniew z różnych stron świata poufnie nadsyłał. Klął pocziwy gajowy ową pieską gwarę cudzoziemską, że to człowiek językby se połamał, zanimby jedno słowo wymówił, ale przepisywał nazwy miast i ulic tak wiernie, że nigdy jednej litery nie brakowało, a listy dochodziły jak najdokładniej. W Wiedniu znowu Zbigniew za sute wynagrodzenie umówił sobie starszego dozorcę w zakładzie kuracyjnym, gdzie miał się jakoby leczyć i ten miał obowiązek na listach przysłanych sobie przez Zbigniewa nalepiać markę austryjacką i wrzu-

cać w Wiedniu do puszeki pocztowej. I tak całą korespondencję mężowską pani Ewa

odbierała ze stemplem wiedeńskim, pomimo, iż on sam  
podróżował z kochanką po  
całej Europie. Dla tego też choć czasem utrzymywał ktoś w  
okolicy, iż widywał  
pana Zbigniewa w jakimś, dajmy nato, Ems lub Florencji pod  
rękę z ładną  
kobietą, słowa jego nie znajdowały wiary, bo pani Ewa w tych  
czasach właśnie  
miała pismo z Wiednia, w którym mąż skarży się na,  
przewlekając się ciągle,  
chorobę i na nieznośny system kuracji. Miał on polegać na  
zupełnym wypoczynku w  
ciemnym pokoju, co pociągało za sobą przerażające nudy i  
tęsknotę  
niewypowiedzianą. Pani Ewa litowała się nad mężem i  
odpowiadała w słowach  
pełnych współczucia, miłości, zachęty do wytrwania.  
— „Poddaj się cierpliwie kuracji, a Bóg da, że zdrowie  
powróci znowu.—Taki  
jeszcze jesteś młody i pełen sił żywotnych”.  
Zbigniewowi listy te sprawiały jakąś złą radość. Śmiał się  
sarkastycznie z  
czułości tej starej znienawidzonej kobiety, cieszyło go to, że  
teraz, kiedy,  
poraż pierwszy może w życiu czuje się naprawdę szczęśliwy,  
pijąc pełnym haustem  
z czary rozkoszy użycia, mając przy boku ukochaną, z któ-  
  
rą z całą swobodą idzie przez jasny, słoneczny świat boży,  
wywołuje dla siebie

litość w sercu tamtej. Było w tem coś z owej radości niewolników, których cieszą cierpienia ich panów. Zbigniew jednak nie zdawał sobie dokładnie sprawy, na ile uczucie to jest małe i poziome, ale oddawał mu się z całą jakąś naiwną szczerością. Głębiej i subtelniej rozumiała to Ewunia i właśnie, w chwilach tych nagłych wybuchów wesołości, czoło jej zasepiały smętne dумы, oczy zachodziły mgłą łzawą.

Z Warszawy wyjeżdżali z uczuciem złoczyńców, uciekających przed mściwą ręką sprawiedliwości.

Na stacji jeszcze przewidziane były wszelkie możliwe środki ostrożności.

Pońkowski, wierny swym ideałom romantycznym, i gotów do najwyższych poświęceń dla zasady, ażeby szczerą miłość tryumfowała, zreknął najprzód sytuację.

Chodziło o to, czy kogoś ze znajomych niema na dworcu.

Zbigniew i Ewunia

trzymali się tymczasem osobno, zdała od siebie. Pońkowski kupił im bilety wprost do Wiednia, zamówił przedział w wagonie, wyekspedjował bagaże i przeprowadził do wagonu każde z osobna. W prze-

dziale zacisnęli się w poduszki, ażeby ich kto przez okno nie dostrzegł.

Pociąg ruszył — wyjechali niepostrzeżenie. W drodze przecież obawiali się ciągle spotkań, unikali więc zbliżania się do okna. Na stacji, do której dojeżdżało się z Nieborowic pociąg, jakim jechali nie zatrzymywał się, zwalniał jednak trochę biegu. Oboje ciągnęci jakąś nieprzepartą potrzebą ujżenia stron, gdzie miłość ich się zaczęła, stanęli w oknie przytuleni do siebie. Mignął jak zjawisko budynek stacyjny, mignęła postać zawiadowcy w czerwonej czapce, ale ten snąc spostrzegł i poznał Zbigniewa, bo z przyjaznym uśmiechem przyłożył rękę do daszka. Odskoczyli od okna jak oparzeni. — Cóż za nieogłędność — wyrzucał sobie Zbigniew. Ale znowu z drugiej strony, pocieszał się, — zawiadowca nie może być pewny co do osoby, widząc nas w tak szalonym ruchu. Jeszcze bardzo przykrą chwilę mieli do przejścia na stacji Granica. Zmuszeni do opuszczenia wagonu i przeszło półgodzinnego oczekiwania między mnóstwem podróżujących, doznali prawdziwego piekła niepokoju. Trzymali się znowu osobno i, jak się okazało, ostrożność ta nie była zgołą

zbyteczną. Zbigniew spotkał na stacji jednego z dalszych wprawdzie, ale bądź co

bądź znajomych dobrze sąsiadów, który przywitawszy się z nim kordyalnie, obiecał uwiadomić przy zdarzonej sposobności "panią dobrodziejkę" w Nieborowicach o tym "szczęśliwym trafie".

Dopiero, kiedy po załatwieniu formalności zwrócono im paszport, doznali niewypowiedzianej ulgi.

— Pańskie nazwisko?

Zbigniew wymienił je. Funkcjonariusz wyszukał w księdze jego legitymacje i porównywał rysopis z osobą.

— Pani jest żoną pańską?

— Tak—odparł Zbigniew.

Oddano im paszport bez żadnych zastrzeżeń. A kiedy się drzwi przedziału

zatrzasnęły. Zbigniew chwycił nagle towarzyszkę w objęcia i wołał wesoło.

— Słyszysz, jesteś moją żoną. Moją żoną!

I rozradowany całował jej ręce i usta.

— Moja żona!

Potem w hotelach z jakimś dziwnym naciskiem wymawiał to: z żoną. Herr und Frau

von Piontnicky, meldowano ich wszędzie, a on powtarzał jej na ucho po polsku:

— Piątnicki z żoną.

I cieszył się tem jak małe dziecko. Nie podzielała tych uciech Ewunia, lecz

przeciwnie w najwyższej obawie, z całą świadomością kłamliwej pozycji, w jakiej

się znajduje, powtarzała.

— Boże, Boże, jak to się skończy, jak to się skończy!?

Zapadała często na

dłuższy czas w smutną zadumę i najszaleńsze wybryki  
wesołości Zbigniewa nie były

wstanie jej pocieszyć. Zbliżająca się chwila macierzyństwa  
przerażała ją

okropnie. Czuła przecież doskonale, że owo pozorne  
małżeństwo, przyjmowane z

szacunkiem należnym przez służbę hotelową, nie wystarczy,  
ażeby zapewnić

legalność dziecięciu, które się ma narodzić. Że nieszczęsna ta  
istota przyjść

musi na świat ze strasznie piętnem nieprawego pochodzenia i  
dźwigać je przez

całe życie wśród mąk i prześladowania. Myśl ta straszna  
mąciła poczciwej

kobiecie każdą chwilę zabawy i próżno Zbigniew wysilał się  
na wynajdywanie coraz

nowych rozrywek. On sam był jaknajlepszej myśli, jakby to  
kłamstwo, które na

każdym kroku popełniał, wystarczało za najszczerzą  
rzeczywistość, jakby ten

paszport fałszywy uśpił całkowicie wszelkie niepokoje  
sumienia. Bawił się

doskonale. Teatry, kon-

certy, widowiska, wycieczki następowały jedne po drugich.

Szastał pieniędzmi

szeroko, nie oglądając się na nic, jak desperat, pewny rychłej  
śmierci,

spieszący się z użyciem resztki dóbr doczesnych. Jeździli po Europie z miasta do miasta, zwiedzając galerje, muzea, osobliwości, aż wreszcie, kiedy stało się to zbyt uciążliwym dla stanu Ewuni, osiedli w Paryżu. Najłatwiej jest istotnie ukryć się w tem olbrzymiem mrowisku ludzkim i zachować wszelką swobodę ruchu. Urządzili sobie wygodny apartament w Passy, dzielnicy nieco oddalonej od' środka miasta, ale bardzo wytwornej i arystokratycznej i żyli tam we dwoje jak w zaświatach, a kiedy nadeszła chwila rozwiązania, Zbigniew zapewnił Ewuni tak staranną opiekę, jak gdyby była księżną udzielną. I przyszło na świat dziecko płci męskiej, któremu postanowiono dać imię Adam. Ojciec w towarzystwie dwóch sąsiadów, robotników z szóstego piętra, jako świadków, udał się do merostwa, ażeby zawiadomić urząd o przybyciu nowego obywatela. Tegoż jeszcze dnia wieczorem zjawił się z merostwa lekarz, dla sprawdzenia płci nowonarodzonego. Dnia następnego przyniósł Zbigniew

papier, stanowiący całkowitą metrykę urodzenia ich syna. Z dumą i radością podał go Ewuni.

— Masz, czytaj, czytaj! Czy może kto wobec tego zarzucić naszemu dziecięciu



nieprawość pochodzenia?

I zacierał wesoło ręce i chodził podniecony wielkimi krokami po pokoju.

Ewunia czytała:

BULLETIN DE NAISSANCE.

Nom Piontnicki

Prénoms Adam Jules

Né le Mars a Paris rue Rossini

Nr , inscrit le .

Fils () de Zbigniew

Profession capitaliste

Et de Eve Nikocka

Profession son épouse

Demeurant a c. d.

Délivré a Paris le Mars

l'Officier de l' Etat civil. (podpis)

Widzisz: son épouse — jego małżonka! Niema wątpliwości.

Na bladej twarzy kobiety wykwitł nieznaczny rumieniec, uśmiechnęła się smutno i poruszała głową wśród poduszek.

— Daj Boże, daj Boże, ażeby to nam i biedactwu temu nieszczęścia nie przyniosło!

Wszelkie kłamstwo wydaje się fatalnie.— Boję się kłamstwa, To się mści!

Ale Zbigniew tak był kontent, tak zachwycony podobnem załatwieniem sprawy, że, nie zważając na osłabienie chorej, chwycił ją za ręce i, okrywając je pocałunkami, wolał:

— Nie, nie, nie mów tak! Świat jest szeroki, dla syna naszego  
miejsca na nim  
starczy. Nie mów tak, nie patrz tak czarno, miłość nasza nie  
była występkiem.  
Miłość nasza jest święta i czysta — kłamstwo szlachetne i  
usprawiedliwione;  
kłamstwo to jest konieczne i dobroczynne. Nie bój się zemsty  
jakichś sił  
fatalnych, bośmy niewinni, bośmy cierpieli, bo się kochamy...  
I w uniesieniu szarpał ją tak silnie za ręce, że aż kobieta,  
pilnująca chorej,  
zrobiła mu uwagę.  
— Mais, monsieur, faites attention!  
Zbigniew upamiętawszy się, usiadł na fotelu  
i zaczął spokojniej już snuć plany przyszłego życia. Będzie  
przyjeżdżał co rok  
do Paryża na parę miesięcy, a przecież w końcu doczekają się,  
że...  
Słowo uwięzło mu w gardle.

Ewunia słuchała tych głośnych marzeń z przymkniętymi  
oczami, a na twarzy  
malowały się ból i rezygnacja. Ona żyć teraz będzie dla  
dziecka i przyjmie  
wszystko z odwagą, co losy jej zgotować zechcą.  
Od miesiąca już pani Ewa zaniepokojona, jakoby  
przedłużającą się nad miarę,  
chorobą męża, zarzucała go listami. Tego dnia odebrał list od  
Mączynskiego, że

dziedziczka, czując się już prawie dobrze z nogą, która się nadspodziewanie szybko zrosła, nosi się z zamiarem wyjazdu do Wiednia, chcąc zrobić mężowi przyjemną niespodziankę. Wiadomość ta musiała być dla Zbigniewa hasłem do odwrotu jaknajspiesniejszego. Dnia następnego zaraz dozorca zakładu leczniczego w Wiedniu wysłał do Nieborowic lakoniczny telegram: — Przyjeżdżam — Zbigniew.

## XXI

W dwa lata później Zbigniew Piątnicki przedstawiał w tamże samem merostwie drugiego swego syna, któremu na imię dano: Henryk. Przyniósł z urzędu papier świadczący o legalnem urodzeniu dziecięcia i oddał go matce, ale już bez tych oznak radości, bez wybuchów czułego uniesienia, jakimi przyjął pierworodnego. Nieznośne rozdwojenie w życiu, zaczęło mu już ciężyc i wyczerpywać do ostateczności. Czuł się zmęczonym, osłabionym, tracił humor, dzielność i odporność. Skarżył się, że wśród ciągłych strapień i kłopotów już poprostu „na nos utyka”. Rzeczywiście utrzymanie drugiego domu w Paryżu kosztowało ogromne sumy,

zwłaszcza, że miał on sobie za punkt honoru, ażeby rodzinie,  
którą założył, na  
niczem nie zbywało i choć Ewu-

nia bynajmniej tego nie wymagała i zgodziłaby się chętnie na  
najskromniejsze  
utrzymanie — otoczył ją niemal przepychem. Piękny  
apartament, służba tak droga w  
Paryżu, wykwintny stół i często powóz do wyjazdu na  
spacery, pochłaniały  
całkowity dochód z domu w Warszawie. A dom ten już  
przedtem obciążony był  
poważnie długami, zaciągniętymi na ową podróż niezmiernie  
kosztowną, którą  
Zbigniew nazywał swoją podróżą poślubną. Stąd coraz  
częstsze trudności  
pieniężne, ciągle interesa z żydami, sprzedaże, pożyczki,  
dysconta. Pani Ewa,  
bojąc się o całość swej ziemi dziedzicznej zaczęła uważniej  
jeszcze wnikać w  
rachunki męża, śledzić i kontrolować jego wydatki, zwłaszcza,  
kiedy się  
dowiedziała od służby, że Zbigniew pozakładał bez jej wiedzy  
poręby w lasach  
nieborowickich i sprzedaje żydom najpiękniejsze sztuki  
starodrzewiu. Zbigniew  
przyparty do muru, zmuszony tłumaczyć się ze swych  
wydatków, przyznał się  
rzekomo do znacznej przegranej w karty. Szukając pozoru  
wymyślił całą historję o

licznem towarzystwie w zakładzie kuracyjnym w Wiedniu,  
gdzie się leczył, które  
dla spędzenia nudów oddawało się wysokiej grze  
hazardowej. I jego też

wciągnięto do ogólnej zabawy, a że towarzystwo składało się  
przeważnie z ludzi  
bardzo bogatych, grano wysoko, więc i rezultaty bywały  
znaczne. Jemu szczęście  
nie służyło, przegrał kilkakrotnie sumę dużą, musiał zatem  
ratować się kredytem.

Starodrzew kazał wyciąć, gdyż uważał to za stosowne dla  
dobra gospodarstwa  
leśnego, gdyż lasy nieprzecinane butwieją i gniją  
bezpowrotnie.

Pani Ewa uwierzyła prawdopodobnie całkowicie w historję  
gry hazardowej, ale jej  
się to bynajmniej nie podobało. Mniej jeszcze trafił jej do  
przekonania argument  
co do rąbania lasu, dlatego też wyrodziła się w niej od tego  
czasu nieufność do  
męża.

Ofiarą zajścia tego o mały włos nie padł Mączyński.  
Posądzony i przekonany o współdziałanie z panem w sprawie  
poręb w tajemnicy  
przed panią, miał już postradać posadę, ale Zbigniew, któremu  
prócz przyjaźni  
rzeczywistej, jaką miał dla swego leśniczego, chodziło jeszcze  
o utrzymanie go  
na ważnym posterunku przy poczcie, postawił się bardzo  
ostro, robiąc z tego

kwestję wspólnego pożycia.

— Nie chodzi mi o człowieka tego w danym razie, mówił twardo, choć byłoby to rażącą niesprawiedliwością, gdyby był ukarany za to tylko, że spełnił wiernie rozkazy swego pana. Tak pani — swego pana! Bo właśnie chodzi tu o mnie.

I oświadczam, że nie zniosę tu takiej kurateli nad sobą. Jeżeli mnie, jako mężowi, niewolno jest ścinać drzewa w lesie, gdzie uważam za stosowne, zasiać, gdzie będę uważał za najwłaściwsze, to pożycie wspólne nasze jest niemożliwe.

Nie jestem żakiem.

Pani Ewa słuchała słów tych z podziwem i pewnem przerażeniem, gdyż dotąd mąż nie odzywał się do niej nigdy w podobny sposób. Owszem, wiele razy była mowa o sprawach majątkowych, okazywał zawsze najwyższą bezinteresowność, a nawet coś w rodzaju nieśmiałości. Kiedy opatrzyli się oboje, że dzieci już prawdopodobnie mieć nie będą, pani Ewa postanowiła cały majątek zapisać mężowi. Wybierała się kilkakrotnie do gubernialnego miasta do rejenta, ale jakoś to schodziło.

Zbigniew nie nalegał, przeciwnie zbywał sprawę tę żartami i pieszczotami.

— Niema nic pilnego, moje złoto, poczekajmy, może to się okazać niepotrzebne.

Teraz na poparcie swych praw do zarządu majątkiem przypomniawszy jej to.

— Przypomnij sobie—ciągnął. — Były chwile, że gdybym był jedno słowo, jak to mówią, pisał, byłabyś mi cały majątek zapisała i ja byłbym tu panem

niepodzielnym. Ale ja nie wymagałem tego, wiesz najlepiej. Pani Ewa trochę tem skruszona przerwała:

— Zapis mogę jeszcze zrobić w każdej chwili.

Rozmowa skończyła się na tem zdaniu. Oboje niedopowiedzieli swych myśli.

Zbigniew byłby już dziś nie protestował, ona w tej chwili właśnie przestraszyła

się tej żyłki hazardu, do której się przyznał i widziała już swoje Nieborowice

zaprzepaszczone w niegodnych rękach. Żałowała, też słów swoich, Zbigniew jednak

nie napierał. Zapis do skutku nie przychodził.

Nastąpiła epoka drobnych ustępstw ze strony dziedziczki.

Zbigniew, przyznawszy

się raz do namiętności gracza, coraz częściej tem tłumaczył straty większych lub

mniejszych sum pieniężnych.

Niedługo w sąsiedztwie uznano go za zdecydowanego karciarza, który ciężki grosz

wywozi z kraju do zagranicznych szulerni. On sam nie zaprzeczał wieściom, gdyż

mu z tem było wygod-

niej, siadał owszem chętnie i w kraju do zielonego stolika i ogrywał najczęściej sąsiadów.

— Nie bójcie się — mówiła szlachta — odbiorą mu naszą krwawicę różne wiedeńskie i paryskie greki.

## XXII

Wydatki się zwiększyły, a za nimi i kłopoty, jak się wyżej rzekło. Wezwany listownie przez Ewunię, jechał Zbigniew po raz wtóry już w tym roku do Paryża. Wyjazd ten wypadł mu ogromnie nie na rękę; przerywał mnóstwo rozpoczętych interesów, przeszkodził w przeprowadzeniu bardzo korzystnej transakcji o dostawę buraków cukrowych, pozatem niezmiernie trudno mu było upozorować go przed żoną i otoczeniem. Oddawna już dopytał się o jakiegoś dalekiego kuzyna na południu Francji, który miał tam podobno obszerne winnice. Wszedł z nim już nawet w korespondencję, ażeby ewentualnie zastawić się nim w razie konieczności odbycia dłuższej podróży. Wymyślił jakiś przedawniony proces familijny, który mieli wspólnie z kuzynem prowadzić. Mówił jednak



o tem wszystkim tak niejasno, tak się plątał w określeniach  
rodzaju sprawy, że  
bynajmniej nie wzbudzał wiary. Jeszcze mniej  
prawdopodobnym wobec tego wydał się  
pośpiech z jakim się w podróż tą wybierał. W umyśle pani  
Ewy zrodziło się tedy  
podejrzenie, iż opętany manją hazardu wybiera się do  
Monaco, starała się go więc  
wszelkimi sposobami, prośbą i perswazją zatrzymać.  
Doprowadziło go to do  
rozpaczy. Ewunia nagliła o jaknajrychlejszy przyjazd.  
— Gdybyś się spóźnił — pisała — niewiem nieszczęsna  
jakbym sobie poradziła z  
dzieckiem, które lada dzień ujrzeć może światło dzienne.  
Przyjeżdżaj,  
przyjeżdżaj koniecznie. Umieram ze strachu.  
Wobec powyższego niepodobna było się wahać dłużej.  
Zbigniew wziął paszport,  
spakował się i oświadczył żonie, że jechać musi natychmiast  
i wyjechał narażając się na wszelkie podejrzenia.  
W drodze jednak towarzyszyło mu usposobienie  
nienajweselsze. Był niekontent ze  
siebie, że tak niezręcznie zbudował bajkę, mającą  
zamaskować przyczynę wyjazdu;  
był zły, że musiał przerwać interesa i wreszcie czuł, iż go już  
tak nie ciągnie  
bezwzględnie do tej ukochanej, jak to

dawniej bywało. Czy to, że wielka ich gorąca miłość ochłodziła z czasem, zwietrzała jej zapach czarowny, przycichło z wiekiem krwi namiętne pulsowanie, czy też, że poprostu przeniósł się punkt ciężkości ukochania. Jedzie spokojny, zrównoważony.

Już wyobraźnia nie szaleje halucynacjami niewypowiedzianych rozkoszy, jakie czekają go u ukochanej; już nie szuka wyobraźnią jej ust czerwonych, pełnych, namiętnych, nie dotyka lotną myślą okrągłych atlasowych piersi, nie bierze jej w ramiona drżącej ze szczęścia, omdlewającej z zachwycenia.

Widzi ją nachyloną nad łóżeczkiem dziecka, śpiewającą rzewną kołysankę. Jest cicha, spokojna, jasna jakaś w tej swej macierzyńskiej miłości — jest inna. Jest kochaną ciepłem przywiązaniem matka jego dziecka.

Dziecko!

Już w czasie ostatniego pobytu w Paryżu czuł, iż dziecko to jakby rozdzieliło ich zmysłowo. Nie — raczej przemieniło oboje do gruntu, przemieniło ich uczucia w sposób zadziwiający. Czuł, że miłość swoją dzieliła między nim a Adasiem, którego z ręki nie spuszczała. Nie, — raczej uczucie dawne zniknęło gdzieś, a natomiast zjawiły się dwa inne, odmienne zupełnie ukochania. Nie był przecież

zazdrosny o Adasia, którego ona na łonie swym trzymała, a jednak zdawało mu się, że malec stanął między niemi i nie wolno mu jej objąć tak, jak wtedy, kiedy dziewczącą brał w ramiona. Nie, kocha ją stokroć więcej, mocniej — kocha matkę swego dziecka. Analizując owo kochanie widzi tam rzewność jakąś, przywiązanie, obowiązek. Obowiązek wobec pokoleń — stary dług człowieka.  
— Jakto! więc tylko obowiązek? pytał siebie. Więc już tylko poczucie obowiązku wiedzie mię do niej? Wielka nieokiełzana, bezwzględna namiętność uleciała nazawsze. Nie pożądam jej już całą potęgą pragnień, jak dawniej. Tak, tak, skończyło się przekłete omanienie zmysłów. I nagle uczul ogromną pogardę dla siebie a zarazem zjawiła się bezbrzeżna, niewypowiedziana litość dla Ewuni, dla tej kobiety, która poświęciła dla niego wszystko, która oddała mu się cała piękna i szlachetna, która dla jego chwilowego kaprysu niewahała się poświęcić czci niewieściej, narazić się na straszną, prześladowaną sytuację matki niezamężnej — matki dzieci nieprawych. Z najwyższym wyrzutem myślał o tem, że wobec tej kochającej, pełnej poświęceń i bezinteresowności kobiety postępował dotąd małodusznie, że pozwolił

fatalnemu biegowi okoliczności doprowadzić się do  
ostateczności życia w  
ustawicznym fałszu. Cała miłość jego gorąca, namiętna,  
nieposkromiona wydała mu  
się obecnie jako fantastyczna igraszka krwi wzburzonej. Ten  
pierwszy pocałunek w  
ustronnym zakątku nieborowickiego parku niebacznym,  
lekkomyślnym krokiem, który  
wkłada nań twardy, nieodwołalny obowiązek na całe życie,  
który niby ciężkie  
jarzmo mulać mu będzie kark do końca dni żywota jego.  
Obowiązek! Słowo to, pojęcie słowa tego, zaczęło przybierać  
jakieś potworne,  
straszne kształty. Rosło, olbrzymiało do przerażających  
rozmiarów,  
przechodziło niebotyczne wierzchołki gór, sięgało zenitu  
sklepienia  
niebieskiego, rozpierało je, a potem chylić się zaczynało na  
jego barki. Czuł  
niewypowiedziany ciężar na ramionach, gniotło go ono,  
miażdżyło, ale postanowił  
nie usuwać się, przyjąć całe brzemień na siebie i bodaj zginać  
pod ciężarem jego.  
— Nie — wołał — to mój obowiązek. Czego nie zrobiło ślepe  
roznamiętnione  
uczucie, czego nie zrobiły niepojęte pragnienia sentymentalne  
serca, rozpalone  
pożądaniem zmysły, tego dokonać musi trzeźwe, zimne,  
stanowcze poczucie  
obowiązku.

Ostatni raz przekradam się, jak przemytnik do tej, przy której  
stanać powinienem  
w dzień biały, przy blaskach jasnego słońca, wobec świata  
całego.

Tamte więzy zerwane być muszą, bo tam nie ciąży taka  
wielka, nieodparta  
odpowiedzialność, wobec przyszłych pokoleń, taki wielki, taki  
niezmierzony  
obowiązek!

Umocniony w tem przekonaniu, przyjechał do Paryża. Był  
spokojny i zrezygnowany,  
jak skazaniec, który przyjmuje bez szemrania surowy, lecz  
sprawiedliwy wyrok  
sądu.

— Zasłużyłem na to, co mię spotyka. Na wstępie powitał żonę  
oznajmieniem.

— No, niedługo już zejdziemy się na zawsze. Ostatni raz  
przekradam się do ciebie  
tak po złodziejsku. Już się ta cała obrzydliwość skończyła.  
Ewunia nie śmiała pytać, otworzyła tylko szeroko oczy i stała  
z zapartym  
oddechem.

— Obowiązek względem dzieci — tłumaczył Zbigniew- jest  
świętszy ponad wszystko i  
poczucie to zmusza mię ostatecznie i decydująco do  
uregulowania tej sprawy.

Byłem słaby, rządziłem się dotąd sentymentami, uczuciem.  
Wybuchalem, jak student  
zakochany, a nie miałem dość siły, ażeby się skoncentrować,  
skupić, ażeby  
przesię-

wziąć akcję prawdziwie mężką, jakiej odemnie wymaga  
obowiązek. To, co obecnie  
przedsięwzię, jest wynikiem zimnej rozwagi i tego głębokiego  
poczucia, com  
winien wobec ciebie, wobec tego dziecka, które już żyje, i  
tego, które niedługo  
na świat przyjdzie. Rozumiem dobrze, jakie mię trudności  
czekają, że sprawa  
będzie długa i uciążliwa, ale właśnie dla tego wszcząć ją  
należy natychmiast,  
ażeby się ukończyła zanim dzieci przyjść mogą do  
świadomości i zapytać: „jak  
śmieliście dać nam życie w podobnych warunkach?”  
Był ciągle poważny, zamyślony, posepny nawet i kiedy  
nastąpiło oczekiwane  
rozwiązanie, załatwił formalności w urzędach jak się rzekło,  
już bez wszelkich  
znak radości.  
Poczucie obowiązku, który spełnić powinien, stłumiło w nim  
odgłosy innych uczuć.  
Adaś chodził już o własnych siłach i zaczął gaworzyć jakimś  
dziwnym językiem, w  
którym mieszały się słowa polskie, zasłyszane od matki, słowa  
francuzkie,  
zdobyte w blizkiej zażyłości z „nounou”, rodowitą normadką i  
jakieś potworki  
mowy wytworzone całkiem indywidualnie w dziecinnej jego

Był to ładny, tłusty chłopak o prześlicznych jasnych, jak len włosach, ale w wielkich ciemnych oczkach malował się dziwny, jak u dziecka, smutek. Zbigniew brał go na kolana rozmawiał i pieścił się z nim całymi godzinami. Wtedy uczuwał w piersi przyływ wielkiej czułości i rzewnego przywiązania. Coś, jakby duma rodzicielska zalewała mu serce. Przyglądał mu się z miłością, gładził jasną główkę, i w duszy powtarzał sobie.  
— Moje, moje! Moja krew!  
I nagle łapał się na tem uczuciu i widział w niem egoizm i samolubstwo, karmił się więc surowo.  
— Nie wolno mi — wmawiał w siebie — folgować sentymentom dopóki nie dam im tego, czego odemnie wymaga obowiązek.  
Zsadzał dziecko z kolan i wracał do swych planów przeprowadzenia rozwodu z żoną.  
Pilno mu tak było do tego, że skoro tylko Ewunia wstała z łóżka i zaczęła się krzątać po pokojach, pożegnał ją i wracał do kraju.  
Pojechał przedewszystkiem do Warszawy i udał się do jednego z najsłynniejszych adwokatów od spraw rozwodowych.

W poczekalni pana mecenasa rojno było od kobiet, które tu oczekiwały audiencji. Wszystkie były podniecone, rozdrażnione, z wypiekami na policzkach. Niektóre

popłakiwały po cichu. Zbigniew siadł w kącie wielkiego salonu i obserwował zebrane panie. Uwagę jego zwróciła dama w podeszłym wieku, siwa już i o twarzy pomarszczonej, na której przecież znaczyły się ślady dawnej niepospolitej urody.

Rozmawiała głośno, mocno gestykulując, z młodą kobietą, zapłakaną, przybitą i przygnębioną.

— Moja pani—mówiła z goryczą — poco się pani ludzi? Szuka pani sprawiedliwości u ludzi— wierzy pani, że rozwód dadzą, że uwolnią panią od tego okropnego

tyraństwa. Et, lepiej machnąć ręką na wszystko i zdać się na łaskę boską. Ot, i

ja, widzi pani, byłam młoda, kiedym zaczynała proces rozwodowy, byłam podobno ładna i umiałam się podobać, mogłabym być jeszcze szczęśliwa i co? Separacji

nawet nie mogłam uzyskać. Ciągnie to się, ciągnie latami, zaszłam w starość...

E, proszę pani—kończyła—żeby nie to, że zmuszają mię żyć z takim okrutnym

zwierzęciem, że pies by nie wytrzymał, dawno bym się wyrzekła wszelkich nadziei

dla siebie... A co to kosztowało,

co to kosztuje jeszcze ciągle, i żeby stąd jaka pociecha...

Lokaj poprosił towarzyszkę jej do pokoju mecenasa. Siwa pani, nie mając z kim



rozmawiać, zwróciła się do Zbigniewa.

— Pan także rozwodzi się — proces? Zbigniew dał odpowiedź wymijającą. Strzepnęła rękami.

— At — lepiej odrazu kamień młyński do szyi zawiązać... Rozwód ho ho!! Młoda byłam, podobno przystojna, miałam szczęście do ludzi...

Patrz pan, co się ze mną stało — stara baba! I nie, chodzi to po wszystkich

instancjach, wlecze się, ciągnie... A to zwierz panie, zwierz dziki,

barbarzyńca, brutal, pijak!.. Com ja wycierpiała, com ja wycierpiała...

Pani widocznie lubiła mówić o swych bólach i szukała dla nich współczucia, bo

widząc obojętność i brak zainteresowania się jej sprawami na twarzy Zbigniewa,

zwróciła się nagle do nowowchodzącej damy.

— Paniusię to ja już widziałam kiedyś w konsystorzu. Mój Boże, co to się

człowiek nawyciera po tych sądach, kancelariach, poczekalniach

adwokackich, co to się nałyka wstydu i upokorzeń przy tych indagacjach,

pytaniach, śledztwach. Byłam jeszcze młoda i podobno przystojna, kiedy

rozpoczęłam kroki rozwodowe, mogłam jeszcze wyjść świetnie zamąż, miałam nawet,

nie chwaląc się, wcale ładne widoki i cóż? Po tylu latach?...

Czego ja się już

mogę spodziewać? Żeby chociaż uwolnili mię od tego  
zwierzęcia na resztkę dni  
moich. Pani nie ma pojęcia co to za zwierzę. Ściga mię  
wszędzie, gdzie się  
ruszę. Nie chce dać paszportu...

Adwokat szybko załatwiał się ze swemi klientkami, bo oto  
przyszła kolej na  
gadatliwą panią, a wkrótce potem wprowadzono Zbigniewa  
przed oblicze pana  
mecenasa.

Adwokat z przedziwną łatwością ujął istotę sprawy. Zadziwił  
poprostu Zbigniewa  
zdolnością szybkiego orjentowania się w szczegółach jego  
opowieści. Podchwytywał  
wlot myśli i dopełniał je krótkim lakonicznym określeniem,  
lub jednym słówkiem:  
rozumiem. Wysłuchawszy do końca, wydał usta i mówił  
wolno, ważąc każde słowo,  
jakby w obawie, żeby jednego bodaj za wiele nie powiedzieć.

— Nie chcę pana łudzić Rozwodu kościół katolicki nie uznaje,  
jest natomiast  
unieważnienie małżeństwa, do czego wszakże potrzebny jest  
przynajmniej jeden z  
czterech zasadniczych punktów, uznanych przez kodeks  
matrymonialny.

— I mówił mu zresztą rzeczy, które Zbigniew znał  
dostatecznie, a chodziło mu  
przecież o wynalezienie czegoś innego, i dla tego właśnie  
zwraca się do uznanej  
znakomitości w danym zawodzie.

Pan mecenas uśmiechnął się zlekka i rozłożył szeroko ręce.  
— La plus belle fille... pan wie dalej. Cóż ja mogę?  
Protestanci uznają rozwód i  
mają aż dziesięć punktów, któremi w tych razach wojują.  
Gdyby szanowny pan  
przyszedł do mnie jako protestant,— luteranin, lub kalwin,  
napisał bym  
natychmiast wezwanie do żony pańskiej. Po roku najwyżej  
moglibyście państwo  
wziąć w Paryżu ślub cywilny.  
— Z katolikiem nie chce pan nawet mówić?  
— Nie chcę pana łudzić, zakończył adwokat.  
Zbigniew wstał. W myśli godził się już na tę ostateczność.  
Miał zamiar usunąć  
się zupełnie

za granicę i zająć się wyłącznie rodziną. Dla siebie niczego już  
nie pragnął.

— Panie adwokacie — mówił żegnając się. Sproбую  
skorzystać z pańskiej rady,  
jeżeli to ma być jedyne wyjście.

— Ależ ja nic nie radzę, a niech mię Bóg broni — zastrzegął  
się adwokat.

Uważałem tylko za stosowne objaśnić Szanownego Pana w tej  
kwestji.

— Trudno — mówił do siebie wracając do Nieborowic— na  
wszystko teraz powinienem  
się ważyć, wszystko poświęcić dla nich.

W domu zastał żonę chorą. Leżała w łóżku od kilku dni i  
sprowadzony z miasta

doktor dyagnostował zapalenie płuc bardzo ciężkie. Choroba istotnie rozwijała się groźnie. Gorączka trzymała się wysoko, były chwile kiedy chora traciła przytomność i dostawała maligny. Był nawet ksiądz z wijatykiem, i pani Ewa spowiadała się i przyjęła ostatnie olejem świętym namaszczenie.

Zbigniew widząc wychodzącego od chorej księdza, rozumiał, iż koniec życia jej już się zbliża, że zbliża się zatem jego wyzwolenie naturalnym biegiem rzeczy, bez skandalicznych procesów.

Uczul niezmierną radość i już się tego nie wstydził przed sobą samym.

— Skończy się przecież, myślał — skończy nareszcie i nie będzie zmuszony świecić przed ludźmi oczami, wypierać się religii ojców moich, narażać tamtych na rewelacje, które wiekuiście na nich ciążyć by mogły. O ileż takie rozwiązanie było by prostsze i bardziej pożądane.

Choroba jednak w swym groźnym stanie trwała jeszcze tylko dni kilka, a potem zaczęła się przesilać. Rekonwalescensja przychodziła zwolna, ale zdrowie stale miało się ku lepszemu. Dźwignęła się wreszcie z łoża boleści, blada i wycieńczona i kazała się wynieść z fotelem na werendę. A właśnie maj rozkwitał

najpiękniej. Pani Rwa chłoneła w osłabione piersi pachnącą  
wiosnę i rozkoszowała  
się dobroczynnem ciepłem promieni słonecznych. Ryla dnia  
tego nastrojona  
sentymentalnie i rzewnie. Woń bzu, którą przynosił aż tu lekki  
powiew wiatru,  
wywołała w duszy jej wspomnienia dawne, znajdzie miłe, bo się  
błogo zaczęła  
uśmiechać i mówiła do siedzącego obok męża.  
— Jak się to wiosna nie zmienia, nie starzeje, tak jest dziś jak  
przed laty,  
kiedyśmy byli szczę-

śliwi. Słońce świeci tak samo, jasno, szczerze, radośnie i bzy  
pachną tak  
słodko, jak dawniej, ł tak wyraźnie stanęła mi przed oczami  
duszy jedna chwila  
wiosenna, po naszym ślubie, wiesz, przed samą katastrofą,  
kiedyśmy tu siedzieli  
we dwoje na werendzie... Jakiśmy wtedy roili, Zbigniewie,  
jakiśmy wtedy  
przecudnie roili! Jacyśmy wtedy byli szczęśliwi!  
Zbigniew, którego rekonwalescencja żony pozbawiła znowu  
nadziei uwolnienia się  
od niej, powrócił do swych projektów rozwodowych, ale  
myślał już o tem z  
mniejszą stanowczością, widział znowu nieprzewycięzione  
trudności, piętrzące się  
na tej drodze. Siedział właśnie zatroskany, gryząc wąsa  
niecierpliwie i

przezuwając słowa, którymi miał rozpocząć z żoną nieprzyjazną akcję, kiedy zagadnęła go owym słodkim wspomnieniem, rzekł więc szorstko i niechętnie.

— A teraz się czujesz tak bardzo nieszczęśliwą!

— O tak, odparła pani Ewa, czuję się bardzo nieszczęśliwą, bo się czuję bardzo starą... bo czuję, że mnie nie kochasz. Myślałam, że już umrę i cieszyłam się tą myślą, bo wiem, że ci jestem ciężarem. Jesteś jeszcze młody i mógłbyś być

szczęśliwy bezemnie. Chciałam umrzeć dla ciebie, ażeby cię uszczęśliwić, bo cię kocham, kocham za to, że mogę mieć dziś te wspomnienia wiośniane, wspomnienia chwil radości.

Zbigniewa wzruszyła ta czuła mowa do głębi, ale zarazem doprowadzała do wściekłości, bo rozumiał iż słabnie w swych postanowieniach. Zerwał się nagle z siedzenia i zaklął jak parobek.

— Psiakrew! Przekłęta wiosna i jej wspomnienia!

Wyszedł szybko, trzasnąwszy szklannymi drzwiami, aż szyby zadzwoniły i zamknął się na długo w swoim pokoju.

\* \* \*

Nad zdrowiem pani Ewy zaciążyło złe fatum. Zaledwie zaczęła przychodzić do sil

po zapaleniu płuc, uczuła nagle bóle w boku. Bóle się powtarzały ze wzmożoną coraz bardziej gwałtownością. Badanie lekarskie wykazało kamienie żółciowe.

Zaordynowano wyjazd do Karlsbadu. Zbigniew towarzyszył żonie. Wody jednak nie pomogły, okazała się potrzeba usunięcia kamienia drogą

chirurgiczną. Operacji dokonać miał słynny specjalista w Wiedniu. Pani Ewa znowu przygotowała się jak by na śmierć: spowiadała się, przyjęła komunię i była spokojną i zdecydowaną.

Jeżeli umrę tam pod nożem, na stole operacyjnym, mówiła ze smutnym uśmiechem do Zbigniewa- to przynajmniej ty odzyskasz swobodę szczęścia. To mi dodaje odwagi.

On zakrywał uszy rękami. Nie chciał słuchać słów, które mu szarpały serce w kawały.

Operacja się udała doskonale i państwo Piątniccy wrócili znowu do Nieborowic.

Pani Ewa po przejściach tych musiała się raz na zawsze wyrzec konnej jazdy, myśliwstwa i wszelkich, wymagających fizycznego wysiłku, sportów, zaczęła się więc nudzić w swem wiejskiem ustroniu. Ale z czasem zjawilo się zamiłowanie do zwierząt, co po trochu wypełniało jej życie. Hodowała koty, psy, papugi,

króliki. Mnóstwo drobnego ptactwa świergotało w pięknych, kosztownych klatkach, rozwieszonych w salonach Nieborowickiego pałacu.

## XXIII

I znowu rozwiały się w nicość silne postanowienia Zbigniewa. Schodziły lata—do stanowczego kroku nie doszło. Okoliczność ta, że pani Ewa zapadać zaczęła na zdrowiu zaświtała mu nadzieją, że wreszcie, umierając uwolni go od siebie.

Czekał.

Zaczęła się między nimi walka na przeżycie.

Ohyda! w bezradnej bierności czekał na śmierć żony! I znowu gardził sobą,

brzydził się sobie i znowu, rozdarty na dwoje w ciągłych kłopotach, okłamywaniu

żony, udając namiętnego gracza, pędził ciężki żywot między Paryżem i

Nieborowicami. Wyrzekł się zupełnie myśli rozwodu.

Chłopcy rozwijali się pięknie

fizycznie i umysłowo, co przepełniało dumą serce ojcowskie.

Jeździł raz do roku

do Paryża, pieścił się z chłopakami i wracał do majątku swego obmyślać środki

wyciągnięcia jak-



najwięcej pieniędzy w tajemnicy przed panią Ewą. W Paryżu mimo troskliwych starań matki, dzieciaki, bawiąc się z niańką, a potem z innymi dziećmi francuskimi, przestawały prawie mówić po polsku, kiedy więc dorastały do wieku szkolnego, postanowił pan Zbigniew przenieść rodzinę do Krakowa, ażeby dać synom możliwość kształcenia się po polsku. Ewunia przytem straszliwie tęskniła do kraju. Jakoż rzeczywiście wkrótce sprowadzono się do małego domku na Kleparzu. Zapisał ojciec chłopców do gimnazjum — oni uczyli się pilnie, przechodzili z klasy do klasy i dotąd układało się wszystko jaknajszczęśliwiej. Dowody ich osobiste posiadały pozory wszelkiej legalności i najdrobniejsza okoliczność nie zamącała cichego życia poczciwej matki, poświęconej wyłącznie dzieciom. Drobne niedyskrecje ciekawych sąsiadów, były wprawdzie trochę nieprzyjemne, nie groziły wszakże rewelacjami, mogącemi pociągnąć za sobą poważniejsze następstwa. Wszystko to razem wzięte ukołysało czujność Zbigniewa, uspokoiło jego obawy i zaczął już wierzyć, że losy łaskawe pozwoliły na ukrycie koniecznego kłamstwa raz na zawsze, i że nigdy tajemnica jego rodziny nie wypłynie na powierzchnię szerszej świadomości. Przez lat dwa-

dzieńca przecież potrafił ukrywać przed ludźmi swój stosunek z Ewunią, potrafił zapewnić dzieciom legitymacje, wychować je, cóż więc grozić im może teraz, kiedy już nawet pomarli ci, którzy ich znali dawniej, którzy znali Ewunię jako pannę i mogli interesować się jej istnieniem. Zmarł stary major Bogorya i przeniosły się do wieczności panny Pońkowskie, pozostał tylko ich brat, stary romantyk, który związany słowem honoru, nie zdradzi za nic na świecie tajemnicy. Żyje tylko ona, żona jego, najniebezpieczniejsza, ale nieświadoma zupełnie historii jego miłości. Podejrzenia jej uśpione dawno nie odżyją już chyba po latach tyłu. Jest już stara, niedołączna, chorowita i ona musi pójść za tamtymi, zostawi go samego, swobodnego, panem swego majątku i woli. Nikt już wtedy nie zapyta go, czyje dzieci wychowuje, komu oddaje pieniądze. Nagle zajście Adasia z Szelskim otworzyło mu oczy, na grożące niebezpieczeństwo. — To się mści, myślał, to się mści fatalnie. Kłamstwa ukryć niepodobna. Chłopak, zadraśnięty w uczuciu godności rodowej przez wstrętą insynuację kolegi, nie zaśnie już spokojnie, nie zaniecha wszelkich sposobności, aby się dowiedzieć

prawdy istotnej. Będzie, szukał, dowiadywał się, badał i  
znajdzie wreszcie ojca  
przy boku żony legalnej, która przecież nie jest jego matką. I  
wtedy zapyta go:  
„Jak śmiałeś?”  
Zbigniew, wyjeżdżając z Krakowa, nakreślił sobie plan  
postępowania, jak się  
rzekło, rozpaczny, ale zdecydowany.  
Tak—rozważał.— Gdybym mieszkał z nimi razem,  
oczywiście wszelkie podejrzenia,  
plotki, insynuacje ustać by musiały. Niktby już wtedy nie  
śmiał rzucić dzieciom  
moim w oczy obelżywego słowa. Mieszkać jednak stale nie  
mogę, bo gdybym opuścił  
tamtą nazawsze, szukałaby mnie i naturalnie w końcu znalazła  
i wtedy upomniałaby  
się głośno wobec dzieci innej o swoje prawa legalnej  
małżonki. Gdyby zaś  
Zbigniew Piątnicki usunął się dyskretnie z tego świata, to  
wprawdzie dwie  
kobiety jednocześnie przywdzieją wdowieńskie szaty, ale któż  
sprawdzi, że noszą  
je po jednym i tym samym człowieku. Czyż nie ma już u nas  
innego Piątnickiego,  
który może umrzeć w każdej chwili. Piątnicki taki zostawi  
dzieciom swoim  
formalny akt zejścia, który zaokrągli całość ich dowodów  
osobistych. Będą wtedy  
mieli swe me-

tryki urodzenia i ślad, że ojciec ich żył na świecie i przeniósł się ostatecznie do wieczności.

Wdowa po nim, nosząc czarną żałobną suknię, nie będzie potrzebowała wstydzić się już, że mąż nie mieszka z nią razem i nikogo z sąsiadów nie będzie to dziwiło bynajmniej: spoczął w grobie, a ona prowadzi sama dzieło wychowania dzieci.

Pozostaje do uregulowania sprawa niezmiernie ważna, sprawa zapewnienia im środków do życia. Dochody z domu w Krakowie, kupionego na imię Ewuni, nie wystarczałyby nawet na najskromniejsze utrzymanie.

Troskliwy ojciec nie umrze z przeświadczeniem, że tym najdroższym jego grozić może niedostatek, dla tego więc należy ubezpieczyć ich pod tym względem jaknajpewniej.

Kamienica w Warszawie stanowiła jego majątek dorobkowy, sądził więc, że będzie ją mógł całkowicie zapisać synom. Chodziło o zapis niezmiernie, dokładny, wyłączający wszelką możliwość procesu, ze strony żony, lub jej krewnych, gdyż proces każdy pociągnąłby za sobą odkrycia, których nadewszystko chciał uniknąć dla dzieci.

Wahał się więc, czy ma uczynić zapis na rzecz Adama, i Henryka Piątńickich, mieszkających w Krakowie, bez określenia ich stopnia pokrewieństwa względem

siebie, i w takim razie zabezpieczyć go od wszelkich ewentualnych protestów, czy zaufać szczęśliwej gwiazdce i nazwać ich synami, co obaliłoby ostatecznie w Krakowie mniemanie o ich nielegalności pochodzenia. Rozstrzygnięcie sprawy tej chciał powierzyć doświadczeniu prawniczemu rejenta, cieszącego się jaknajlepszą pod tym względem sławą. Jechał więc do Warszawy do „sędziego”, ażeby akt odpowiedni według rady jego spisać, a następnie poszukać gdzieś śmierci, która by mogła mieć pozory przypadku, i cicho, spokojnie usunąć się ze świata, ażeby tym, którym dał życie, nie stać swą osobą na drodze szczęścia, ażeby ich wyzwolić od siebie i swego błędu. Postanowienie to było mocne i stanowcze. Nie bał się śmierci, bo długie lata rozdwojenia, wyczekiwanie na śmierć żony, co go przejmowało obrzydzeniem dla samego siebie, walka z sumieniem, ciężary obowiązku, bóle uczuć niezadowolonych, troska, obawa wyczerpały go okrutnie, w niebycie więc jedynie widział dla siebie wyzwolenie. Niemniej przecież potężny instykt zachowawczy wobec postanowienia tego wzburzył się w nim tak silnym protestem, że nie był w sta-

nie zapanować nad odruchowym podnieceniem sy stemu nerwowego. Żywiołowa obawa niewiado mego wstrząsała ciało drzeniem, paraliżowała wolność kojarzenia się myśli.

W takim stanie znalazł się u rejenta. Rozdrażniony i rozgorączkowany chciał, ubocznie, podstępnie, bez wtajemniczenia go w istotny bieg sprawy, wybadać, co sądzi o zapisie na rzecz dzieci nieprawych. Pokazywał mu metryki i inne dowody, ażeby utwierdzić się, że nie ma w nich nic podejrzanego, co by mogło zwrócić uwagę baczного oka prawnika. Warunki zapisu podawał w określeniach niewyraźnych i niepewnych, chcąc zmusić rejenta do wynalezienia dla nich odpowiedniej formuły. Ale rejent nie łamał sobie zbyt nad tym głowy. Spostrzegł on odrazu nienaturalne podniecenie w usposobieniu klienta. Badał uważnie jego zdenerwowanie, ruchy gorączkowe i pewną mętność odpowiedzi i doznał wrażenia, jak gdyby miał do czynienia z człowiekiem stojącym na granicy szaleństwa. Zapis każdy przez człowieka takiego zrobiony zawsze może utracić moc swoją obowiązującą, jeżeli nastąpi po tem pomieszenie zmysłów, jak również zapis człowieka, który kończy samobójstwem.

Nagle nieoczekiwany błysk intuicji oświecił mózg starego prawnika. Tak jest, ma doczynienia z osobnikiem noszącym się z zamiarem samobójstwa. Ten zapis ma poprzedzić targnięcie się jego na własne życie. Rejent wziął grubą księgę ze stołu i przeczytał odpowiedni paragraf i patrzył badawczo na klienta. Zbigniew przerwał akt rozpoczęty, czem upewnił rejenta w podejrzeniach ostatecznie. Pan sędzia dumny był ze swojej przenikliwości. Zbigniew wyszedł strapiiony szukać innych środków zabezpieczenia dzieciom majątku. Postanowił dom sprzedać i pieniądze oddać Ewuni ciepłą ręką. W tym celu wybrał się na poszukiwanie Pońkowskiego, ażeby mu przez swoje stosunki ułatwić wynalezienie kupca. Okoliczność ta przedłużyć jeszcze musiała życie pana Zbigniewa Piątnickiego na czas jakiś, bo nie zawsze znaleźć można na poczekaniu kupca z gotówką na wielki dom w Warszawie.

## XXIV

W wielkim salonie nieborowickiego dworu panował zaduch nie do wytrzymania. Z dziesięć papug bujało się tu na, rozwieszonych w różnych punktach, obręczach

metalowych. W szerokim weneckim oknie stała olbrzymia klatka w kształcie pałacyku z wieżycami, pełna najrozmaitszego ptactwa: kanarków, szczygłów, kosów, poumieszczanych w różnych apartamentach drucianego gmachu. Koty różnych maści i rasy wylegiwały się na miękkich poduszkach, rozrzuconych na kanapach, po dywanach włączyły się mniejsze i większe pieski: pudle, mopsy, pinczery. Wszystko to czyniło świergot i wrzask nieopisany. Pierwszeństwo trzymała stara zielona papuga umieszczona na wysokiej drabince metalowej tuż obok fotelu pani Ewy. Przyczepiona misternym

łańcuszkiem za łapę przeginała się po prętach drabinki, jak pajac jarmarczny i wywrzaskiwała przeraźliwie swój repertuar popisowy. — Bon jour koko! Fifi koka Ewę! Chudy, mały człowieczek, siedzący naprzeciwko pani Ewy, mrużył nerwowo oczy i krzywił się niecierpliwie, bo mu wrzaski ptaka przerywały tok jego wytwornej swady. Pani Ewa, uśmiechając się do swej zielonej ulubienicy, napominała ją dobrotliwie. — Cicho już Fifi, cicho, ja wiem, że mnie kochasz. Ale papuga, jakby tem jeszcze bardziej zachęcona, darła się chrapliwie, że aż w uszach trzeszczało.



— Fifi koka Ewę, Fifi koka Ewę!

— Bo, upewniam cioteczkę — ciągnął chudy pan — sprawa ta ze względów tysięcy nie może być lekceważona.

— Bon jour koko — wrzasnęła Fifi.

Pan skrzywił się okropnie i aż zatkał uszy rękami.

— Niech cioteczka uspokoi tę papugę — prosiła obecna tu jeszcze pani o tłustej, okrągłej, jak księżyc w pełni, twarzy. Niech cioteczka uspokoi

tą papugę, bo mąż zupełnie mówić nie może. On taki nerwowy i rozdrażniony.

Pani Ewa zepchnęła z kolan swych wspaniałą, białą, angorską kotkę, dźwignęła się z trudem z fotela i podeszła do papugi, podpierając się czarną hebanową laską.

Wysoka, chuda postać jej cała podana była naprzód, plecy silnie wypaczone;

nogami posuwała z właściwą ludziom starym powolnością.

Twarz stosunkowo

zachowała się najodporniej wobec niszczycielskich zamachów czasu. Rysy coprawda

wyciągnęły się, zaostrzyły, policzki zapadły i poorwały w głębokie bruzdy, ale

cera utrzymała pewną czerstwość i oczy świeciły jeszcze dość żywym ogniem.

Oblicze jej okolone puklami białych włosów, nie pozbawione było owej grandezzy,

która cechowała je w epoce najwyższej dojrzałości fizycznej.

Pani Ewa pieściwie prosiła paplającą papugę o ciszę, ale ptak rozkrzyczany nie

zdradzał wcale zamiaru zaniechania swych wynurzeń.

— Fifi koka Ewę, Fifi koka Ewę.

Na dobitkę druga papuga w rogu salonu zaczęła skrzeczeć zapamiętane.

— Dzień dobry pani!

Na twarzy chudego pana około wąskich ust zarysował się grymas złości i zniecierpliwienia. Machnął rozpaczliwie ręką i ciągnął kwaśno.

— Już choćby ze względu na szacunek dla tej ziemi, od tylu wieków pozostającej w rękach zacnej rodziny, nie można dopuścić, ażeby podstępnie owoładnąć nią mieli jakieś bastardy.

Pani Ewa, która wróciła na dawne miejsce w fotelu, nie uspokoivszy ostatecznie papugi, zauważyła.

— Co też pan mówi, co też pan mówi? Nie rozumiem, jak by to się stać mogło. Czyż nie ma już innych Piątnickich na świecie. Czyż wszyscy mieli by prawa do Nieborowic?

Pan chudy uśmiechnął się złośliwie.

— Nie wszyscy, zapewne, ale ci z całą pewnością zgłoszą swoje pretensje, gdyby cioteczka chciała rozporządzić majątkiem na rzecz swoich krewnych.

— Mąż zbadał te wszystkie machinacje — wtrąciła okrągła pani.

— Tak, ciągnął ten — zbadałem sprawę do gruntu. —  
Chłopcy mają metryki  
najformalniejsze i przedstawiają się z całą pewnością jako  
dziedzice

naturalni. Mąż cioteczki sfałszował oczywiście dowody w tym  
jedynie celu.

Pani Ewa jeszcze pojąć nie mogła. Chudy pan poruszył się  
gwałtownie na krześle,  
odchrząknął kilkakrotnie i powiedział.

— Widzę, iż będę musiał wyłuszczyć cioteczce punkt po  
punkcie. Choć to rzeczy  
dla niej przykre. Mąż cioteczki, pan Zbigniew, musiał mieć  
kochankę, czy  
kochanki, które go obdarzyły dziećmi. Nie wiem ile tam tego  
jest w sumie, ale to  
wiem napewno, że chodzi w Krakowie do gimnazjum dwóch  
chłopaków z tego, panie  
Boże odpuść— związku. A no, wiadomo, mamy też tam  
syna...

— Pamięta cioteczka Ignas — ten najstarszy nasz —  
zaznaczyła pani.

— Nie przeszkadzaj, Juleczko — zaprotestował opowiadający  
i prowadził rzecz swą  
w dalszym ciągu. — A no, w tym roku, przejeżdżając do  
Szcawnicy, zatrzymaliśmy  
się u chłopca przez dni kilka. Chłopak, jak to chłopak —  
papał o tem o owem, o  
profesorach, kolegach, wreszcie wymienia jakiegoś  
Piątnickiego. Piątnicki,

pytam. Co za Piątnicki? A bo ja go wiem, powiada, podobno też tak jak my — z kongresówki. Matka ich, bo on ma młodego brata w szóstej klasie

(mój jest w siódmej). Matka ich, powiada, mieszka na Kleparzu. Uderzyło mnie to.. Pani Ewa, oddawna przyzwyczajona do tego, że krewni nachodzili ją ustawicznie z najprzeróżniejszymi insynuacjami przeciw Zbigniewowi, słuchała zazwyczaj obojętnie, a raczej nie słuchała wcale tych niby niezmiernie ważnych rewelacji. Krewni ci wiedzieli doskonale, że nie rozporządziła ona jeszcze swym majątkiem, a obawiali się, ażeby nie zapisała wszystkiego mężowi, starali się więc przedstawić go w najczarniejszych kolorach. Już go rzekomo widywano w Monaco, przegrywającego w jeden wieczór szalone sumy, widywano jakoby w Paryżu w najgorszem towarzystwie, tracącego ciężko zapracowany grosz żoniny na uciechy najwyuzdańszych kokot, słyszano o nim, że nadużywa podobno zaufania przyjaciół i trwoni powierzone sobie fundusze. Więc i teraz, w ciągu tej opowieści, spoglądała przyjaźnie ku papudze, gładziła kota, który jej znowu wskoczył bezceremonialnie na kolana. Jednakże w wystąpieniach kuzyna tak wiele wyczuwała

interesowności, a tak mało jakiegoś słusznego gruntu do strachów, któremi starał się ją przerazić, że zniecierpliwioną zawołała z odcieniem ironii:

— Dziwi mię, iż pana uderzyło to właśnie, że matka mieszka z dziećmi. A co się tyczy Piątlickich, to wiem, że istnieją dwie jeszcze rodziny tego samego nazwiska zupełnie z sobą nie spokrewnione.

— Tak, przerwał chudy pan, wybijając złośliwie każdą sylabę, tylko, że ci dwaj młodzi Piątlicki niezmiernie blisko spokrewnieni są z panem Zbigniewem Piątlickim.

— Czy on panu o tem powiedział?

— Ja z mężem, widzieliśmy ich na Plantach w Krakowie — wtrąciła się Juleczka.

— Tak, widzieliśmy ich wszystkich razem na Plantach w Krakowie. Pan Zbigniew Piątlicki prowadził rodzinę swoją na spacer.

Pani Ewa teraz dopiero czuła się zaniepokojoną.

— Nie może być! zawołała.

Chudy pan, podniósł rękę w górę i uroczyście wypowiedział:

— Prawdą to jest — jakim Szelski.

Chudy pan był właśnie ojcem młodzieńca, który odbył ów niebezpieczny pojedynek z

Adasiem. Rodzice nie wiedzieli jeszcze o tym wypadku, nie wiedzieli, na jakie

niebezpieczeństwo narażały syna niebaczne ich słowa, rzucone wobec złośliwego

dzieciaka. Cele, dla których stary pan Szelski tropił stosunki Zbigniewa, były zgoła odmiennej natury. W tych też celach przyjechał oświetlić kuzynkę i przygotować ją na wszelkie ewentualności. Prawił więc dalej otwarcie.

— Wiedziałem, że cioteczka nigdy dzieci nie miała.

Zainteresowało mię też niezmiernie skąd pan Zbigniew przychodzi do posiadania dwóch dorastających chłopców.

— Chodził mąż do gimnazjum, wtrąciła Juleczka.

— Tak, potwierdził pan Szelski. Poszedłem do gimnazjum św. Anny i przez stosunki dostałem do przejrzania papiery młodych Piątlickich.

Zdumiałem się. Niech cioteczka sobie wyobrazi obydwaj mają najformalniejsze dowody, że są synami...

Zbigniewa Piątlickiego obywatela ziemskiego i żony jego Ewy Nikockiej. Ha, cóż

cioteczka nie dziwi się, że jest matką dwóch chłopów pod wąsem. Ha, ha, ha,

śmiał się z przymusem pan Szelski.

Pani Ewa, jakby nagłą tknięta niemocą, zbladła okrutnie i nie mogła zdobyć się

na słowo. Po chwili dopiero, nie panując już nad sobą, wybuchnęła gwałtownie.

— To, nieprawda. To obrzydliwa intryga, nikczemnie przez was wymyślona. Znam was, wszystkich, was krewnych, najmilszych, najserdeczniejszych... znam was! Wiem o co wam chodzi! Od tylu lat podjurzacie mię na męża, staracie się nas poróżnić... Nie wierzę waszym insynuacjom. Pan Szelski, uczył się obrażony, skrzywił się kwaśno i rzucił: — Są ludzie, którzy chcą być oszukiwani. Na to niema rady. Juleczka ośmieliła się interweniować. — Niech cioteczka tak nas nie sądzi. Mąż mówi to przez prostą życzliwość, zresztą, mąż przekonał się o wszystkim dowodnie. — Więc mąż mój ma dzieci nieprawe?... pytała wzburzona pani Ewa. — Jeżeli dzieci te nie są dziećmi cioteczki... zaczął pan Szelski... Jeżeli... — Więc mąż mój fałszował dokumenty — wołała dalej. — Tłomaczy się to miłością ojcowską — nie chciał dzieci swych zostawić bez dziedzictwa — cedził przed zębami ironicznie pan Szelski. — Nikczemny, nikczemny!

Czuć było, że w duszy staruszki wre straszna walka najsprzecznějších uczuć. Niechęć i zawziętość odbijała się na zewnątrz w zaciśniętych ustach i w nadzwyczajnym drzeniu rąk.— Mówcie, proszę, mówcie niech wiem wszystko... — Ma dzieci z inną?

Pan Szelski, czując, iż odzyskuje grunt pod nogami, zaczął szeroko i wolno dowodzić, że chodzi głównie o niedopuszczenie do ziemi osób niegodnych.

— Wszyscy jesteśmy śmiertelni— mówił.— Nie wiadomo dnia ani godziny! Gdyby cioteczka zrobiła nawet najformalniejszy testament, zapisując dobra swoje komuś z krewnych, tamci z dokumentami jakie mają obalić go zawsze mogą. Dzieci rodzonych pod żadnym pozorem wydziedziczać nie wolno. — Ależ ja dzieci nigdy nie miałam, zaprotestowała energicznie pani Ewa — wszyscy to wiedzą.

— O tem właśnie należy pomówić; trzeba się koniecznie zabezpieczyć od możliwych ewentualności. I dla tego — mówił dyplomatycznie pan Szelski, szukając z trudnością słów właściwych, i dla tego. Doprawdy ciężko mi się zdobyć na wyraźną definicję... Proszę cioteczki, świadkowie

w podobnych razach mogą nie wystarczyć... po śmierci... kiedy zeznanie osobiste jest wykluczone. Wyjeżdżała cioteczka tyle razy zagranicę, do Wiednia, Karlsbadu... Jeżeli tamci, jeżeli pan Zbigniew układał te machinacje, mogą się daty zgadzać... Kogo szukać na świadków... Przedstawią się z dokumentami



spadkobiercy w linii prostej... Ubezpieczyć się można — jest jeden środek pewny, jeden środek niezawodny, który w rękach krewnych może mieć znaczenie decydujące.

Pani Ewa słuchała z szeroko otworzonymi oczami i sucho, twardo zapytała.

— Proszę o ten środek niezawodny. Szelski mieszał się ciągle.

— Doprawdy... trudno mi cioteczce... rzecz jest przykra, drastyczna... O bardzo

nieprzyjemna, ale... Widzi cioteczka, wprost zasadnicza!...

Trzeba by się poddać

ogłędzinom lekarskim, że...

— Że co? — spytała głucho, staruszka.

— Że cioteczka nigdy matką nie była.

Na zwiędłe, matowe policzki pani Ewy wypłynął mocny, ceglasty rumieniec.

Spojrzała na Szelskiego z najwyższą nienawiścią i pogardą.

— Za wielkich poświęceń dla siebie, wymagacie odemnie.

Póki żyję, nikt mi

żadnych dzieci

wmówić nie będzie wstanie. Po śmierci, wszystko mi jedno, w gruncie rzeczy,

jakie ręce majątek mój rozdrapią. Gdybym miała własne dzieci, oświadczam wam,

broniałabym go dla nich, jak lwica, rękami i pazurami. Ale dla was... Istotnie,

kochani kuzyni, za wiele poświęceń wymagacie.

Odrzuciła z oburzeniem propozycje Szelskich, bo czuła całą interesowność w

zabiegach tych ludzi. Pani Julja Szelska z domu Nikocka, po stryjecznym bracie szambelanica, byłaby jedną ze spadkobierczyń najbliższych. Rozumieli przytem, że, wdzierając się w laski starej ciotki i zniechęcając ją do męża, mogli otrzymać wszystko, prócz owego dożywocia na czwartej części, które się Zbigniewowi z prawa należało. Przeświadczenie to utrzymawało ich w nadzwyczajnej powściągliwości, w mitygowaniu własnego niezadowolenia. Dlatego też pan Szelski nie obraził się bynajmniej za to ostre wystąpienie ciotki, ale kiwając smutnie głową wmawiał.  
— Nie dla nas tego żądaliśmy, nie dla nas, ale dla słuszności i sprawiedliwości.  
Nie gniewam się za cierpkie słowa cioteczki. Owszem rozumiem, że cios był straszny i mógł wstrząsnąć do głębi.

Trudno się liczyć ze słowami w takich chwilach. W każdym razie jeżeliby usługi nasze...

Pani Ewa czuła się bardzo wzburzoną i potrzebowała samotności, państwo Szelscy pożegnali ją więc czule, radząc udanie się na spoczynek.— Obiecali powrócić niebawem.

Zostawszy sama podrażniona kobieta dała folgę kłębiącej się w duszy wściekłości.

Zamknęła się w swym pokoju sypialnym, rzuciła się na łożko,  
tarzała się po niem  
i w zapamiętaniu gryzła poduszki, wyłamywała palce u rąk i  
przez zaciśnięte zęby  
wołała:  
— Oh, zemścić się na tej... zemścić się!  
Oni się kochali ciągle, oszukiwali mnie ciągle. Tyle lat! Oni  
mają dzieci. Ona z  
nim! — Ewa Nikocka! Ach, każda inna, byle nie ona!

## XXV

Zbigniew od rejenta udał się wprost do Pońkowskiego, ciągle  
jeszcze w stanie  
najwyższego podniecenia. Starego jednak w domu nie zastał.  
Stróż objaśnił go, że  
tego pana z czwartego piętra zabrano przed dwoma dniami do  
szpitala Dzieciątka  
Jezus, bo by se był chudzina i zmarł samotnie bez ludzkiej  
opieki. Istotnie w  
szpitalu Dzieciątka Jezus leżał stary szlachcic w oddziale  
chirurgicznym,  
oczekując na operację guza w brzuchu, który dokuczał mu już  
oddawna, a ostatnio  
zwałił z nóg poprostu i zmusił do oddania się w ręce  
chirurgów. Tego dnia  
przecież z powodu spóźnionej pory nie dopuszczono gościa do  
chorego, a kazano mu  
przyjść dnia następnego między pierwszą a trzecią po  
południu.

Nie mając co z czasem robić, włóczył się Zbigniew bez celu po mieście.

Przyglądał się wystawom sklepowym, nie widząc wcale tego na co patrzy,

odczytywał plakaty po rogach ulic, nie rozumiejąc zgołą co czyta i w jakim czyta

celu; wreszcie zupełnie bezwiednie przyłączył się do jakiegoś konduktu

pogrzebowego i znalazł się wraz z nim na cmentarzu powązkowskim.

Chowano znacznego snadź osobnika w swoim kole, bo orszak, złożony przeważnie z

ludzi ze sfery rzemieślniczej i drobnych przemysłowców, był bardzo liczny. Na

czele jego tuż za trumną postępowała wdowa, prowadzona, pod ręce przez dwóch

tęgich mężczyzn w ciemnych kurtach i długich do kolan butach. Miotła się w ich

objęciach, wyrywała się gwałtownie naprzód, ale oni jak kleszczami

przytrzymywali jej ramiona, udaremniając wszelkie wysiłki.

— Ciszej, ciszej, pani Wojciechowo — uspokajał jeden.

— Boska wola, nie poradzisz — pocieszał drugi.

Kobieta była tęga, korpulentna, o twarzy wielkiej, rozlanej, obecnie czerwonej

od płaczu jak piwonia. Nos zwłaszcza duży, mięsisty, którym głośno pociągała,

jaskrawił się najżywszą barwą

szkarłatu. Głosem grubym, ochrypłym lamentowała  
zawodząc: .

— Wojtku, Wojteczku już mi ciebie zabierają, już cię więcej  
nie ujrzę!

A kiedy trumnę w dół spuszczone i rozległ się głuchy odgłos,  
sypanej na deski,

ziemi, kobieta podniosła potężne ramiona, darła włosy na  
głowie i dał się

słyszeć niby ryk dziki... Ooo! Wdowa woła w niebogłose.

— Zakopcie, mnie z nim razem. Zakopcie. Puście mnie do  
niego!

Zbigniew ze swoją troską tak zasklepił się w egoizmie swych  
cierpień, że

nieodnajdywał w sobie śladu współczucia dla lamentującej  
wdowy, owszem uczuł

jakąś niechęć dla tych głośnych, powierzchownych objawów  
żałości. Czerwony nos i

ordynarny zachrypnięty krzyk, rozpaczającej kobiety,  
przejmowały go niesmakiem.

— Szablon żalu —powtarzał sobie — szablon pogrzebu!

Włos rozczochrany, łzy i wrzaski, potem serek w najbliższym  
szynku, a potem

powrót do powszednich spraw życia.

Takiż to jest majestat śmierci! Dlaczego majestat?

Zbigniew, postanowiwszy przeciąć nić dni swoich, wyobrażał  
sobie, że stoi na

granicy strasznych niezbadanych tajemnic, że przejście  
granicy tej jest czynem

nadzwyczajnego bohaterstwa i pysznił się w duszy, że nosi w sobie potencje takiego czynu. W tej chwili śmierć wydała mu się rzeczą tak powszednią. Tylu ich codziennie, najzwyczajniejszych zjadaczy chleba przebywa owe granice niebytu. Ciagną pogrzeby jeden za drugim. Garstka krewnych i znajomych odprowadza nieboszczyka na miejsce wiecznego spoczynku i po zakopaniu go w ziemi, wracają do zajęć codziennych, ażeby tu z czasem wrócić znowu jako nieboszczycy. Wcześniej czy później... Pozostaje po nich krótki płacz... i tak w kółko. Zostawił grono żałobników nad świeżą mogiłą a sam powlókł się w najbardziej ustronną część cmentarza. Usiadł na starym omszałym kamieniu, z którego czas starł już prawie zupełnie napisy i myślał o tem jak śmierć jego przyjmą dzieci, Ewunia, jak się zachowa wobec niej żona. Przyszedł do przekonania, że jednak przez tych wszystkich, nie wyłączając pani Ewy, kochany jest bardzo, że strata jaką poniosą, będzie dla nich ciężką i głęboką, że boleć będą długo i uczuła dla nich

w sercu litość ogromną, rozrzewnił się i ani się spostrzegł, że lituje się nad

sobą samym. Począł obmyślać sposoby innego wyjścia,  
szukać środków  
zabezpieczenia spokoju dzieciom na innej drodze.  
— Czyż koniecznie muszę się zabijać? — Czyż istotnie  
uratuje to sytuację? Czy  
jest to istotna racja.  
Zmierzch już zapadał, kiedy opuszczał to nasze Campo-Santo.  
Nie powziął  
wprawdzie żadnych bliżej określonych planów na przyszłość,  
ale czuł się jakoś  
nieważniejszy. Zdał się na bieg wypadków.  
Za roгатką spotkał ową rozpaczającą wdowę w towarzystwie  
co najmniej dziesięciu  
osób z niedawnego orszaku pogrzebowego. Ładowali się  
gwarno i hałaśliwie na  
dorożki. Wdowa nie płakała, niemniej przecież miała nos  
również czerwony i  
czarny żałobny kapelusz na bakier.  
Zbigniew uśmiechnął się.  
— Pocieszyli się na serku!

## XXVI

Na drugi dzień o pierwszej już Zbigniew był w szpitalu.  
Zaprowadzono go do  
wielkiej sali na pierwszym piętrze, gdzie stało, jak można  
najczęściej w różnych  
kierunkach, ze trzydzieści łóżek żelaznych. Nie wszystkie one  
były w tej chwili

zajęte. Wielu chorych, w niebieskich w paski szlafrokach  
spotykano spacerujących  
na korytarzu, inni kręcili się po sali, lub siedzieli na łózkach.  
Kiedy Zbigniew stanął na progu i szukał wzrokiem  
Pońkowskiego, doleciał go  
sympatyczny i prawie wesoły w tej chwili głos starego  
romantyka:

— Zbigniewie, tum jest, bywaj!

A wyciągając rękę do zbliżającego się, mówił z uśmiechem.

— Widzisz, sprawdza się to, co było napisane: szlachta polska  
kończy na barłogu  
szpitalnym!

— Gdzież tak było zapisane? — spytał Zbigniew.

— Ha, ha, doprawdy sam nie wiem, ale mi się to wydaje tak  
naturalne, że myślę,  
iż powinno było być gdzieś zapisane. Nie zasłużyliśmy na nic  
innego.

— Cóż, panu jest? przerwał Zbigniew.

— Mnie? Niewiem, guz jakiś w brzuchu, nowotwór czy  
przewężenie kiszek. Bo ja  
wiem. I oni nie wiedzą. Jestem pod obserwacją. Kiedy mi  
brzuch rozplatają, to  
się pewnie czegoś dowiedzą, ja już nie, bo się wyniosę na  
tamtą stronę Styksu,  
gdzie sprawy brzucha nic a nic już nie obchodzą.

— Ależ operacje się dziś udają świetnie, chirurgia stoi tak  
wysoko — starał go  
się uspokoić.

— Ha, ha, — śmiał się chory — a cóż ty mię tak pocieszasz,  
wiedz dobrodzieju, że



się ani operacji, ani następstw jej nie boję, bom nie szołdra, a szołdrą trzeba być, żeby się bać śmierci, kiedy zwłaszcza niczego się już od życia spodziewać nie można. Od dwóch dni tu jestem, a czego ja się tu nauczyłem! Jak ci kto powie, że ludzie równi są sobie, to mu parsknij śmiechem w oczy. Widzisz tego tam obok tego, co mu tylko nos z pod kołdry wyłazi.

Wyciągnął rękę w kierunku najbliższego łóżka.

— Leży tam chyba najniższy, okaz gatunku zwanego homo sapiens. Odrzuć, proszę cię, szmaty przykrywające ten kawał zgniłego mięsa, a będziesz miał istotnie ciekawy widok.

Widząc, że Zbigniew nie kwapi się z oględzinami ciekawego okazu, Pońkowski zachęcał.

— Zobacz, proszę cię. Będzie ci to może kiedy kolwiek wskazówką miarodajną, jak się zachować należy wobec kostusi, gdyby ci nad karkiem stanęła.

Zbigniew wstał i zbliżył się do wskazanego łóżka, ale nie miał odwagi unieść

kołdry, wtedy Pońkowski z wyrazem obrzydzenia i pogardy zachęcał.

— Nie żenuj się, odkryj tę zgniliznę, zareczam ci, że, co pod nakryciem

znajdziesz, na żadne względy nie zasługuje. On sam nie zaprotestuje, zapewniam.

Na poduszce spoczywała głowa chuda, zwiędła i fatalnie  
oszepecona mnóstwem blizn  
i szram, które nadawały rysom wyraz jakiegoś piekielnego  
potworu z  
fantastycznych sztychów średniowiecznych. Gdzieniegdzie  
wśród łat i szwów  
bielących się, na czaszce i szczękach sterczała kępka siwych  
włosów. Kiedy  
Zbigniew wyciągnął rękę, ażeby

uchylić kołdry, głowa zwróciła nań swoje okropne, mętne,  
gasnące oczy. Zawahał  
się.

— Śmiało — zawołał Pońkowski.

Uchylił kołdry i nie mógł zapanować nad przerażeniem. To,  
co ujrzał,

przechodziło miarę zwykłych okropności szpitalnych.

Straszna głowa siedziała

niby na szypule, na szyi długiej, cienkiej, pomarszczonej, a  
szyja ta wychodziła

jak gdyby z worka wielekroć zszywanego, wypełnionego  
różnej wielkości

kamieniami. Rozchełstana koszula opadała z tej masy

bezkształtnej, gdyż nie było

ramion, na których by się mogła utrzymać. Wielkie i mniejsze  
guzy wypukliły się

pod ciemną zsiniałą skórą.

— Widziałeś — spytał.

— Okropność! — odparł zapytany.

Wtedy Pońkowski uniósł się na łokciu i z jakąś nadzwyczajną  
pasją, pogardą i

złością mówił:

— I ta najędzniejsza parodja zwierzęcia, ten bezkształtny worek guzów cuchnących, chce żyć. Słyszysz, żebrze o kilka bodaj dni życia, tego życia kłody bezdusznej, życia bez ruchu, bez pragnień, bez nadziei, życia okrutnych cierpień, ustawicznej tortury. On chce żyć!

Jakiś twór złośliwy rzucił mu się na kości, zre go, toczy, zjada po kawałku od lat całych. Obcięto mu rękę jedną, potem drugą, wyjęto obojczyki, odchlastano kawał łopatki, wypiłowano kilka żeber, trzy razy rznięto mu nogę prawą, że już jej i śladu po niej nie pozostało... I taki chce żyć!

— Panie Pońkowski, napominał go Zbigniew, ten człowiek może usłyszeć — zrobi mu to przecież przykrość niewypowiedzianą.

— Nie liczę się z takim — wołał uparcie stary romantyk. Nie liczę się z czymś, czego człowiekiem nazwać nie mogę. Wczoraj był tu lekarz, omacywał mu guzy, a on ułowił ustami jego rękę, całował i jakiś pisk nieludzki wydarł mu się z gardła.

Lekarz nachylił ucho. Szeptał coś długo i znowu szukał ustami ze Izami w oczach ręki doktora. Pytam się, bo jeszcze miałem współczucie i litość nad jego nieszczęściem i niemocą.

— Doktorze, czego chce od pana ta nędzna pozostałość ludzka?

— Potworzyły mu się — mówi doktor—nowe guzy w klatce piersiowej i ugniatają na płuca. Dusi się — więc prosi, żeby mu je usunąć.

— Chce jeszcze jednej operacji?!

— Chce żyć — odparł doktor.

— Nałogowiec!

— Człowiek — tłumaczył doktor.

— Amfibia — odmruknąłem . — Człowiekowi życie takie nie mogłoby wystarczyć. Bo

pomyśleć: młodzieniec pełen sił, urody, zapału, w najwyższym rozwoju zdolności

użycia, pracujący owocnie dla wielkich celów, dążący do potęgi, do sławy, stawia

życie na jedną kartę ochotnie, wesoło niemal, odkrywa śmiało pierś potężną na

śmiertelne pociski, a taki czerw nikczemny, skazany na wegetację i rozkład

powolny na barłogu, na tortury, na jakie najfantastyczniejsze pomysły

inkwizytorów hiszpańskich zdobyć się nie mogły, skreca się w obrzydłej trwodze

przed stopą śmierci — wyzwolenia, któraby go zdławić winna na miejscu. Życia —

wola — życia choć chwil kilka za wszelką cenę. I to nazywacie człowiekiem —

jakież miano znajdziecie dla tamtego młodzieńca? Czegoż to truchło bez członków

spodziewa się od operacji? Czyż wróćcie mu ręce, aby działał, nogi, aby szedł do jakiegoś celu, siły, aby czuł, kochał, cokolwiek pragnął, dążył, aby żył.

Usuniecie mu guz, ażeby mógł oddychać przez dni parę śmierzącym powietrzem sali szpitalnej, ażeby mu posługacz wlał do gęby kilka porcji kleiku i wetknął w paszczę

ochłap mięsa. Dlatego chce żyć, dlatego całuje was po rękach. Ohyda, ohyda! Nie mówcie mi, że ludzie są sobie równi, ja stanowczo wyższy jestem od tego okaleczanego trzona, niegdy obrazu na podobieństwo boskie. Ja niechcę życia za taką cenę. Niechcę — zapalał się stary — niechcę wegetować w kalectwie i niedołęstwie. Powiedziałem im to. A potem spokojniej mówił dalej. — Wogóle żyć zbyt długo niepotrzebna rzecz. Kiedyś robił, co do ciebie należało w sile lat męskich — to już dosyć. W starości nic zacnego nie zbudujesz. Zatrąb i odjeżdżaj — zostaw miejsce dla innych. Nagle spostrzegł, że ów okaleczały sąsiad z przyległego łóżka oparł na nim swój wzrok gasnący, więc wziął Zbigniewa za rękaw, przyciągnął ku sobie i prosił: — Mój drogi panie Zbigniewie — usiądź tak, ażebyś mi sobą zakrył tę ohydę, nie

mogę patrzeć w tamtą stronę bez obrzydzenia.  
A, kiedy Zbigniew spełnił to żądanie i usiadł na  
przyniesionym przez posługacza  
krześle w sposób wskazany, Pońkowski ścisnął go serdecznie  
za rękę:

— Mów mi o sobie, o twej ukochanej, o dzieciach. Czy  
zdrowi, jak sobie  
poczynają?

Zbigniew westchnął ciężko.

— Żle — mówił — zaczyna się kara — Fatum zaczyna ścigać  
swe ofiary.

I opowiedział najdokładniej zajście syna z Szelskim.

— Szelscy — przerwał Pońkowski mają prawdopodobnie  
najbliższe prawa do spadku po  
żonie twojej.

— Czyżby to było ukartowane przez rodziców?

— Wszystko to jest bardzo prawdopodobne — mówił stary .—  
Ale cóż zamierzasz?

Zbigniew zwierzył się wtedy, że nosił się z zamiarem

samobójstwa, że usuwając

się ze świata miał zamiar położyć koniec wszelkim

przypuszczeniom, które z

powodu jego konduity, tego rozdwojenia się, tych wizyt

przypadkowych, snuto

około historii jego rodziny.

Pońkowski kiwał głową. Zbigniew rozrzewnił się trochę nad  
sobą, opowiadał

szeroko o swych wątpliwościach i wahaniach, w nadziei

prawdopodobnie, że stary

zechce go od zamiaru tego odwodzić, że wynajdzie jakieś  
środki ratunku na innej  
drodze.

Tamten jednak ciągle kiwał głową bardzo poważnie i słuchał  
zwierzeń z wielkim  
nateżeniem. A kiedy Zbigniew wyraził wątpliwości co do  
tego, że może uniknięcie  
takie ze świata byłoby poprostu tchórzostwem, stary wtrącił,  
jakby od  
niechcenia.

— Dajno pokój — historia z tym tchórzostwem, to zdaje się  
jeden z wygodnych  
przesądów mieszczańskich. Oczywiście, ciągnął dalej,  
zastanowić się nad kwestją  
należy bardzo głęboko. Ale, jeżeli takie wyjście okazałoby się  
konieczne, to im  
się usuń. Usuń się im mój drogi, nie zagrażaj chłopcom drogi  
do szczęścia, nie  
psuj im młodości, bo świat już do nich, nie do nas starców  
należy.

Zbigniew nie spodziewał się takiej odpowiedzi, nie  
przypuszczał wogóle, ażeby  
człowiek inny wobec kogokolwiek mógł zdobyć się na  
podobną radę. Więc ten  
przyjaciel nie zachęca go do wytrwania, nie dodaje otuchy do  
walki, do  
zwycięstw, ale tak wprost... Uczuł się tem dotknięty boleśnie,  
poczytał to  
staremu, dotkniętemu chorobą, człowiekowi na karb pewnego  
zbożenia

psychicznego, jakiegoś krańcowego pesymizmu i mizantropii.

— Ha, kończył Pońkowski, stary już jesteś — jeżeli wypadnie  
— zatrąb i  
odjeżdżaj.

Zbigniew wstał i dosyć chłodno pożegnał starego przyjaciela.

O interesach, o  
sprzedaży domu, rzecz naturalna mowy być nie mogło.

Wychodził trapiiony myślą  
wynalezienia kupca na dom.

— A wpadnij tu do mnie po operacji — wołał chory za  
odchodzącym. — Będę ci może  
miał do zakomunikowania, jakie ciekawe wiadomości z  
tamtego świata.

## XXVII

Długo kręcił się jeszcze po Warszawie, szukając kupca na  
dom. Trafiali się  
wprawdzie chętni nabywcy, ale bez pieniędzy, a jemu  
chodziło o to  
przedewszystkiem, żeby uniknąć wszelkich zabezpieczeń  
hypotecznych, wszelkich  
opisów, papierów, lecz czystą gotówkę wywieźć do Krakowa.  
Sprawa się przeciągała. Tymczasem otrzymał od  
Mączyńskiego list, naglący go do  
przyjazdu do Nieborowic.



„Niech jaśnie dziedzic przyjeżdża nie mieszkając — pisał  
leśniczy — bo się tu u  
nas knuje coś niedobrego. Jaśnie dziedziczkę obsiedli krewni i  
judzą na Jaśnie  
dziedzica. Wiem to od lokaja J.W. Szelskiego, który to J.W.  
Szelski najbardziej  
na Jaśnie dziedzica jest zawzięty”.

Zbigniew, przeczytawszy to nazwisko, jęknął z przerażenia.  
— Więc zajście chłopców w Krakowie nie było przypadkiem,  
lecz, jak widać, starsi  
wmieszali się do tej sprawy. Może odkryto tak starannie  
przechowywaną tajemnicę?  
Spakował się natychmiast i, nie telegrafując nawet o konie,  
wyjechał nocnym  
pociągiem z Warszawy. Na stacyi wynajął wózek chłopski i  
ruszył w drogę ku  
Nieborowicom. Wczesnym jeszcze bardzo rankiem wjechał w  
las, należący do jego  
majątku, kiedy nagle usłyszał za sobą gromkie: hop! hop!  
Obejrzał się. Za  
wózkiem biegł Mączyński, ale mu to już szło niesporo. Zbierał  
przecież nogi, jak  
mógł starowina i wymachiwał czapką. Zatrzymano konie.  
Mączyński przypadł  
zdyszany.  
— Jak to dobrze, że ja jaśnie dziedzica przydybał —  
wykrztusił, a gramoląc się  
na wózek, mówił dalej: — Po prawdzie powiedziawszy, to ja i  
z rozmysłu warowałam

tu na drodze, bom się spodziewał, że Jaśnie dziedzic dziś - jutro nadjedzie.

— Cóż się tam dzieje tak ważnego? — pytał, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

Stary leśnik chwycił się za włosy.

— Urwanie głowy, Jaśnie dziedzicu. Co i jak akuratnie, to trudno i zmiarkować.

Ale Jaśnie dziedziczka coś niedobrego myśli. Spokojnie u nas było, cicho. Bywało

miesiąc ani ludzka noga nie zabłądzi, aż tu nagle, jakby się szkuta z gośćmi

rozbiła. Krewni, nie krewni, urzędniki jakieś z miasta. Jaśnie dziedziczka, choć

to jej teraz i nie łatwo, sama też kilka razy do miasta jeździła.

Ale najwięcej

tu o tych Szelskich. Pytam raz ich lokaja: „Co wam tak u nas zasmakowało?” To on

mię wziął na stronę i mówi: "Niech-no pan Mączyński nikomu nie powie, ale nasz

pan dowiedział się na waszego pana jakichś nieczystych sprawek w Krakowie, a że

to krewny waszej dziedziczki, więc się teraz zmawiają razem na niego.

— Takiś! myślę — i napisałem zaraz do jaśnie dziedzica.

— Szelscy są tam teraz? — spytał Zbigniew.

— Od tygodnia nie ruszają się z pałacu.

— A niech ich wszyscy djabli porwą! zaklął i krzyknął na chłopca: Zawracaj!

Ale Mączyński przypadł do ręki dziedzicowej.

— Co jaśnie dziedzicowi? — wołał prawie zrozpaczony.—  
Zawracać teraz?! A wygnać  
tę hołotę

do wszystkich djabłów, rozpędzić na cztery wiatry! A co to —  
bab się będziemy  
bali i tego chudego czorta, co więcej patrzy na gryzipiórka  
miejskiego, niż na  
prawdziwego szlachcica. — Nie czekając na decyzję pana,  
chłopu, który już  
rzeczywiście skręcał, wyrwał z rąk parciane lejce i puścił  
konie w pierwotnym  
kierunku.

Pan Zbigniew nie protestował, pozwolił prowadzić się  
leśniczemu.

— Niech tam — myślał sobie. — Może i lepiej powiedzieć w  
oczy wszystko,  
rozpocząć grę w otwarte karty, niż pozwolić na tajemne  
knowania. Stało się —  
kości rzucone! Trudno przewidzieć, co ukartują mi tam po za  
plecami. Niechże  
wiem przynajmniej, jak się bronić należy. I już, zdecydowany  
na ostrą walkę  
jechał spokojniejszy, układając plan kampanii. Postanowił  
wystąpić pierwszy.

Przed Nieborowicami samemi Mączyński wyskoczył z wózka.

— Niech ta lepiej nikt nie wie, żeśmy się z jasnym  
dziedzicem po drodze  
zwąchali — tłomaczył. Już mię tam i tak na spytki brali: A czy  
Mączyński nie

wie? A czy Mączyński nie słyszał? Alem wody w gębę nabrał i ani mrumru. Już to

naszych, jaśnie dziedzicu, baby i adwokaty za język nie wyciągną. Człowiek, jak potrzeba, to i głupiego udać potrafi. Poszedł stary na przelaj przez pola do lasu, a dziedzic na chłopskim wózku wjeżdżał w obejścia dworskie. Przed gankiem służba ze zdziwieniem poznała swego pana na tem, tak mało paradnym, wehikule. Godzina była bardzo wczesna — dziedziczka i jej goście spali jeszcze w najlepsze. Zbigniew wszedł do pokoju jadalnego, kazał sobie przygotować śniadanie. Nim jednak przystawiono imbryki do ognia i przyniesiono kawę ze śmietanką wpadł pan Szelski i czule z otwartymi rękami witał gospodarza domu. — Kopę lat, kopę lat — wołał — buja sobie kochany kuzyn po świecie, a my tu już blisko od tygodnia w gościnie. Kiedym się dowiedział, że to kuzyn kochany zajechał, ubrałem się jaknajspieszniej, żeby go pierwszy powitać. Ale że to kuzyn nie zatelegrafował po konie — paplał milutko — że to nie zatelegrafował po konie... Niespodzianka dla pani, przyjemna niespodzianka dla pani!

Pan Szelski nie przypuszczał, że Zbigniew nietylko wie, ale bodaj domyśla się akcji, jaką on tu

względem niego prowadzi. Starał się być słodki i przyjacielski, aby bardziej jeszcze uśpić jego czujność. Na radzie rodzinnej postanowiono, że cała sprawa przeprowadzoną będzie w tajemnicy i dopiero, kiedy wszystkie dokumenty będą zebrane, rodzina wystąpi otwarcie w celu publicznego zdemaskowania pochodzenia dzieci Zbigniewa. Pani Ewa, która narazie odrzuciła z oburzeniem propozycję Szelskich, widząc w tem przedewszystkiem interesowność, teraz dla motywów całkiem odmiennych szukała ich pomocy. Pani Ewa domyśliła się natychmiast, że Ewą Nikocką, matką dzieci Zbigniewa nie jest kto inny, jeno owa słodka Ewunia, która za opiekę i wszelkie laski jakich od niej doznała, wywdzięczyła się jej wstrętną zdradą, zabrała jej miłość męża w chwili; kiedy o nią najbardziej truchlała. Rozumiała, że metryki dzieci nie są wynikiem wyłącznie wyrafinowanego fałszerstwa ze strony Zbigniewa, ale wyzyskaniem szczególniejszego zbiegu okoliczności, tej szczęśliwej dla nich zgodności imienia i nazwiska. W starem, zawiędłym jej sercu rozszalały się burze

nienawiści przeciw tamtej. Pragnęła głośnego skandalicznego procesu, bo wyobrażała sobie, że do-

tkną kochankę jej męża najsrozsze kary, że obdarta z szat, pędzona będzie przez ulice miasta, i smagana do krwi różgami. Że odarta z czci i szacunku smagana chłostana będzie, jak wężami Eumenid, pogardą i nienawiścią ludzką. Pragnęłaby widzieć własne jej dzieci, miotające matce w oczy straszliwe przekleństwa, pragnęłaby widzieć dzieci te zrodzone w cudzołóztwie, pohańbione do ostateczności, tarzające się w błocie najokropniejszej nędzy. O, jakże nienawidziła dzieci te, ona, która dzieci nie miała. Pani Ewa rozumiała dobrze, że mąż ją zdradza. Zwłaszcza, kiedy wdzięki więdły jej coraz bardziej, a on był jeszcze taki młody i pełen sił żywotnych, czuła, iż uścisk jej już mu nie wystarcza. Przypuszczała wtedy, że Zbigniew utrzymuje w Warszawie jaką baletnicę, że miewa przygodne kochanki, płacone sowicie za pieścizoty, że szuka po świecie łatwych uciech, ale nie była o to zazdrosną. Nie znała ich, nie widziała tych kochanek, nie wiedziała nic na pewno i wiedzieć nie chciała. Kiedy krewni przychodzili straszyć starzejącą się panią, że młody mąż

nadużywa swobody wśród ciągłych wyjazdów od boku żony,  
pani Ewa zatykała uszy i  
nie chciała słuchać.

— Nie pytam was o to. — Co za niedelikatność! żaliła się.  
Ale o Ewunię zazdrosną była całą mocą swej duszy. Stała  
ona między nimi w  
chwili, kiedy właśnie najbardziej pragnęła utrzymać męża  
przy sobie. Widziała ją  
piękną, młodą, niby cudny rozwijający się pęk kwiatu, wobec  
siebie, tracącej,  
jak w szarugach jesieni, ostatnie płatki wspaniałej niegdyś  
korony wdzięku.  
Widziała tę różnicę i bolała nad tem niezmiernie. Robak  
zawiści przegryzł jej  
serce, toczył, sprawiał niewypowiedziane cierpienia i wtedy  
zaczęła jej  
nienawidzić w tajnikach duszy. A kiedy dostrzegła pierwsze  
objawy rodzącego się  
między nią i mężem swoim uczucia, kiedy stwierdziła  
niezawodnie ów tryumf  
młodości i świeżości nad swą więdnącą urodą, jeszcze  
nadludzkim wysiłkiem woli,  
w szatańskiej pysze serca swego, nie wybuchnęła  
gwałtownym protestem, ale z  
całym spokojem i dyplomatycznym wyrachowaniem starała  
pozbyć się z domu rywalki.  
I zdawało się, że już wszystko utonęło w niepamięci, że pękł  
węzeł  
niebezpieczny, że nic już z tej strony szczęściu nie zagraża.  
Ewunia wygnana z

Nieborowic, naraziwszy się pannom Pońkowskim, przepadła jak kamień w wodzie.

Wyje-

chała za granicę z kimś, jako dama do towarzystwa. Wieści o niej zaginęły. Pani

Ewa odnalazła spokój w łonie swoim; zmora zazdrości przestała ją nawiedzać.

Aż oto po latach dwudziestu dowiaduje się, iż była oszukiwaną, wywiedzioną w

pole. Złość, nienawiść, chęć zemsty zalewała duszę jej po brzegi. Obraz tamtej

dziewczyny hożej, młodej, wesołej, odżył w wyobraźni w przedziwnej jaskrawości i

jątrzył okropnie zranioną miłość własną, bolał przeświadczeniem upokorzeń

zwycięzonej, szarpał wnętrzności poczuciem utraconych niegdyś pieścizot, które

jej odebrała i wzmagął do najwyższej potęgi żal za tem, co już nie wraca. Żal

ten wył jej w duszy, skowyczał, jak pies więziony na łańcuchu, miotał się w

piersiach szalonem pragnieniem znęcania się nad kimkolwiek. Refleksyjne, pełne

opanowania się usposobienie jej, traciło właściwą sobie równowagę — stała się

zgryźliwa, zdenerwowana, kapryśna i dostawała częstych ataków płaczu.

Nie przyznawała się nikomu do istotnego stanu swoich uczuć, w zamiarze jednak

dokuczenia Ewuni sama przywołała Szelskiego.



— Namyśliłam się — mówiła. — Chcę ratować majątek na wypadek, gdyby się miał dostać w rę-

ce niegodne, jak mówicie. Jestem kobieta stara już i niedołężna, nie umiałabym sobie poradzić, wzywam więc waszej pomocy. Ze swej strony obiecuję zrobić czego będzie wymagali.

Po długich naradach stanęło na tem, że żona wytoczy Zbigniewowi proces o dwużeństwo, na zasadzie tego, że dzieci jego nieprawne posiadają urzędowe dokumenty dzieci legalnych. W czasie rozpraw ujawnią się wszystkie szczegóły tych jego machinacji. Dzieci te utracą prawo do nazwiska i dziedzictwa, kochanka jego będzie zdemaskowana i osądzona należycie. Pani Ewa nie przyznała się kogo podejrzewa o tę rolę.

Upoważniony do akcji Szelski zakrzętnął się około sprawy, jak doskonały sędzia śledczy. Zaczął od badania domowników, kiedy dziedzic z domu wyjeżdżał, jak długo bawił po za domem. Czy kto ze służby nie słyszał czegoś, o tem, co pan robił w Warszawie, co robił zagranicą. Do indagacji takiej wezwany był i Mączyński. Wierny swemu panu nietylko, że nic nie powiedział, lecz

jaknajspieszniej uwiadomił go o tem, co się w Nieborowicach dzieje, pewien, że osobista interwencja będzie tu nieodzowną.

## XXVIII

Tak rzeczy stały, kiedy Zbigniew zjawił się z rana w swym domu, Dla Szelskiego było to mniej przyjemną niespodzianką, zwłaszcza, że spadł on tu, jak piorun z jasnego nieba, nie uprzedziwszy ich przedtem jednym słowem. Spożywając teraz wraz z nim śniadanie i nadskakując jaknajuniżej myślał tylko o tem, jakby się porozumieć z panią Ewą co do konduity jej wobec męża. Rzecz zasadniczo, jak się już wspomniało, była postanowiona, to jest umówiono się cały zamach przed osobą interesowaną ukrywać jaknajdłużej. Bał się jednak przebiegły dyplomata, że kobieta stara i zdenerwowana ujrawszy nagle męża, nie potrafi zachować dość zimnej krwi i zdradzi się niechybnie.

Pani Ewa nie schodziła na śniadanie do sali jadalnej, lecz ranną kawę przynoszono jej do łóżka. Po tem bywała niewidzialną zazwyczaj do południa, gdyż

wstawiała późno, a niezależnie od tego, mimo siedemdziesiątki, z dawnego snadź nałogu, długie godziny przepędzała przed lustrem w gotowalni. Szelski kilkakrotnie posyłał służącą do pani z oznajmieniem, że pragnie z nią jak najprędzej, w ważnej sprawie kilka słów zamienić, ale pani była jeszcze nie ubrana i przyjąć nie mogła. Natomiast Zbigniew przebrawszy się z podróży wszedł wprost do sypialni żony. Pocałował ją w rękę na powitanie i odrazu zagadnął ostro.

— Moja droga, co tu robią Szelscy? Pani Ewa wpatrywała się weń złowrogo.

— Dla czego pytasz o to?

— Bo Szelscy z wiadomych przyczyn intrygują przeciwko mnie. Przytem prowadzi tu ten jegomość jakieś śledztwa, czego sobie wcale nie życzę.

— Skąd wiesz?

— Od służby.

— Ha, wybuchnęła wreszcie z całą pasją staruszka.

Ha, tak! Więc, dowiedz się pan, żeśmy cię odkryli, żeśmy poznali twoje ohydne czyny. Oszukiwałeś mię pan z nią! Z tą nikczemną, niewdzięczną dziewczyną, którą przygarnełam z litości. Z tą... dziewczką... z tą... Unosiła się staruszka, aż jej tchu w piersiach brakowało.

— Wiem, że pan masz z nią dzieci, żeś dal im swoje nazwisko, żeś dał swoje

nazwisko jej. Że żyłeś w bigamii, wstrętny człowieku, jak poganin, że ja...

ja...

To prawda — odparł poważnie Zbigniew — wina moja jest wielka! Zawiniłem i

zasłużyłem na karę. Co zamierzasz?

Pani Ewa rozbrojona trochę tem wyznaniem, nie mniej przecież ze źle hamowaną

wściekłością mówiła.

— Co zrobię? Zgubię ciebie, ją i twoje pokolenie. Wytoczę ci proces o

dwużeństwo, wtedy się wykaże czy dzieci te mają prawo nosić twoje imię, a ona

miano twojej żony. Wykaże się wszystko, a ja będę miała satysfakcję za

shańbienie, jakiego od ciebie doznałam, za sponiewieranie mojej miłości własnej,

za naigrawanie się

z uczuć moich. Idź, idź do niej, nie chcę cię więcej widzieć, brzydzę się tobą,

pogardzam. Idź, porachujemy się przed obliczem sądu, wobec zebranych świadków,

tu, w sypialni mojej, nie mam ci więcej nic do powiedzenia.

Żegnam pana!

Słuchaj mnie Ewo, przemówił Zbigniew uroczyście —

zaniechaj tej myśli, bo kara

sięgnie niewinnych. Powtarzam ci: ja jeden tu winien jestem.

Słuchaj mię, Ewo,

zaklinam cię na dawną miłość naszą, na przywiązanie i szacunek, którym cię przez

tyle lat otaczałem, zaniechaj tej myśli. Odepchnij Szelskiego,  
odrzuć jego rady  
nikczemne, niesłuchaj jego podszeptów, które dyktuje  
chciwość. Ja ci  
najświętszym słowem honoru ręczę, że po wasz majątek nikt z  
moich ręki nie  
wyciągnie. Żegnaj mi, Ewo, i przebacz!  
Podszedł do niej, ujął jej rękę, pocałował gorąco i wyszedł.  
— Pani Ewa nie miała siły ręki cofnąć. Czowała, że słabnie w  
niej niechęć do  
Zbigniewa, natomiast zrodził się żal do Szelskiego za  
odkrycia, bez których  
przecież żyła dotąd szczęśliwie. Wspomnienia dawnej miłości  
rozzewniły ją. Ona  
do dziś kocha go prawdziwie.

— Nikczemny Szelski, pocóż rozwiął przed nią złudzenia,  
które dawały pozory  
szczęścia, które dawały spokój.  
Służąca weszła, oznajmiając p. Szelskiego.  
— Nie ubrana jestem — rzekła szorstko — nie ubrana jestem i  
nie ubiorę się dziś  
wcale. Jestem słaba. Powiedz panu Szelskiemu, że dziś nie  
będę się mogła z nim  
widzieć.

\* \* \*

Zbigniew, wychodząc od żony, spotkał tego instygatora w  
sąsiednim buduarze. Na

widok jego chudej, złośliwej twarzy zawrzała w nim  
wściekłość, posunął się doń z  
pięściami. Chciał mu powiedzieć.  
— Syn twój rzucił synowi mojemu w oczy...  
Wstrzymał się jednakże, bo to byłoby wyznaniem. Zmierzył  
go tylko wzrokiem  
pełnym pogardy i wyszedł.

## XXIX

W tydzień po bytności Zbigniewa w Nieborowicach,  
przyjechał tu spienionymi końmi  
pan Szelski. Rozebrał się szybko z zwierzchniej odzieży i  
kazał się zaprowadzić  
do pani Ewy. Trzymał w nerwowo zaciśniętem ręku  
egzemplarz kurjera.  
Pani Ewa przyjęła go w małym gabinecie przy swej sypialni.  
Siedziała na fotelu  
przed kominkiem, na którym płonął z trzaskiem wesoły ogień.  
Siedziała na fotelu  
z głową w tył podaną. W ręce, opartej na poręczy trzymała  
list, który właśnie  
przeczytała.  
Szelski wpadł gwałtownie, wyciągając rękę z kurjerem, wołał:  
— Słyszała, cioteczka, Pan Zbigniew palnął sobie w łeb. O!  
O. — I rozwinąwszy kurjera czytał:

„Na cmentarzu powązkowskim znaleziono wczoraj zwłoki  
mężczyzny, około

sześćdziesięcioletniego, z przestrzeloną skronią. Denat, jak się później okazało był zamożnym obywatelem ziemskim i nazywa się Zbigniew Piątnicki".

— To on! nie ma żadnej wątpliwości.

— Pani Ewa mierzyła go przez czas czytania wzrokiem badawczym.

A potem spytała z goryczą.

— Musi pan być kontent z tej wiadomości, panie Szelski? co? co?

— Co też cioteczka mówi? Dla czego mam być kontent?

— Bo to nasze dzieło, panie Szelski — myśmy go zabili. Szelski otworzył szeroko ręce i wołał zdziwiony.

— Jak to my? Skąd? Muchy bym nie zabił!

— Tak, panie Szelski! Dowiaduję się o tem z tego listu — mówiła pokazując pismo.

— To list, który pisał do mnie przed śmiercią.

— Czy można? spytał wyciągając rękę.

— O nie, list pisany jest do mnie. Zbigniew pewne bardzo ważne sprawy zdaje na moją łaskę i niełaskę. Gdybym ja oddała panu, było by to niełaską, a ja chcę mu zrobić łaskę.

Mówiąc to, rzuciła pismo na ogień w kominku. Płomień pochwycił je i pożarł w okamgnieniu.

— A teraz chciałam cię prosić, panie Szelski, ażebyś mi ułatwił w przeprowadzeniu pewnych formalności. Mam zamiar zapisać Nieborowice

z przyległościami na rzecz kilku instytucji użyteczności publicznej. Prosił mnie o to Zbigniew w ostatnim liście swoim. Potem zamieszkać w jednym z klasztorów francuskich, gdzie ksienią jest krewna moja.

Pan Szelski aż podskoczył z oburzenia.

— Na rzecz instytucji! On prosił! On! I cioteczka skłania ku jego prośbom po tem wszystkim?... Nie może być!

— Tak, panie Szelski!

\* \* \*

Lakoniczną wzmiankę w rubryce wypadków w kurjerze pisma krakowskie w korespondencji z Warszawy opatrzyły dłuższym nieco komentarzem. Korespondent pisał:

Zagadkowe. „W tych dniach na cmentarzu powązkowskim znaleziono zwłoki zamożnie ubranego mężczyzny lat około sześćdziesięciu, z przestreloną skronią. Leżąca obok zwłok kartka i rewolwer z jednym wystrzelonym nabojem świadczyły najoczywiściej iż było to samobójstwo”.

„Odbieram sobie życie, pisał desperat, bo uważani to za konieczne. O śmierci mej proszę zawiadomić żonę moją Ewę z Nikockich Piątniczką i synów Adama i Henryka



Piątnickich, mieszkających w Krakowie na Kleparzu.  
(podpisano) Zbigniew  
Piątnicki".

„Ciekawa i zagadkowa rzecz, co mogło skłonić człowieka starszego już i, jak z pozorów sądzić można, było, opływającego w dostatki, do targnięcia się na

własne życie. Niepodobna w tym wieku podejrzewać jakichś zawodów miłosnych, o stratach pieniężnych nic nie słyszano, nieuleczalna choroba, jako powód rozpacz, również musi być wykluczona, gdyż sekcja lekarska wykazała, iż desperat mimo sześćdziesiątki cieszył się jaknajlepszym zdrowiem.  
Nieodgadnione są koleje ludzkie!"

\* \* \*

O istotnej przyczynie samobójstwa Zbigniewa mogła by coś powiedzieć pani Ewa, gdyż przed śmiercią napisał do niej list długi, gdzie najszczerzej, najotwarciej opowiedział historję swego życia i straszne męki rozdwojenia, i walki wewnętrzne i rozterkę.  
— Umieram — pisał — składając w twoje ręce tajemnicę ich. Tajemnicę, której przez długie lata broniłem z zaparciem się siebie, z najwyższym wysiłkiem, na

jaki człowiek zdobyć się może, a którą dziś chcę osłonić  
ostatecznie za cenę  
życia swego. List mój jest wyznaniem, jest więc dokumentem  
stokroć bardziej  
doniosłym, niż wszystkie dowody, jakie by pan Szelski mógł  
zebrać. Powierzam go  
jednak twej wspaniałomyślności z wiarą, że postąpisz  
szlachetnie, że nie  
pozwolisz  
ścigać niewinnych.

KONIEC